

H

1946

H

1946

WYDAWNICTWO

PODZIEMNE

Poznań 2016

© H.

© Wydawnictwo Podziemne 2016.

ISBN 978-83-944722-0-7

www.wydawnictwopodziemne.com

*Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz?
— co myślisz? — przez ciebie płynie strumień
piękności, ale ty nie jesteś pięknnością. — Biada
ci — biada. Dziecię co płacze na łonie matki —
kwiat polny co nie wie o woniach swoich, więcej
ma zasługi przed Panem od ciebie.*

Z.K.

Ince

I BANK
II POMNIK
III SPOTKANIA
IV PLANTY I ROZMOWY
V NATALIA
VI GŁĘBSZE PODZIEMIE
VII IWONA
VIII TU I TAM
IX
X INKA
XI EREM
XII LITWIN
XIII WINY
XIV WIGRY

„Żołnierze wyklęci”?! — Cóż za nedorzeczna fraza, coś jakby cenzurka dana światu z punktu śmietnika; andrzejewska, wajdowska, peerełowska, zaskakująca brakiem smaku i myślowej refleksji. Jakże chętnie dziś powtarzana.

Wszyscy jesteśmy skażeni bytowaniem w świecie wypełnionym fałszem. Żyjemy w kłamstwie. W nieprawdzie pseudorealizmu, kolorowego, spreparowanego dla naszej (rzekomo) wygod, który nas co dzień oddala od spraw tego świata, jakimi są. Siedemdziesiąt lat wykrzywania pojęć nie mogło pozostać bez wpływu na nasze postrzeganie.

Któż wykląć miałby żołnierzy walczących o ojczyznę swoją, zmagających się z największym złem, jakie jest? Komu miałoby przynależeć takie prawo? Czy tym, którzy grzecznie siedząc w przedpokoju historii marzą, aby im niebacznie głów nie pościnano?

Czy tak spreparowanego „porządku” nie warto wyrzucić i wyjść na poszukiwanie miejsca, od którego całe to nieszczęście zaczęło się? Świat żołnierzy, świat ludzi walczących z bolszewizmem, świat bez niepotrzebnych przymiotników nie istnieje. Trzeba dopiero ostrożnie, z mozołem, zadbać o jego... przyjście!

M. G., 20.12.2014

I

BANK

1 kwietnia 1946

(lub tego dnia okolicie, termin wypłaty urzędniczej.)

Dzień jak co dzień w wojewódzkiej siedzibie Banku Spółdzielczego w Toruniu. Przez niedomyte cztery pary dubeltowych okien wpadają stateczne — jak to do urzędu — promienie wiosennego słońca, ogarniając blaskiem wydeptany sosnowy parkiet.

Spokój. Nikt nie stuka w klawisze maszyn, nie wali ciężką pieczętką w urzędowe formularze; przed chwilą w stronę swojego pokoju przechodził dyrektor. Cicho. Klienta na lekarstwo. Kto zresztą, pozostając przy zdrowych zmysłach, chciałby do takiej instytucji wpłacać pieniądze? Dzień to był, ustaliliśmy, wypłaty dla urzędniczej ówczesnej gawiedzi. W takiej to, zalatującej potworną nudą atmosferze, nie słychać muchy.

Po drugiej, urzędowej stronie masywnego, drewnianego kontuaru siedzą cztery osoby. Czy opisywać ich ubiór, fizys, wady lub zalety temperamentu? Wybaczcie, mnie się to zdaje całkiem w tej chwili niepotrzebne. Żadne z nich nie odegra w dalszych epizodach znaczącej roli. Aby jednak nie pozostawić irytującej dziury w scenografii, powiedzmy tak: po lewej od drzwi wejściowych — Wiesia — trzydziestoparolatka, dla nas — bez znaczenia, choćby nawet historia jej spraw (intymnych?) mogła obficie wypełnić niejedną bibliotekę; dalej — Zygmunt — siwiejący na skroniach łysol zaczesany na pożyczkę w typie urzędniczego autysty (nie — artysty — czytajcie uważnie!), co to pieczętiki maczał jeszcze w pruskim tuszu, a kto mu chleb piecze i piekł był, rzecz to dla niego całkowicie obojętna — nie widzi, nie słyszy, niechby tylko pozornie; Tonia! — z Tonią jest trochę inaczej; Tonię dlaczegoś wyobrażam sobie zawsze uśmiechniętą, przemiałą, nie — nie dziewczynę... no dobra — dziewczynę, taką, której Opatrzność nie poskąpiła myślowej zwinności, smaku życiowego, powodzenia i szczęścia nieomal, dlaczegoś tylko ugrzęzła była w zatęchłym biurze, między starym urzędasem a... Chrystianem — zagubionym w kosmicznej przestrzeni dwudziestolatkiem.

W obszernym, osiemdziesięciometrowym pomieszczeniu, pozostał do opisanego jeden jeszcze tylko pracownik banku (dyrektor nie odegra roli). Józef, bo o nim będzie teraz mowa, przekroczył właśnie granicę piątego na karku krzyżyka, a jednak nie tetryczał jeszcze. Był co nieco za postawny, słusznego wzrostu (w granicach 180 centymetrów), swojego czasu, na rozkaz, no, niebezpośredni, ale jednak, ministra spraw wojennych, generała porucznika Sosnkowskiego — pułkowy bokser wagi średniej, nie bez sukcesów. Nierychliwy, jak dawniej bywało; zmęczony i ospały — wieczorna gorzała i nuda stania na straży niemierzalna, i — do chwili tej — niezakłócona najdrobniejszym nawet ekscesem — był Józef, mimo wszystko, strażnikiem potencjalnie dobrym; to znaczy, dobrym w sensie przygotowa-

nia fizycznego (wciąż jeszcze pamiętał jak przestawić delikwentowi facjatę). A psychicznym? Nad tym wypadałoby się przez moment zastanowić. (Jakkolwiek wszystkim spieszo do fabuły, wiem przecież.)

Jak to jest właściwie, przechodzić na złą stronę, przynajmniej w tak podeszłym wieku? Józef służył całe życie i znał pojęcie służby w jej godnym i zaszczytnym wydaniu, choć może w pierwszym okresie, z zaciągu armii cesarza Wilhelma Hohen... (coś tam) prawdziwe pojęcie służby jeszcze mu się nie wykuło. Ot, po prostu, wymusztrowali jak się należy, dali w rękę karabin, bagnet, pas wojskowy, trepy i... pognali na front zabijając obcych ludzi. Imperialno-pruska propaganda całkiem do Józefa nie przemawiała; nie był wrogiem tego świata, ale dumy z noszenia pruskiego munduru nie odczuwał. Podobnie, zabijanie bliźnich spędzonych po drugiej stronie frontu, nigdy nie wydało mu się godnym celem. Nie był widać Józef żołnierzem z urodzenia, rycerzem dla rycerskiej chwały, co to kunszt samego rzemiosła napawa ich dumą i — niczym Achillesa — żądzą wieczności (w kategorii wymachiwania kawałkiem metalu lub też dziurawienia czego bądź — bez znaczenia).

Jego mentalna pozycja uległa nagłej odmianie w rzekomym roku końca wojny — 1918. Nieskory do wylewności w uczuciach, poczuł nagle Bożą Wolę spełnienia, przechodząc do armii polskiej, nowo formowanej. Czy chce nam się zagłębiać w motywy tej decyzji? Zgłębiać, tu i teraz, istotę polskości w Polaku? Może po prostu jako Polak dokonał naturalnego wyboru? Ważniejsza byłaby pewnie odpowiedź na inne pytanie: czy rozumiał i pojął o co chodzi bolszewikom, których przyszło mu zabijać? Na ten temat dostępne nam kroniki milczą, uparciuchy, a przecież nie chcemy tu konfabulować. (I tak nie robimy przecie nic innego!)

Czy to jednak nie kompromitacja? Jakżeż można takiej rzeczy nie wiedzieć? Czyż cały naród, nie licząc kilku zbłąkanych baranów, nie odpierał bolszewików spod Warszawy? (Z kim myśmy walczyli, jak ci się wydaje?!) Hola, hola! Historia tych 2-3 lat nieszczęsnych początków niepodległości nie jest całkiem jasna i do wyjaśnienia, do dyskusji, dalszej i w odległym terminie.

Musimy, tak czy siak, zdecydować jednak co z Józefem. Dać mu świadomość spraw ziemskich, lub uczynić ignorantem! (Niech ci się tylko nie zdaje, czytelniku drogi, że to łatwa decyzja, bez znaczenia. Kreując Józefa, kreujemy część świata nowego, w którym — oby — przyjdzie nam może żyć kiedyś?! Dlatego, przynajmniej tu — na kartach tej powiastki — sprawy błahe prawie nie istnieją.)

Nie da się stanu świadomości Józefa wykoncypować, to prawda. A jednak można pokusić się o jego hipotetyczną wiwisekcję. Jeśli tylko przyjmujemy, że nie był do tej pory Józef reprezentantem skrajności w poglądach, raczej już — zdrowego rozumu człowieka indywidualnego — wówczas immanentne zło bolszewizmu musiało być dla niego oczywiste. Jeśli zaś było oczywiste wówczas, w roku, dajmy na to, 1920, czy mogło stracić coś ze swojej oczywistości, gdy przywleczone zostało na te ziemie po raz drugi, po, bagatela, ćwierć wieku ledwie? Wedle nas, Józef musiał i teraz czuć ten sam siarkowy aromat. W tej sytuacji zachodzi zasadnicze pytanie: jak czuje się człowiek w takim położeniu, w mundurze skrojonym z bolszewickiej materii?

(Wybaczcie, znowu musimy przerwać wątek.)

Rozpoczyna się bowiem akcja!

Przez wahadłowe drzwi wchodzi (*tranquillo*) główny nasz bohater — Janek. Wchodzi i rozgląda się we wszystkich możliwych kierunkach z miną niewzruszonego bywalca identycznych instytucji. Cienia zdenerwowania czy innych jakichś

emocji nie sposób wyczytać z jego twarzy. Rzuca, w rozkwicie uśmiechu, przelotne spojrzenie na Józefa. Józef nie odwzajemnia. Janek kieruje się w stronę kontuaru; wybór pada na łysą pałę z pożyczką na głowie — Zygmunta. Uśmiecha się jakby jednak do Wiesi.

W tej właśnie chwili (zanim Janek zdoła podejść w swojej sprawie) wahadło drzwi rozwiera się po raz wtóry (*animato*). Sławek, Zbyszek i Michał wchodzą do środka, nie przerywając ożywionej rozmowy. Józefa coś jakby uwiera w mózgowej przestrzeni skojarzeń, może całkiem naturalny zestaw faktów, że wszyscy (dzisiejsi ci klienci) wyglądają jakby nietypowo nieco, poza szarości dnia. Jest już jednak na dalsze dywagacje zdecydowanie za późno. Podłużny metalowy przedmiot przed oczami rozwiązuje zagadkę. Józef daje sobie zdjąć pepeszę z ramienia.

Janek uśmiecha się (*giocosso*) poprzez kontuar, pełnią swoich łagodnych, ciepłych oczu. Nie tak przedstawiciele banku po drugiej stronie szerokiego drewna wyobrażali sobie napad i „bandytę” z lasu. Przede wszystkim, choć to wydać się może całkiem już jak z bajki, w rękach nie trzyma Janek żadnego przedmiotu. Dłonie ma całkiem puste. Jakby na potwierdzenie tej niezwykłości unosi obie ręce, zgięte w łokciach, w górę, z dłońmi na wysokości barków i (*leggiere*) nimi kiwa swobodnie, równoległe do linii kontuaru, z palcami lekko rozczapierzo-nymi; jasnym uśmiechem swojego spojrzenia ogarnia wszystkie twarze, jedną po drugiej, po przeciwnej stronie bankowej barykady.

Jest całkiem zrozumiałe czego od nich oczekuje, bez krzyku, wygrażania, z miną niewinnego psotnika — cztery pary rąk bezpiecznie wędrują w górę (niemal *con grazia*). Dalej nie słychać żadnego dźwięku, grają jedynie Jankowe palce obu dłoni, wskazujące: skrajnie, na zewnątrz, w kierunku Wiesi i Chrystiana — wprost mierząc w ich twarze, potem w błaty. To samo w przypadku Zygmunta i Toni. W odpowiedzi widzi Janek ge-

stykulację bezradnie rozłożonych rąk — na kontuar wylegają ledwie jakieś drobniaki. Czy mogli się spodziewać innego efektu? Czy źle, po amatorsku, obliczyli termin akcji? Póki co, jest jasne, że trzeba zapoznać się z dyrektorem, a raczej z sejfem w jego gabinecie. Czy jednak — takie pytanie pojawiło się na długo przed samą akcją — nikt nie nacisnął dzwonka uruchamiającego alarm? Tego z ujmująco „niewinnych” twarzy pracowników banku nie można wyczytać.

Zatem (*appassionato*) Zbyszek z Michałem przystępują do drugiej fazy ataku. Nie jest już tak łagodnie, aksamitnie, jak do tej pory, ale też nie pada ani jeden wystrzał. Ot, drzwi mocniej niż zazwyczaj zaskrzypiały pod naporem przemocy, dyrektor jęknął... zapada, jak to się dziwacznie mówi, cisza.

Janek tymczasem, uśmiechnięty jak przed momentem, oparłszy o kontuar skrzyżowane na piersiach ręce, przypatruje się każdej z osobna twarzy bankowych urzędników. Spięci, z rękami ponad głowami, sugerują usilnie dobry nastrój. Czy który z nich nacisnął klawisz alarmu, czy za moment wpadną do środka ubeckie hordy? To mógł wiedzieć tylko ten spośród nich, kto w ostatnich chwilach miał do czynienia z ebonitową masą. Krople spływające po policzkach Wiesi mogą, być może, co nieco sugerować; podobnie, drobiny potu przebłyskujące przez łysinę Zygmunta; niespokojna ruchliwość rozstawionych szeroko palców Chrystiana zdaje się niemniej zagadkowa; a może to zaskakujące opanowanie Toni jest szczególnie wymowne? Rychło, ledwie w ciągu kilku sekund, zrozumiał Janek bezcelowość tych domysłów. Przez okna wysokiego parteru nie można dostrzec, co dzieje się na zewnątrz. „Okaże się” pomyślał beznamiętnie.

Terroryzujący Józefa przy drzwiach Sławek także nie ma komfortu antycypowania czegokolwiek. Stojący przed nim strażnik dał się, co prawda, z łatwością rozbroić, nie sprawia jednak bynajmniej wrażenia kogoś nadto uległego. Nie, nie ma nic niepokojącego w jego zastygłej, raczej ociężałej posturze,

jedynie oczy — spokojne, zimne tęczy — nieokreślonego koloru, wpatrujące się z nutą ni to kpiny, ni pobłażania, żalu może, w napastnika.

Czy rzeczywiście opanowanie i werwa przenikają w tym momencie Józefa? O, na to pytanie, obawiam się bardzo, także sam Józef nie może znać odpowiedzi. Stojąc tak, w mundurze bezpieczniackiego strażnika, z rękami podniesionymi wysoko, bez broni, za to z lufą wycelowaną w swoją stronę, dziwnie jakoś, myśli Józefa biegną w alternatywnym kierunku...

W jego czasce pojawia się, jak żywy, obraz sprzed ćwierć wieku. Rok 1920, kulminacyjny moment zmagania, wróg już nie napierający, w ciągłym odwrocie, w panice i strachu, w nieładzie.

To nie całkiem prawda, że żołnierz podlega tylko nastrojom miski, kiszki i pogody. Bywa, że porywa go żywsze jakieś wrażenie, np. strach paniczny, albo radość z osiągniętego nad wrogiem zwycięstwa. Pamięta dobrze teraz, właśnie w tak dziwnej sytuacji, naprzeciw gotowej do strzału lufy parabellum, jak bardzo radość rozpierała ich wewnątrz. A później, tego samego dnia, pod wieczór, do zagrody, w której stali, przyproszono dwóch Polaków, Polaków-bolszewików. Może za sprawą entuzjazmu, w tamtej chwili udzielającego się wszystkim wokół, nikt zanadto nie uzewnętrzniał gniewu. Nie zbito ich, nie obdarto z resztek łachów, i dobrze; w zamian popatrywano z niegasnącym zdziwieniem na to oto dziwo — wroga dzikiego, odrażającego w swoich krwawych praktykach, a jednocześnie... swojaka.

Największe jednak zdziwienie wyrażały oczy tychże jeńców niezwykłych. Nie to jak grzecznie ich nawet traktowano, bez bólu, wyzwick, jedzeniem za to i piciem; była to niezwykłość w granicach wyobraźni. Najdziwniejsze było co innego — ich, jako ludzi, jako jeńców, pozycja. Reprezentowali wroga, wroga najgorszego od zawsze, a reprezentując byli też czymś więcej — zdrajcami?! Zaprzańcami?! Chyba nie, o ile zdrada oj-

czynny nie miała tu nic do rzeczy. Byli posłańcami zarazy; przynosili ją do domu, częstowali! Nie musieli być bardzo konsekwentnymi ludźmi, skoro pojęli to w mgnieniu chwili. To mgnienie dostrzegł Józef, wtedy dostrzegł, a dziś? Dziś to on był nosicielem.

Zbyszek i Michał wciąż jeszcze obrabiają sejf; od początku akcji umknęło ledwie pięć niepełnych minut. Janek patrzy teraz intensywnie na swoje ofiary. „Co ja robię?” Nagłe drzenie wątpliwości. „Stoję tu i straszę ludzi; pewnie nawet niewinnych, kto ich wie. Nie strzelam do nich, nawet nie celuję, nie krzyczę, a jednak... Przecież forma to tylko właśnie forma, bez treści — jest pustym opakowaniem. A treść, treść jest zawsze ta sama. Terror. Terroryzuję ludzi. Ja, Janek. Żołnierz Niepodległej. Jakie to dziwne jest.”

— Spierdalamy kochany! — Michał klepie Janka w plecy. W drugiej ręce trzyma dużą, wypchaną bankową torbę. Przez uchylone drzwi widać jak Zbyszek kończy wiązać do fotela zakneblowanego dyrektora.

Janek rzuca ostatnie spojrzenie na swoje ofiary. Czy ten strach w oczach bardziej podszyty nienawiścią czy sympatią? Ostatnia, ale nierozpaczliwa próba odgadnięcia, co też czeka ich za drzwiami banku? Oddziały ludowego wojska z orzełkami wszytymi w czapki, czy może spiekota południowego słońca pod lazurem nieba, szary, ślamazarny kotek przebiegający jezdnię, kuku kuku kuku przebrzydłej gżegzółki?

Wyszli.

Po drodze nie spotkało ich nic godnego zapisania.

II

POMNIK

Siedzieli pod pomnikiem wielkiego astronoma, Polaka, choć może też Niemca, czy ważne? Siedzieli nie po to, żeby dać odpocząć zmęczonym nogom. Siedzieli nie dla zabicia czasu; nie dla słońca rozgrzewającego ich młode ciała; siedzieli nie dla ciał; siedzieli nie dla duchów; dla siedzenia siedzieli; dla bycia; prawie się nie znali.

To znaczy, znali bardzo dobrze, od dzieciństwa swojego (byli wciąż dziećmi niemal), od wspólnej ulicy, kościoła, szkół sąsiadujących, wspólnych wakacji i świąt — ich rodziny były w jakimś stopniu (odległe) spowinowacone; znali się przez pomarszczone czoła, troski, strachy i cierpienie, śmierć dookoła, walkę, ideały. Byli żołnierzami.

To znaczy, znali się, ale nie tak. Tak po raz pierwszy. Teraz dopiero siedzieli i chłonęli siebie; nie, absolutnie, nie na zasadzie wzajemności; nie on chłonął ją, ani ona jego; chłonęli siebie, nagle i nieodwołalnie, w pełni oczywistości (jak słońce

na niebie, ziemia pod stopami) skażeni gromem. Byli jednym, stali się, bez słów, spojrzenia, dotyku, innych sensualnych doznań. Nie było zapachu, dźwięku, światła, przestrzeni i czasu, żadnego z ludzkich wymiarów (jakże to, o ja biedny! narrator, mam dooookreślić?). Byli, stali się w jednej chwili, nie ona i on — oni. Jak długo trwało milczenie, jak długo patrzyli w przestrzeń, ile czasu zmitrężyli na radość nowego istnienia?

Słońce, palące na modrakowym niebie, bez cienia i cienia chmury, już dawno przekroczyło zenit. Które z nich pierwsze ocknęło się z jedności, w jedności. Ona — rezolutna, on — zasadniczy? To także nie ma znaczenia. Ważne, że nie obyło się bez zmysłów tym razem, wybuchów i gejzerów, namiętności; siedzieli u stóp astronomicznej wielkości, ich ciała dotykały się bokami; dłonie zbliżały do siebie, mimowolnie, niepokojąco, już na krawędzi pożądania, grzechu i świętej łaski!? Bali się, bali, że gdy przemogą nieśmiałość i wreszcie spojrzą w swoje (czyje?) oczy, że znów i bezpowrotnie zapadną się w siebie.

Słowo było ratunkiem.

— Iwciu, Iwońciu... — Janek pierwszy zdobył się na szept, a jego ciemnopiwnie oczy powędrowały (powędrowały?) na poszukiwanie spojrzenia nieokreślonego koloru. Nigdy do tej pory nie spoglądał w tym kierunku równie intensywnie, więc nie wiedział, czy za ułamek ułamka chwili wpadnie w otchłań błękitów, żółci, może zieloności. I nie dowiedział się i tym razem; kolory (i wszystko inne) straciły znaczenie.

— Janku, nie powinniśmy... — zdradzona dwiema drobinami wody zawieszonymi na krawędzi oczu Rezulotność zdecydowała przywrócić ich dwoje do porządku. — Nie wolno! — Z drżącą kategorycznością mówiła Iwonka, a dwie ciche łezki, płynące teraz wzdłuż mądrego noska, żłobiły niepewność stanowczości wilgotnym śladem. — Nie możemy teraz, nie teraz! — Jej dłoń ośmieliła się musnąć jego palce i wycofała się, wystraszona.

— Ale Iwona... — chciał (co właściwie chciał?) przywrócić równowagę, stanowczość; jego męskie ręce nie zawahały się przed zabranieniem jej dłoni. — Iwonko — poprawił się — to całkiem nie jest tak. — Czuł ich ciepło, ufną podatność na jego dotyk. — Nie możemy rezygnować z życia, właśnie teraz i tu, nie możemy. To część naszej powinności. Nie tylko umieraniem musimy dać świadectwo, także życiem, miłością, trwaniem, radością życia, pełnością; może przede wszystkim nimi.

Skąd mu to nagle przyszło do głowy wszystko?

— Nie boisz się? — Dwie kropelki dobiegły równocześnie do krawędzi warg, zanikając bezpowrotnie w zakamarkach na ich skraju. — Nie boisz się, że w ten sposób utracimy część naszej siły, woli, że przestanie nam zależeć? Bo ja wiem, że zachce nam się po prostu... żyć? — Uwolniła swoje palce, tylko po to, żeby schować w ich objęciach dłońie Janka.

Ciepło tego dotyku nie pozwoliło mu ripostować. (Czyżby Iwonka mogła być przebiegła?) Nie chciał, nie mógł, nie wiedział jak i po co? Nigdy jeszcze nie był w podobnym stanie. Nie pragnął dyskusji, zwycięstwa argumentów. Podniósł jej dłońie do swoich ust, chciał wielbić, ale ich nie pocałował. Nie, nie broniła się, nie wzbraniała. Nie było żadnej przeszkody. W jej oczach, po których krążyła nie para, ale całe rozlewisko łez, dostrzegł to, co dopiero teraz, ale w mgnieniu, stało się oczywiste.

Splecione dłonie przy jego ustach były węzłem gordyjskim ich jednego losu. Uśmiechali się do siebie takim jednym uśmiechem, jednym i jedynym, uśmiechem, który przychodzi w życiu tylko raz. Nie wypływa ani z oczu, ani z pomarszczonego czoła, kąćków ust czy z serca... znikąd nie wypływa — jest z siebie, z niezmierzonej radości. Zrozumieli co znaczy... wiecznie.

— Mam was! Zdybałam! — Rozweselony, niby ironiczny, nieco chropowaty głos wesolej, młodej, kruczoczarnej (czernią wpadającą w granaty) dziewczyny o pięknie spływających na plecy, długich niemal do pupy włosach, nie młodszej ani nie

zanadto starszej od tych dwojga, przywrócił ich, niemal momentalnie, pojęciom miejsca i czasu.

— Takie trusie, duszki natchnione, co to tylko Ojczyzna i Ojczyzna, Honor i Bóg... czy jak tam to idzie. — Ironizowała, celowo przekręcając święte słowa. — Żadnych umizgów, żadnych westchnień, tylko obowiązek taki, obowiązek siaki i co ja tu widzę? — Śmiała się radośnie. Przez zwiewność jej rozkloszowanej sukienki niewinnie prześwitywały promienie zmęczonego już trochę dniem słońca.

— Świetnie, że jesteś! — Powiedział Janek z dziwnym uczuciem radości pomieszanej z niejaką stratą.

Natalka zawsze bardzo mu się podobała, zresztą komu się Natalka nie podobała, w szkole, czy teraz. Powabne, regularne rysy nieco ponad wiek doświadczonej twarzy, wspaniałe, do szaleństwa, włosy, oczy wnikliwe, zalotne, niemal zawsze wesole (o reszcie nie będę wam opowiadał, darujcie!) — trudno było przejść obok takiego zjawiska obojętnie.

— Jakie to dziwne, moje panie. Jakie to dziwne uczucie widzieć was w takim anturażu, bez mundurów, furazerek na głowie, pasów, bez toreb sanitarnych. Jesteście... jesteście takie inne, pow... — chciał powiedzieć — powabne, ale coś go powstrzymało.

— Cześć kochana! — Bardziej wyszeptała niż powiedziała lwona, a w jej głosie wprawne ucho mogłoby wysłyszeć niemal niedostrzegalną nutkę niepokoju. — Dobrze, że jesteś.

— Akurat, już to widzę? — Roześmiała się Natalia, ani na moment nie spuszczając głosu z ironicznego tonu. — Ach, moi wy kochankowie z Werony, to jest z Torunia, a może z lasu? — Przeszabawnie udawała zamyślenie, drapując czoło ledwie widocznymi zmarszczkami, przykładając jednocześnie do głowy w niby skupieniu trzy palce na wysokości skroni. — Jak ja wam zazdroszczę. — Z jej głosu przebijała autentyczna szczerść. — No dobrze, a teraz pora na strategiczną, bardzo, bardzo ważną decyzję. — Jej głos zawisł na chwilę poważnie w rozgwarze to-

ruńskiego rynku. — Gdzież też mam usiąść moi wy... zakochani? Po drugiej stronie Jasia, oj, byłoby niestosownie. Po twojej, Iwcio? Nuda z flakami, w żadnym razie. Wiem, już mi musicie zaraz ustąpić pola między wami. — Nie czekając na ich reakcję, nie bez niejakego oporu, wcisnęła się między dwoje.

— Uważaj! — Wykrzyknęła tym razem Iwona z całkiem nietajonym śmiechem. — Gdzie leziesz niegodziwa krówko!

— Krówko?! Krówko!? Ja ci pokażę, mała żmijo...

Natalia roześmiała się wspaniale. Śmiali się wszyscy bez umiaru, dziko, bezmyślnie, tak jak śmiać się czasem powinno. Rzeczywistość (a cóż to takiego, u licha! wplątuje mi się w narrację?!) płynęła sobie cichutko bokiem, nie zahaczając przez ten niezwykły moment o ich świadomość.

— No dobrze. — Natalia jako pierwsza uwolniła się z rechetliwego amoku. — Powiedzcie mi teraz szczerze — w jej ponętnych tęczówkach zapaliły się ogniki wesołości — czegoż tak niezwykle szukaliście wzajem w swych oczętach? Czyżby zniewoliły was dzikie żądze, tu i teraz, na tym rynku? Ze swobodą, jaką daje przyjaźń, wbiła przenikające spojrzenie najpierw w jego, po sekundzie w jej źrenice.

Czy w ciągu dwóch sekund ledwie można przeczytać powieść, epopieję, poemat; przeświecić przyszłość i ludzkie losy w niej zawarte? Czy takie zapisane losy można jeszcze odwrócić? Tego wszystkiego Natalia nie wiedziała, nie wiedziała bardzo wielu rzeczy. Na moment podniosła wzrok na modrakową dostojność nieba i nagle, całkiem niespodziewanie, objęła ich dwoje za ramiona i przygarnęła mocno.

— Uwielbiam was, moi wy niesforni kochankowie. Uwielbiam za to dzisiejsze objawienie. Tak, tak, niesforne z was dzieciaki, ale od dziś jesteście moją Epifanią. Wreszcie coś normalnego w całym tym popieprzonym życiu.

— Natalia! Przestań, przestań przeklinać. Zwariowałaś całkiem, a może się upiłaś? — Iwona mówiła z przejęciem. Jakby na potwierdzenie, ulotna alkoholowa nuta popłynęła do stóp

wielkiego astronoma. — Jak mogłaś?! — Wykrzyknęła z przekonaniem typowym dla kogoś, dla kogo alkohol to tylko płyn o odstręczającym smaku i zapachu. — Czy myślisz, że w ten sposób coś zmienisz, od czegoś uciekniesz? (A jednak знаła Iwona praktyczne zastosowanie wódki.) Nie chcę ci prawić morałów...

— Nie... ch...chcesz? — Natalia z łagodnością przyjęła nagły wybuch przyjaciółki. — Wiem Iciu, wiem, i wiem, wiem, wiem, wiem, że i wy wiecie, że ja wiem, i ja wiem... W istocie rzeczy, czy wy tu, przy tych stopach, tego... — wzrok Natalii powędrował w stronę dostojnego astronomicznego oblicza — i On... — uśmiechnęła się do brązowej bryły twarzy — i On też przecież musi wiedzieć, taki mądrała, chociaż taki dziś skamieniały, twardej, ale przecież, jak się w życiu w rozgwieżdżone niebo głównie patrzy, to... to przecież ma się chyba trochę... no, sami powiedzcie czego się ma?

Było całkiem oczywiste, że alkohol w ciele Natalii dopiero się zadamawiał, rozkosznie zniewalając członki, znieczulając ciemne myśli. Musiała wypić go dużo kilka chwil ledwie przed spotkaniem z Iwoną i Jankiem, dlatego nie zauważyli od pierwszego momentu w jakim jest stanie, także i Natalia nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Teraz uwiesiła się na szyi Iwony i przytuliła swój do jej policzka. Janek patrzył zauroczony na ten obraz, na scenę rozgrywającą się tuż, na mniej niż wyciągnięta ręka. Wyglądały jak nie z tego świata, młode, słodkie, piękne i niewinne, a jednak... skazane. (Skazane!?)

— Otóż to! — Postanowił wrócić do przerwanej rozmowy. — Jak ci się zdaje, jak wam się zdaje, jak tu siedzicie teraz przytulone, bezbronne, odległe od tego wszystkiego. — Z nieodstępnym wstrętem skinął lekceważąco ręką w kierunku rynku, ludzi na nim, w stronę ulicy (jak się też ona nazywa?), wiodącej w stronę rzeki.

Czy chciał przez to powiedzieć, że lekceważy i tę rzekę, i wszystko co piękne i zapisane, i z nią płynące przez czas? Czy

ludzkie zniechęcenie ma swoją granicę? Czy, gdy wszędzie wokół zabija się...

— Patrzcie tylko! — (Obcesowo przerwał nam dygresję!)
— Jak wam się zdaje, drogie moje, przyjaciółki? — Spojrzała na nie z nagłym, jasnym uśmiechem na twarzy. Nie mógł sobie odmówić tej odrobiny zalotności. — Czy człowiek, który przez całe swoje życie patrzy i kontempluje głównie gwiazdy, to co nad nami, co pozaziemskie, nie z tego ponurego świata, przynajmniej w pewnym sensie; czy taki człowiek nie nabiera aby dystansu do otaczającej, i jego, i nas, tutejszości. Cóż to wszystko — machnął ręką niedbale w nieokreślonym kierunku — ten cyrk obrzydliwości gnijącej może znaczyć dla kogoś takiego? Cóż to wszystko znaczy wobec kosmosu? A cóż tam kosmos cały wobec tajemnicy stworzenia?

— Ależ nam się Jancio rozfilozofował? — Natalia wydawała się powracać do trzeźwości. — Czy rzeczywiście — nie mogła pohamować kokieteryjności w spojrzeniu — takie to wszystko proste jak mówisz? Weźmy tego pana — zadarła na moment głowę — czy on tylko kosmosem żył, czy miał może inne jeszcze sprawy w głowie? A my?! — Jeszcze raz spojrzała na Janka. Spod przymrużonych łukami rzęs powiek nic nie można było wyczytać.

Zawsze jej się podobał, to znaczy od kiedy go poznała w drugiej klasie liceum (był od niej o rok młodszy). Smukły, wysoki (etc., etc.), pociągał przede wszystkim spojrzeniem swoich niepokojąco dociekliwych oczu. Zawsze ją trochę peszył — ją, która potrafiła sobie poradzić z każdym przedstawicielem płci odmiernej. Nie mogła zgłębić dzielącego ich dystansu, a może po prostu o tym nie myślała, jak zazwyczaj nie myśli się o sprawach poza zasięgiem?

— Nie, nie. Całkiem nie masz racji. — Iwona była dziwnie poważna i stanowcza, jak gdyby chodziło o roztrząsanie Bóg jeden wie jak istotnej kwestii. — Jest całkiem oczywiste, że musimy żyć także sprawami przyziemnymi. Nie jesteśmy przecież duchami, aniołami czy innymi jakimi istotami zesłanymi z...

— Innymi istotami? Ciekawe, bardzo ciekawe lwońciu kogóż to konkretnie mogłaś mieć...

— Nie przerywaj Naciu! Słuchaj! Czemu ty nigdy nie słuchasz, gdy się do ciebie mówi?!

Natalia spoważniała. Ochota do żartów odpłynęła dziwnie, raptownie.

— Wcale mi nie do śmiechu, wiesz? Wszyscy mamy to przed sobą. Możemy, oczywiście, wzruszać sobie ramionami, ale to nie przegoni zmory, która nas otacza.

— Chcesz nam Natalko coś powiedzieć, coś szczególnego?
— Janek spojrzał w jej twarz swoim ciepłym, tkliwym niemal, ale też dociekliwym spojrzeniem.

— Nie, wcale nie, nic bardzo szczególnego. — Odpowiedziała szybko, spłoszona.

— Więc — nie przestawał jej się przyglądać — więc co właściwie?

— Chodzi o to wszystko tu, i o nas, i cały ten burdel — mówiła nieskładnie.

— Natalko?! — Chciała skrzyczeć Natalię za brzydkie słowo, ale uświadomiła sobie bezsens tego pomysłu. Wystarczyła chwila, jedno spojrzenie w twarz przyjaciółki, najbliższej. „Przecież ma rację. Ma tylko odwagę, której ja...” nieskładnie krążyły słowa tego popołudnia.

Siedzieli chwilę w milczeniu, blisko, w przyjaznym cieple. Ich myśli wirowały w pobliżu siebie, ponad głową astronoma. Było im bardzo, bardzo dobrze, niemal.

— Jak tu siedzimy, nie rozwiążemy z pewnością wszystkich problemów tego świata, ale jedno przynajmniej jest oczywiste — głos Janka stracił swoją miękkość, płynność — nie mamy wyboru, to znaczy, nie wolno nam go mieć. Jesteśmy skazani, predestynowani, tak myślę.

Zobaczyli go równocześnie, trudno byłoby inaczej. Jego niewysoka, zwyczajna postać, zawsze wyodrębniała się z tłumu z zaskakującą wyrazistością. Może dlatego właśnie wszyscy znali go tak dobrze? A może inaczej — może znany był dlatego, że nigdy nie przeszedł obojętnie wobec żadnej żywej istoty; gotowy do rozmowy, do żartu, pomocy, jeśli tylko nadarzyła się okazja? Tak czy siak, pracy konspiracyjnej to nie ułatwiało.

Choć, jeśli dobrze się zastanowić, było może akurat odwrotnie? Bo czy jaki łaps, kiedykolwiek, ba — tuziny łapsów — mogłyby się połąpać w gąszczu tych znajomości, przypadkowych często rozmów, żartów? Który w tej masie ogromnej zaczepianych postaci, często na krótką tylko rozmowę, wymianę dwóch-trzech słów ledwie, to kolega jest, koleżanka z konspiracji? Który to przyjaciel? Wyobrazić można sobie sterty raportów, góry papierów z przeprowadzonej bodaj właśnie inwigilacji, po, dajmy na to, jednym przejściu takiego człowieka ulicami miasta. Ilu trzeba by hycli, żeby pójść za każdym napotkanym, w drodze zaczepionym?

Podchodził nie tak jak zawsze tym razem, bez zwykłej dziś dezynwoltury, podchodził mocnym, zdecydowanym krokiem, nie rozglądając się na boki, nie szukając spojrzeniem znajomych i nieznanym dusz w potrzebie. Podszedł bez słowa, usiadł obok lwony, na wolnym skrawku ławki.

— Wybaczcie drogie panie, koleżanki, dziewczynki, i ty Janku — pomimo wszystko (pomimo co właściwie?) usiłował wywołać choćby minimalny uśmiech na swoje smutne w tej chwili oblicze — pozwólcie mi, że wypowiem kilka słów żołnierskich, partyzanckich, twardych. — Spojrzał smutno, z rachitycznym uśmiechem błakającym się po twarzy. Czuł, że nie może spokojnie usiedzieć, nie w tej chwili. Wstał, w napięciu nerwów, w chaosie niekontrolowanych odruchów.

— Czy wiecie? Czy macie pojęcie? — Nie mógł opanować drżenia słów przeciskających się przez gardło. — Czy wiecie co

dziś usłyszałem w Okręgu? Wiecie? — Spojrzał, niby z drwiną, która jednak zgasła w ułamku sekundy. — Nie, skąd?! Siedzicie sobie najspokojniej na ławce i... — zastygł w jednej tylko figurze, uspokoił się. — Nie — przygasł — nie — powtórzył z powagą — nie możecie wiedzieć, wybaczcie.

— Ale co się dzieje, co się stało? — Janek uznał, że trzeba jakoś pomóc wzburzonemu czymś nieznanym przyjacielowi. Skłonić go do skoordynowanej myślowo wypowiedzi.

— Sławeczku — dorzuciła Iwona ze z trudem wydobywającym się na powierzchnię twarzy uśmiechem — musisz najpierw nas oświecić, a potem dopiero wylewać na nas swoje nastroje. — Nie wypadło dobrze, ale nie zwrócił na te słowa uwagi.

— Katastrofa, totalna. Wsypy w całej siatce, podobno. Kotły pozakładane Bóg wie gdzie. Wyłapali masę naszych. Rzekomo jakiś samochód wpadł, rzekomo jego numery zostały zapisane przy jakiejś akcji, nie wiem, nie wierzę. Myślę, że ludzie pękają, że to nie przypadek. Wiecie co mi powiedział Major, osobiście? — Spojrzał na każdego z osobna, zatrzymał oczy na Janku.

— Dlaczego, bo tego akurat nie rozumiem, wytłumacz mi, dlaczego ustaliłeś miejsce dzisiejszego spotkania ledwie trzy kroki od naszej ostatniej wizyty w banku?! Może też masz wszystko w dupie? Wybaczcie drogie koleżanki, dziś jest wyjątkowo... — Dziwaczna, niedorzeczna była ta nagła zmiana tematu.

— Bredzisz. — Janek przyjął te słowa ze spokojem. — Gdzieś przecież musimy się spotykać, normalnie żyć. Nie możemy za każdym razem chować się w mysiej dziurze, tylko dlatego, że ktoś nas gdzieś tam może...

— O właśnie! — Sławek przerwał mu w pół zdania — o tę normalność waszą idzie. Dlaczego nagle wszyscy łakną normalności? Dlaczego każdy pretekst jest dobry? Dziś wsypa. Rozumiem, rozumiem, że trzeba zachować ostrożność, coś mi się jednak wydaje, że ta ostrożność zalecana jakby nadto, za

bardzo chętnie. Wiecie, co mówią? Co powiedzieli? Żadnych akcji, żadnych przygotowań; spotkania ograniczyć do absolutnego minimum. Rozumiecie? — Cały się gotował. — Przyszedł, jak tam byłem, przyjechał Piotr, nie znacie go pewnie, nieważne. Przyjechał prosto z Niemiec, z naszej, niby z polskiej zony. Wiecie co przywiózł, jakie rady, rozkazy? — Przyglądał im się przez moment. — Nic, tylko jedno! Koniec! Koniec! Koniec wszystkiego! — Krzyczał, uspokoił się w jednej chwili. Zwinął w sobie, pochylił nisko głowę. Usiadł na ławce. Zamilkł. Nikt nic nie mówił. Siedzieli.

Po dłuższej chwili mówił dalej.

— Dyrzymały. Jakie dyrdymały! I to się jeszcze nazywa wojskiem?! Nie wolno rzekomo, tak kazali przekazać, nie wolno nadwerżać narodowej substancji. Dacie wiarę?! Dacie wiarę, wy, żołnierze? Nie zaleca się żołnierzom krwi przelewać w walce o ojczyznę! Czy kto kiedy słyszał podobne androny?! Czy to do pomyślenia? No, powiedzcie?! — Pytał, ale nie czekał, nie liczył na ich odpowiedź. Mówił, wciąż sam tylko mówił. — Oczywiście przy tym wszystkim żadnej pomocy być nie może, nie dadzą, mają a nie dadzą, nie wolno walczyć, tak mówią. — Zamilkł.

— Nie. Źle. Zły obraz wam maluję. — Wstrząsnął głową, przypominając coś sobie nagle. — Dadzą, jasne, że dadzą, i wiecie co, jakie *souvenirs*? — Patrzył na nich z udaną wyższością, wszystkowiedzącą. — Nie zgadniecie na co stać naszych Wodzów, na jakie subtelne koncepty.

— Dawaj, dawaj... zdzierzym, myślę, jeszcze jedno pchnięcie, nerwów przecie mamy dużo, czy nie? — Janek dlaczego wpadł w doskonały humor.

— No pewno! — Sławkowi udzielił się ten dobry nastrój w jednej chwili. — Jesteście aby gotowi na ostateczny cios? Szych zadany nie przez wroga śmiertelnego, ale przez wodzowski nasz geniusz? Czyście zaryzykować skorzy? — Deklamował zabawnie.

— Gadajże, gaduło... — także Natałka nabrała nagłej ochoty na udział w grze.

— I ty, Iwonko?

— I ja, Sławomirze.

— Otóż... — na moment jeszcze zawiesił głos — nasi wodzowie kochani postanowili pomóc nam jednakowoż wydatnie i w ramach tej pomocy swojej miłosiernej i ojcowskiej przysyłają... Co? Wunderwaffe jakies? Wyrzutnie rakiet? Nie! Pieniądze na dalszą walkę? Pudło. Cóż za pomysł niemodny, staroświecki. Może oddelegowują do naszej organizacji część wojska, siedzącego na dupach w beczynności swojej, patriotycznej? Aj jaj, fe! Jaki nietaktowny koncept. A może mydełko pachnące, co byśmy mogli ręce umyć, ojczyznę w potrzebie opuściwszy?

— Więc co?! — Nie wytrzymała ubawiona Natalia. — Może mi nową sukienkę sprawią i buciki, może coś bardziej dyskretnego?

— Wiedziałaś!?

— Co?!

— O paczkach! O paczkach wiedziałaś?!

— Nie! Nie gadaj głupstw, skąd niby?

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Janek — chcesz powiedzieć, że przysyłają nam paczki, z ciuchami paczki?! Nie, nie uwierz!

— Z ubraniami i z prowiantem.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Takie to było nie z tej ziemi. Nie z planety, z tej rzeczywistości, w której tkwili — tak im się zdawało. Byli żołnierzami, tak o sobie myśleli. Czy istotnie byli aż tak bardzo niedopasowani do tego co wokół? Nie do bolszewickiej propagandy, która szerokim, wartkim strumieniem od prawie dwóch lat wlewała się w umysły i w dusze milionów; ale też poza sferą własną, poza tą, którą zwykli traktować za swoją?

— Teraz już rozumiecie? Nic takiego, zwykłe paczki, ale jaki bagaż moralny, filozoficzny w nich zawarty, jaki szatański koncept. Czujecie? Czujecie siarkę?

Natalia zwiesiła głowę, nisko, bardzo nisko, między kolana. Poczła przypływ ogromny mdłości, zrobiło się strasznie gorąco, paskudnie, nie do zniesienia. — Boże!

— Nie wiem jak wy, ja nie chcę mieć z tym do czynienia. Basta. — Sławek, jak wszyscy pozostali, stracił nagle ochotę do żartów.

— Co teraz? — Iwonka usiłowała podtrzymać mdlejącą Natalię.

— Teraz? Teraz możemy się chyba tylko upić, z rozpaczy. Ale nie! — W głosie Janka wyczuwalna była nowa moc. — Bo czy to dla nas jakieś zaskoczenie? Czy w gruncie rzeczy nie wiedzieliśmy tego od dawna? Że wszyscy... że nikt?! I dlatego tylko nic nie ma sensu? A może teraz większy jest niż kiedykolwiek, właśnie dlatego? — Strumień jego myśli płynął bez ustalonego nurtu, nie dbał o to.

— Jak chcecie, ja wysiadam! Nie, nie... nie myślcie, że jestem tchórzem, pozorantem. — Smutek w ustach Sławka tężał z każdym słowem, rozrastał się, czerniał. — Wracam do domu, do Wilna! — Wytrzymał ich nagłe spojrzenia. — Jeśli już ginąć, to za własne, nie za Ojczyznę, która się, wybaczcie, dupą odwróciła... i jeśli nic lepszego nie strzeli mi do łba — mówił z przekonaniem — wrócę tam po to tylko, żeby, kto wie, nieśmiertelności na rodzinnej sośnie jakiejś...

— Grzeszysz!

— Wiem Iwonko, wiem. Wiem, że grzeszę! Ale popatrz — zatrzymał na chwilę płynące słowa, uśmiechnął się do niej czule — czy grzech nie jest integralną, niezbędną częścią naszego ja? Czy gdyby nie nieustająca pokusa, bylibyśmy tym, kim jesteśmy, kim chcielibyśmy być?

— Dosyć! Dajcie spokój... — wyjęczała Natalia. W ciepłych, milknących już tego dnia promieniach słońca bladość jej twarzy zdawała się groteskowo jakoś podmalowana. — Czy nie możemy żyć, rozmawiać normalnie, jak zwykli... — Gdyby nie ramię Janka, ześlizgnęłaby się niechybnie, centralnie, nosem na płyty rynkowego chodnika. Chwycił ją mocno. Przygarnął.

— Chodźmy! — Wstał, mocno trzymając w ramionach osuwające się ciało pijanej dziewczyny. — Trzeba ją zaprowadzić do domu.

— Czy znasz historię o wielkim kapłanie, wielkim ascecie, świętym niemal, i o grzeszniku w jednej swojej osobie? — Siedzieli nad brzegiem szerokiej, leniwie płynącej, statecznej rzeki. Dzień powoli, bardzo powoli skłaniał się do odpoczynku. Z szuwarów dochodziły szmery i kwilenie skrytego przed drapieżnikami ptactwa.

— Nie, nie znam, ale domyślam się, że to jedna z twoich ulubionych przypowieści, których sens jakże często wymyka się mojemu rozumowi. — Jeremiasz smutno przyglądał się przepływającej, obojętnej na wszystko co poza nią, wodzie. Czuł zmęczenie, zmęczenie przeżytych lat. Zmęczenie i niepokój. — Chętnie posłucham. — W jego głosie nie było entuzjazmu.

— Pozwól zatem, że opowiem ci tę historię, bardziej legendę może. — I od niego odeszła nagle ochota do snucia tej przypowieści, ale przemógł się.

Zaczął mówić swoim statecznym, równym głosem.

— Dawno, dawno temu, stąpał po świecie grzesznik wielki i osoba duchowna w jednej postaci; mnich obarczony karą doczesną; z dalekiej jasnej Italii wędrować był zmuszony poprzez szlak ledwie zbadany na ponurą, pogańską jeszcze północ. Odczuwał za swoje grzechy żal szczery, ale nie myślał skarżyć się na los; przeciwnie, przyjął go z pokorą wielką, z wdzięcznością. Nie znam historii jego życiowych spraw. Domyślać się jedynie

mogę, że nie był to żywot przeciętny, a naznaczony sprawami o znaczeniu pierwszorzędnym. Wychodząc w żalu szczerym ze swojego miasta, popatrywał ostatnim spojrzeniem na znajome budowle, pałace, świątynie. — Zamilkł, ale na moment tylko. — Grzechy musiały dorównywać wielkością jego znaczeniu, a może znacznie je przewyższać. I one też stanowią o niebywłości tej osoby. Bo który śmiertelnik potrafi stanąć przed grzechem nie w miernocie swojej, a w splendorze danej sobie łaski żalu? — Zamilkł na moment jakby w oczekiwaniu na odpowiedź Jeremiasza. Ten jednak milczał, wpatrzony w płynącą wodę.

— Po wielu perypetiach dotarł na miejsce swojego przeznaczenia, w ciszy, nad brzegiem wielkiego jeziora poszukując ukojenia dla zmizerniałej duszy. Wiódł żywot pobożny, samotny, cichy, swoją wstrzeźliwość i pokorą wzbudzając szacunek nielicznych, półdzikich mieszkańców mrocznej krainy, Sudowii. Mijały lata monotonne, nie zapowiadające ważkich zdarzeń. Asceta czynił wedle ustalonej przez siebie reguły: jadł jedynie rybę z jeziora, pijał tylko wodę, czerpaną z wielkiej i wspaniałej, choć pokrytej zielonym kożuchem toni. Żył w skupieniu.

— Aż pewnej nocy nastąpiła przemiana. Coś pękło w naszym bohaterze. Tak zawsze cichy, rozmodlony, upadłszy na ziemię, wyszeptał straszne, choć i dziwaczne słowa:

— *O siejo, siejo srebrzysta, cudowna rybo Italii, gdzieżeś ty jest? — Zaprawdę, że duszę bym oddał w ręce szatana, gdybym mógł zjeść kawałek twardego doskonałego mięsa.*

Opowiadający te słowa starzec zamilkł znowu. Stracił ochotę do snucia tej opowieści. Zdała mu się nagle miętka, banalna, a przy tym wszystkim jakże mało prawdopodobna. Bo czy coś podobnego mogło zdarzyć się kiedykolwiek? Asceta, pustelnik zdolny do największych wyrzeczeń, wodzony na pokuszenie doskonałością jadła?

— Widzisz, nagle ta opowiadana przeze mnie historyjka wydała mi się śmieszna. Czy do pomyślenia, żeby człowiek, grzeszny człowiek w swojej naturze, w pożądaniu upadł tak po policie, w sposób równie ordynarny?

— Możliwe... — z ust Jeremiasza wydostał się cichy, ledwie słyszalny szept. — Nie tylko rzeczy wielkich łakniemy — wciąż mówił cicho, ale z narastającym przekonaniem — pięknych, odkrytych splendorem i chwałą; także spraw małych, brudnych czasem, ohydnych. — Z rzadka jedynie wypowiadał Jeremiasz tyle słów jednocześnie. Wysoko, w niebo skierował oczy. — Żaden z nas przed grzechem nie ucieknie, nawet grzechem najmizerniejszym.

— Czyli, nie ma nadziei według ciebie?

— Przeciwnie. I jest jej nawet sporo. Bo widzisz — Jeremiasz jak gdyby dziwił się własnym słowom — im nasze czyny bardziej trywialne, tym więcej upokorzony jest także szatan; lucyfer goniący za byle grzesznym pretekstem, jak w historii, którą opowiadasz, bywa, boi się własnej nawet śmieszności.

— Znasz ją jednak, tę legendę?

— Znam, przypominałem sobie, gdy zacząłeś opowiadać, i znam też zakończenie. Rozsierdzony szatan ciska pękiem wspaniałych rybek, ciska i odchodzi upokorzony. Po raz kolejny przegrywa w odwiecznej swojej walce.

— I... jaki z tego wniosek?

— Jeden tylko. Każdego dnia świat stać się może piękniejszy, jak jezioro ascety, w jednej chwili rozświetlone lazurem; połyskliwe, poprzez grzech odmienione, cudowne. Taki już jest odwieczny porządek. Taka jest natura spraw wszystkich. Piękno nie może istnieć bez brzydoty; cnota poczyna się z grzechu.

III

SPOTKANIA

Ciekawe jakież to rzeczy mogą przyśnić się filozofom? Weźmy jako przykład kraj, będący sceną tej powiastki. Czy brakuje mu przeszłości, tradycji, kultury, historii, cywilizacyjnych aspiracji? Czy całe jego istnienie nie jest związane z czymś ach i och, wielkim, wyjątkowym, uniwersalnym? Czyż nie rości pretensji do nietuzinkowej wyjątkowości na mapie świata, na kartach historii? Kraj wielkiej przeszłości, wielkich wodzów, marzeń, poetów! A jeśli się odrobinę tylko zagłębić w fakty, cóż my tu mamy? Klęskę za klęską, niewolę za niewolą, katastrofę za katastrofą, wstyd i płacz, i brak woli szczerzej, żeby cokolwiek z tym zrobić, zmienić — wyrwać spod działania komunau, jacy to jesteśmy dobrzy, odważni, sprawiedliwi. I chęć ucieczki, zawsze tylko — ucieczki.

Historia ostatnich siedemdziesięciu lat ilustruje najlepiej, jak właśnie chciałoby się bardzo do okoliczności dostosować, wskoczyć z gracją do pędzącego rzekomo pociągu kolejnych

przemian; wsiąść, nie dbając jakie akurat szkaradne widmo kreuje rzeczywistość: rosyjski jakoby komunizm, socjalizm (koniecznie z ludzką twarzą), stadny samoograniczający się solidaryzm, albo i pomiot pierestrojki (trzecią, i czwartą nawet, Rzeczpospolitą świętokradczo przewany).

Wszystkie owe niedorzeczności przedstawiają jedno: marność i nędzę ludzkiej natury, i chęć przystosowania się, bezpiecznie.

Tak zwane środki komunikacji publicznej okazały się doskonale wpisane w demokratyczną ideologię, zrównując swoich klientów, niezależnie od reprezentowanego przez nich statusu społecznego, wtlaczając, bez dyskusji i żalów wysłuchiwanie, do jednego wagonu, przedziału, ba — do tego samego klozetu nieraz.

Podróżowanie nie zawsze tak wyglądało, przynajmniej jeśli idzie o podróżujących dobrowolnie. Niezależnie od zawartości portfela czy innej tam jakiej kiesy. Kiedyś podróżny stanowił kategorię indywidualną, nie masową. Mógł być bogaty, ale mógł być i biedny; podróżować kareta w otoczeniu świty, albo i boso, z trzewikami zawieszonymi na podróżnym kijku; był panem siebie, swojej podróży, i swoich podczas jej odbywania myśli; typem udemokratyzowanego arystokraty w drodze — jeden, choćby nie sam. Gdy chciał odpocząć — odpoczywał; jechać dalej — jechał; zjeść coś może w przydrożnym zajeździe lub rowie — zjadał; porozmawiać z po drodze spotkanym człowiekiem... etc. etc.

Do czasu.

Nadszedł postęp i w tej dziedzinie, i nastąpiła moda podróży zorganizowanej. Najpierw pojawiły się dylizanse, a w nich zamknięci na małej przestrzeni obcy sobie ludzie; siacy i owacy, różnej kategorii, majątności, manier, przyzwyczajień, od obecności których, przynajmniej do najbliższej stacji, nie było ra-

tunku. Całkiem rychło przyszyła pora na koleje żelazne i wagony podzielone na przedziały (albo i niedzielone, albo i bez korytary nawet, tzw. „boczniki”) — niby żadne to były zmiany jakościowe poza dwiema — znaczącym przyspieszeniem podróżowania (a może i życia samego? Bo spróbuj teraz wysiąść na stacji pośredniej?!) oraz zrównanie podróżnych do kilku ledwie, zaokrąglonych kategorii.

Czy, istotnie, podróże kształcą jeszcze?

Wysłany do Krakowa Janek nie miałby problemu z odpowiedzią. Nie to, żeby był jakimś specjalnie zadeklarowanym miłośnikiem uroków takiego podróżowania, nieodłącznie z nim związanych aromatów i atrakcji, *spécialité de la maison* w gatunku: *œuf à la coque avec du sel* lub *poulet rôti au beurre*, czy raczej może *pain noir sur le lard* — specjału modniejszego w tamtym czasie; a przy tym także brudu i pospolitości — oj, całkiem nie! Był jednak dostatecznie przenikliwy i życiowo po prostu wyrobiony, aby docenić walory poznawcze tego rodzaju uplasowania w ciżbie. Czy zresztą, podejmując walkę, walczył tylko w imię sprawy, dla siebie, czy może także dla ludu, do którego (mówmy otwarcie!) nie bardzo tęsknił?

W kategorii kolejowej III klasy nie można było oczekiwać wygód. Ale na to, rzecz jasna, nie zważał. (Jankowi nie w głowie były głupstwa, które dzisiaj zaprzętają świadomość.) Chciał po prostu osiągnąć cel swojej podróży, wykonać rozkaz. Oczywiście, wsiadając w Toruniu do pociągu relacji Gdynia-Zakopane nie byłby Jankiem, jakiego dopiero poznajecie, gdyby nie przyświecała mu pewna myśl uboczna, mianowicie: co w trawie piszczy?

Do żadnego przedziału nie wsiadł, to znaczy — w żaden dostępny ludziom sposób nie mógłby się do niego nawet zbliżyć. Po prawdzie dużo nawet miał szczęścia, lądując we wnętrzu wagonu, nie zaś, na przykład, na jego dachu (bo i taka formuła podróżowania była wówczas popularna). Wsiadł, czy też we-

pchnięty został w niszę, z jakiegoś powodu jeszcze nie okupowaną przez brać podróżną, wąski kwadrat podłogi o boku jakichś trzydziestu centymetrów, tuż przy (co go, pierwotnie, nawet ucieszyło) wąskich drzwiach prowadzących do klozetu.

Rychło okazało się, że miejsce to najgorsze z możliwych, przez które przepychają się (poprzez kolejne godziny) niepoliczalne masy ludzkie, nawiasem, całkowicie bezprzedmiotowo, o ile sama toaleta okupowana była stale (i wbrew protestom) przez jakiś tuzin, gorzej wychowanych od reszty, podróżnych. Wada tego rozwiązania miała nie tylko praktyczne oblicze, ale także — o szlachetna ironio — informacyjne; o ile bowiem liczył Janek, przed wejściem na pokład tego bałaganu, na podsłuchanie autentycznego głosu ludu, o tyle szybko okazało się, że lejtmotywem wszelkich rozmów, kłótni i dyskusji jest wyłącznie jedno zagadnienie, toaletowej natury.

A jednak. Po kilku całkiem podobnych godzinach niesłychanego psychicznego zmęczenia, gdy w całej spokojności serca począł być w końcu mamrotać pod nosem najwymyślniejsze przekleństwa, zmuszony raz nie wiadomo który do zajęcia najniewygodniejszej w świecie (tj. wagonie) pozycji, przemknęło (poprzez chaos ludzkich ciał oddychających, parujących, ocierających się), mignęło mu kujące, jak ostrze szewskiego szydła, spojrzenie szarych kpiąco-zmęczonych, przenikliwych oczu.

Błysk ironii, czystej, najbezzelniejszej, uplasowanej poza (absolutnie) kontekstem sytuacji, poza tu i teraz, do innej przestrzeni przynależnej. Nie wahał się odwzajemnić, podnieść rzuconej rękawicy, wystawić do pojedynku pary swoich oczu. — Na przeszkodzie stanęła fluktuująca wciąż sanitarna sytuacja. Gdy wreszcie mógł skierować wzrok w stronę frapującego intruza, ten nie patrzył już w jego kierunku, zadowolając się kontemplacją ginącego nieuchronnie za oknem pejzażu.

Profil, który mógł teraz z pełną swobodą obserwować Janek, dawał bogatą pożywkę zwiotczałym nieco szarym ko-

mórkom. „Kim jest ten człowiek o twarzy zawodowego awanturnika?” Nie mógł sobie przypomnieć.

Nie, nie chodziło Jankowi o potencjalne zagrożenie, o wężące wszędzie, wmieszane w ludzką masę, ubeckie szczury — od pierwszej chwili, od tamtego mignięcia intruzich oczu, wiedział, że z tamtej strony nie grozi niebezpieczeństwo. Oczy, twarz nieznanego — gdzieś, kiedyś, znacznie, znacznie wcześniej zapadły mu w zmysłową pamięć.

Kiedy? Gdzie?

Odpowiedź ułatwiło zjawisko z rzędu nieoczekiwanych. Na stacji w Kutnie, z całkiem niejasnych powodów, o ile miejscowość nie wyróżniała się znacząco w geografii kraju, nieprzebrane rzesze wagonowych towarzyszy przeredziły się znacząco.

Nie zwlekał. Zbliżył się do nieznanego-znanego na odległość ledwie ćwierć kroku i przystanął, ze wzrokiem utkwionym w chudej, o zapadłych policzkach, ascetycznej twarzy. Nie wymówił słowa.

Cóż pchnęło go do tego czynu, poza wszelkim konwenansem zachowania? Niefrasobliwość, przyrodzone ryzykanctwo, instynkt, ślepy los? Przymus wymykający się racjonalnemu uzasadnieniu? Tak, chyba tak. Gdyby podjąć w tej chwili analizę tego szalonego zachowania, nie wykrylibyśmy żadnych logicznych przesłanek. To nie intelekt kierował nim w tej chwili. Chciał, nie miał wyboru, musiał zaspokoić nienasyconą potrzebę zmierzenia się z tym człowiekiem. Nie krępowała go różnica wieku; inne względy. Podążył, choć ledwie dwa kroki, za głosem namagnesowanego niezwykłością impulsu.

Po dłuższej dopiero chwili, niewzruszony jawną obcesowością obserwator zaokiennej przyrody postanowił przyjąć (przyznajmy śmiało — zwariowane!) wyzwanie młodzieńczych oczu. Dzieliło ich nie tyle ćwierć kroku, co lata, odgradzające doświadczenie od szczeniactwa. Starszy z naszych bohaterów nie szukał z tego tytułu przewagi; nigdy w swoim barwnym życiu

tego nie robił, przyjmując słusznie, że tak zwane życiowe doświadczenie niekoniecznie daje fory; bywa że nie pomaga, a staje się tylko przeszkodą.

Jak długo trwało to spotkanie dwóch przenikliwości nie sposób ustalić z jakim takim przybliżeniem. Być może tylko chwilę, która zdała im się ponad miarę, może znacznie dłużej. Stali tak, i stali, nieporuszeni, ze spokojem w źrenicach, nie zdradzającym wewnętrznego napięcia. Zaręczyć nie sposób, że nie pokonali w ten sposób Łęczycy, nawet Zgierza.

Który w tym niemym, na oczy tylko, na spojrzenia pojedynku przeważał, ustępował? Swój na swego trafił. Dwa samotne wilki w poszukiwaniu słabości chłonęły się przeciwnika. Kto wie, czy nie dojechaliby w niezwykłości swojej, w tym wzrokowym zmaganiu, i do Łodzi, gdyby nie obdarowana przez naturę jejmość za potrzebą wkraczająca śmiało w wąski korytarz między nimi.

— Ależ proszę bardzo, łaskawa pani. — Wybąkał Janek, tracąc równowagę.

Incydent rozweselił ich nieodwołalnie. Rozpoczął starszy:

— Czy mnie się zdaje, że jesteś pan nachalny? A może znamy się, tylko zagubiłem gdzieś, w pamięci zakamarkach, pańską wizytową kartę? Wyglądasz jakbyś czego szukał... chyba nie w moich kieszeniach aby? Bolszewickim łapsem nie jesteś, więc o co chodzi, drogi panie?

— Janek. Tak mnie wołają. — Usłyszał za całą odpowiedź.

— Zatem panie... Janku, a może po prostu Janku? — Nasz bohater skinął przyzwalająco. — Wybacz, że ja się tak nie przedstawię. Byłoby niebezpiecznie, i nie dla mnie tylko.

— Nie musi pan...

— Pan? Myślałem, że przeszliśmy na ty. — W tonie jego głosu, ze swobodą stałej bywalczyńi, lewitowała kpina.

— Skoro tak, to tak. Nie śmiałem. Dzieli nas jakiś czas.

— Hola! Czy wyglądam aż tak fatalnie? — Kpina poczęła skłaniać się w kierunku wesołości. — Może i racja. Jestem stary. Stary, zmęczony, zdruzgotany, pokonany, bliski znicestwienia...

— Wiem kim jesteś!

— Kim?

— Kochanka się nie zapomina. — Wzrokowa pamięć w końcu się ocknęła. — Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy. Od sławy nie da się uciec. A ty, Sergiuszu, jesteś bardzo sławny. Tak już ten nasz kosmos zbudowany; i ty nie poradzisz.

— To takie oczywiste, to kim jestem? Przecież możesz mnie pamiętać tylko z paru gazet, z kilku zdjęć! Było wiele szumu, gdy zszedłem ze Świętego Krzyża, ale przecież taka sensacyjka szybko mija.

— Nie martw się tak bardzo. Może mam lepszą pamięć niż inni, choć to wątpliwe. A najpewniej bardziej niż innych fascynowała mnie twoja historia. Byłeś moim bohaterem. Bohaterem-pisarzem, bohaterem-przemytnikiem, antybolszewikiem. Chyba nie rozdajesz ostatnio zbyt wielu autografów?

— Autografów jako kto?! Pisarz? — Nie wydrukowałem słowa od siedmiu lat, tak... od siedmiu. — Wzrok Sergiusza powędrował w nieznanym kierunku, w odległe rejony gorzkiej pamięci. — Dokładnie tyle samo nie pisał Stachu, mój przyjaciel. Różnica jest taka, że ja żyję, on już nie. I nigdy nie był przemytnikiem ani agentem; był antykomunistą, taki miał styl życia. Więc gdy przyszli wtedy, siedemnastego, nie widział dla siebie miejsca na tym świecie.

— Dobrze zrobił?

Dawno już zapanował mrok. Rozmowę oświetlało blade światło dochodzące z głębi korytarza, z jedynej nieprzepalonej w długim szeregu lamp żarówki.

— Wolna decyzja wolnego człowieka! Stachu, mój przyjaciel, może najbliższy, był artystą, artystą-antykomunistą; nie, inaczej: artystą-człowiekiem, i całe swoje życie, wszystko nad

czym pracował, co tworzył, co zarzucił niedokończone, wszystko dyktował jednej wizji. To co zrobił wtedy, to zwieńczenie dzieła, ostatni akt artysty, ostatni gest człowieka.

— Jesteś pewien, całkiem jesteś? Czy nie myślisz, że to była ucieczka, ucieczka przed strachem, przed nieznanym? Może bał się, może nie tego bał się co nadchodzi, ale własnej swojej słabości? Każdy człowiek to w sobie ma, słabość.

— Słabość? Strach? I przy tym Witkacy?! — Zachnął się. — Żałuję, że go nigdy nie poznałeś, żałuj i ty. Nigdy nie zadawałbyś takich pytań. Witkacy to moc, siła, tupet niebывały, odwaga, lew; ale nie lew w klatce. Lew ryczący, z wielką grzywą, dziwny lew, dziwny doprawdy; gotowy rzucić się z pazurami, zębiskami na całe hordy wrogów, a po chwili przygarnąć do serca sarenkę. Król, król istnienia, trochę tylko zagubiony w kosmosie. Poszukujący, i bliski celu, jakże bardzo. Widywałem go, widziałem przy pracy, mknącego w przestrzeń fantazji. Bez hamulców, kompleksów, walącego pięściami w bramy Nieba, kopiącego w tarczę szatana, dobijającego się o prawdę, o każdy jej wymiar. Gdybyś go mógł zobaczyć. — Zamilkł, spojrzął w oczy Janka.

Wstrząsnęło nim całym, zadygotał, nie przestawał się wpatrywać w twarz przed sobą.

— Widzę go, widzę go w twoich oczach. Kim jesteś, kim ty jesteś przygodny towarzyszu mojej ostatniej tu podróży? Masz siłę, widzę ją w tobie, jego siłę. — Zwiesił głowę, opuścił nisko, schował twarz. Czy tylko zdawało się Jankowi, że usłyszał łkanie? — Masz jego odwagę. — Po kilku ledwie sekundach podniósł głowę. — Czuję to w tobie. Jesteś ulepiony z tej samej gliny, z tej samej mocy.

— Mocy? Czy moc skłania do ucieczki? Do chowania się w niebyt?

— On nie był żołnierzem, pamiętaj i o tym. A jednak, czy samobójstwo, jego samobójstwo nie jest dowodem wielkiej odwagi, wspaniałym aktem woli? Do końca nie przestał wierzyć;

wierzyć, że człowiek jest w stanie odkryć tajemnicę bytu; odkrył ją może w końcu.

— Nie był żołnierzem?! — Janek podniósł głos. — Co to znaczy, nie być żołnierzem, tu?! Czy my w ogóle mamy jakiś wybór? — Zagarnął ręką obszerne kawały pustki wokół. Nie był żołnierzem?! Dobrze sobie! To, co, wedle ciebie? Wszyscy mamy pójść jego śladem? Odbezpieczyć, co kto tam ma w kieszeni i palnąć sobie w łeb?! Czy ty tak myślisz Sergieju?! To już! — Szał, szął słów, gestów począł wzbudzać niepokojąco dużo uwagi. — Wyjmujemy... i trach, palmy w łeb!

— I po co?! — Sergiusz próbował przytrzymać rozdygotane ręce Janka. Chwycił je mocno, w przegubach. — I po co tak się irytować?! — Starał się go uspokoić, poskromić rozpetane nerwy. — Co z tego, że cię Kryśka wyciułała? — Niby skierowane do Janka, słowa miały objąć swoim zasięgiem całe niepowołane audytorium. — Czy jedna ona na świecie, lafirynda? Znajdzie się inna, nie bój!

Chwycił Janka za ramię i przesunął w kierunku klozetu, schodząc z linii wścibskich wielooczu.

— Puszczają ci struny, rozumiem?! — Przeszedł w szept. — Nie chcesz chyba, żeby zainteresowali się nami? Tu, w wagonie?! Żadnych prawie szans na skuteczną akcję. Taki z ciebie żołnierz? — Gadał trochę bez sensu, ale i jemu udzieliły się emocje.

— Czy naprawdę myślisz — Sergiusz mówił już spokojniej — że wszyscy w tym kraju ludzie przywoici powinni zostać żołnierzami, nieważne, umieją strzelać czy nigdy nie trzymali karabinu? Mają dwadzieścia czy sto dwadzieścia lat? Przeskakują trzymetrowy mur jakby wsuwali akurat kajzerkę z masłem? A jeśli mają galopujące suchoty i każdy kolejny oddech to dla nich mistrzostwo świata?!

— Nie, nie Sergiusz! Zbaczasz! Pomijam w tej chwili Witkacego, nie chodzi o niego, ale o regulę, rozumiesz? O zasadę! Jak ci się zdaje — ciągnął Janek — dlaczego teraz

stoimy tak blisko tego gówna? — Ręką wskazał, przypadkiem, na pomieszczenie sanitarne. — Spójrz na to całe ściervo dookolne, na cały ten szlam! — Powtórzył, podnosząc szept. — Przecież nie chodzi o to, żeby nagle trzydzieści milionów rzuciło się z kosami do lasu. Miliony, nie miliony, ale... — nagle jakby się otrząsnął z niewidocznej jakiejś uwięzi. — Czy wiesz ilu nas jest w tej chwili, ilu nas walczy na Pomorzu? Ile w Białostockim? Ilu w Wielkopolsce? Chcesz, podać ci liczby, zdać raport?! — Z trudem hamował nerwy. — Jak ci się zdaje, dlaczego na stu czerwonych przypada jeden nasz?! Dlaczego z tą zarazą nikt nie chce walczyć?

Sergiusz milczał. Wpatrywał się w młodość. Nie, nie w młodość. To nie było to. Mimo niejakiej delikatności w gestach, mimice, spojrzeniu, w posturze całej, w sumarycznym odczuciu każdego, kto miał okazję Janka choć trochę poznać, predominowało jedno — dojrzałość. Dojrzałość nie w znaczeniu pierwszych symptomów posunięcia w czasie, zakoli podkreślających wiekową mądrość czoła, kępy włosowej nicości na czubku głowy, zmarszczek takich i siakich, bruzd. Nie, całkiem nie — twarz Janka była niczym zdjęta z ikony Rublowa — twarz-idea pisana wyobrażeniem artysty. Jej proporcjonalne łagodne i ostre zarazem rysy sumowały, trudne do sprecyzowania, głębię z przejrzystością, siłę z delikatnością spokoju.

Na tę twarz patrzył teraz w milczeniu Sergiusz, próbując określić jej niezwykle wrażenie w jakiejś zgrabnej, krótkiej formule. Nie, zdecydowanie brakowało mu talentu. „Gdyby był tu dziś Stachu z jego wszechpojemnym spojrzeniem świdrująco-przenikliwym; cóż by to mógł być za portret? Wiem przynajmniej tyle — pomyślał — że on zostanie tu. Prawdziwy wódz.”

— Wybacz! Zamyśliłem się! — Powoli wracał do świata prozaicznego wymiaru. — Tak, zamyśliłem się, ale nie odbiegłem zbyt daleko od naszej rozmowy. Właściwie, całkiem nigdzie nie odszedłem, a byłem może nawet bliżej. Widzisz, być może, w pewnym sensie, masz wiele racji.

— Czyli, że nie mam, chcesz powiedzieć?

— Nie, nie całkiem. To nie jest takie proste, ale — zawahał się — pozwól może łaskawco... „Predestynowany czy nie — pomyślał — sam musi poznać swoją przyszłość, przeznaczenie.”

Dojeżdżali do Łodzi.

Będzie mała awanturka, obiecuję!

Pociąg z mozołem, świstem, wstrząsami całej swojej zwalistej, podłużnej bryły, usiłował powstrzymać niepohamowany swój pęd w najstosowniejszym odcinku przyperonowych torów.

Podróżni, jak to podróżni, przyjmują taką chwilę na ogół ze swojego rodzaju ni to rozdrażnieniem, ni nerwowością. „Czy uda mi się w porę wysiąść? Czy uratuję moje toboły przed kradzieżą, chwilowym przywłaszczeniem (tak bywa, że bagaży się nie taszczy, a broni!), zapomnieniem, zagubieniem? Ilu to intruzów nieobytych, nieumytych, sapiących, siorbiących, nad miarę dociekliwych, a może, po prostu, pijanych, zaczkanych, agresywnych wlezie nam do przedziału, korytarza?

I z drugiej strony pędzącego świata, stojący na peronie w narastającym wyczekiwaniu: czy przyjedzie, jaki będzie, czy uda się wsiąść, wskoczyć, wepchnąć, a co z bagażami? Czy przypadkiem (też mi przypadek!) nikt nam niczego nie ukradnie? Jednym słowem — nerwy! Nerwy, Panie i Panowie; któż tego nie zna, nie doznał osobiście?

A przecież wszystko to ledwie letnie kakałko z kożuszkim (a FUUJJ!) w zestawieniu z wizją najbardziej przecież realną i stałą, aż po szczyt monotonii — bolszewicką nawałą podróżną!

Ilu ich było dokładnie, nikt wam nie powie. (Któż by tam ścierwo owo liczył?!) Było ich w każdym razie dość wielu, aby skutecznie zepchnąć Sergiusza i Janka w sam wagonowy na-

roźnik, pomiędzy drzwi przeciwległego wejścia, zamknięte teraz, a ścianę tylną, tuż przy międzywagonowej platformie.

Zapytacie może, przebiegle, skąd się owi bolszewicy na świecie i w Łodzi wzięli? Cóż, pytanie nie takie znów łatwe do dania odpowiedzi, przynajmniej jeśli gotowi nie jesteście — a wiem, że nie jesteście — na wyczytywanie nudnych jak flaki z lebiodą, tasiemcowatych publicystycznych dyrdymałów. (Dlatego to i piszę nawiasowo tylko).

Ludzkie poglądy na bolszewizm w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku podlegały przemianie: od skrajnej niewiedzy: „Co to za jedni ci bolszewicy? — Sami, sły-szałam, Żydzi”. Poprzez jakie-takie ogarnięcie złożonej materii na gruncie psychicznym: „To zaraz taka, ‘czuma’ znaczy”. Aż po chęć nieodpartą ustalenia z owym czymś (no, już nie z przed-stawicielami mocy piekielnych na Ziemi, a raczej — społecz-nymi eksperymentatorami w stylu Deweyowskim) jakiegoś *modus vivendi*; w końcu tezę wykutą w znoju walki z hitlerow-skim okupantem: „sojuszніка...”

Cóż to wszystko w konsekwencji znaczy?

Ano, oznacza zjawisko, które w największym skrócie można określić jako ewolucję.

Ewolucja nie jest całkiem ślepa. Nie zna celu, do którego zmierza, kieruje się jednak w swoim przebiegu pewnym postu-latem bytowym — pragnieniem przystosowania się, jak najlep-szego dopasowania do istniejących warunków. Na ogół kojarzymy pojęcie ewolucji z przyrodą, a jednak termin ten do-skonale sprawdza się także w przestrzeni politycznej czy też polityczno-ideologicznej — zmienny w czasie stosunek do bol-szewizmu jest tego zastosowania wyśmienitą ilustracją.

Bolszewizm był na ziemiach lokowanych wzdłuż Wisły sku-tecznie i z pełnym przekonaniem zwalczany u progu lat dwu-dziestych XX wieku, czego kulminacyjnym momentem była

Bitwa Warszawska i towarzyszące jej okoliczności. Na ogół panowała zgoda, że bolszewizm stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla istnienia państwa polskiego. W chwili jednak, gdy niebezpieczeństwo zagłady ustało, zaczęły się polityczne rachuby i kalkulacje. Uznano, na przykład, że nie opłaca się tego bolszewickiego wroga niszczyć całkiem bez miary, a to ponieważ — w przypadku jego upadku — nadejść może wróg potężniejszy, dawna Rosja.

Przyjęto nadto — choć po dziś dzień i wierzyć się nie chce, że podobnie poroniona i zbrodnicza myśl mogła w czyjejś głowie zagościć — że nowe bolszewickie państwo jest odpowiednim podmiotem, aby wziąć na swoje barki wielki, jak dostrzegano, problem narodowościowy, który na wschodzie zagrażał jakoby poważnymi problemami społecznymi i politycznymi. Z tego tytułu, a w wyniku podpisanego z bolszewikami pokoju, państwo polskie dobrowolnie zrzekło się na rzecz bolszewików ogromnych terenów, zamieszkałych przez miliony Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Litwinów, Polaków, tym samym skazując ich wszystkich na nędzę i terror bolszewickich oprawców.

W imię czego? W imię narodowej czystości, konsolidacji, w imię przekonania, że te trzydzieści parę procent mniejszości, które pozostały na terenie II RP uda się jakoś stłamsić, zasymilować?! (Obrzydliwość! Obrzydliwość! I grzech, za który dzisiaj przychodzi nam płacić!)

Nadeszła wojna, a z nią kolejne, niebywałe wcześniej, powodzenie zarazy. Żadna dziedzina sztuki nie oferuje równie sensualnych wrażeń, co bolszewicki paradoks w zderzeniu (czy raczej — w lepkiem plaśnięciu kisielowatym) z tradycyjnymi pojęciami. Kraj, któremu podczas bolszewickiego ataku zagarnięto 51 procent terytorium, wobec tej agresji nie zdecydował się zareagować w żaden (proporcjonalny) sposób; władze naczelne zakazały żołnierzom występować w obronie ojczyzny.

W dwa lata później, w nieco odmienionej sytuacji wojennej, te same władze zawarły z agresorem porozumienie, mimo że ten w najmniejszej nawet mierze nie zaniechał swoich agresywnych planów.

Ujawniona w kwietniu 1943 roku zbrodnia katyńska nie zmieniła jednostronnej polityki uległości, a bolszewicy określani zostali na nowo przy użyciu sofistycznej formuły „sojusznika naszych sojuszników” — kogoś, z kim bardzo chciałoby się ubić interes, choć tenże nie ma na to najmniejszej ochoty.

Bezpośrednim efektem tego tragicznego konceptu była „burza” — nieznana wcześniej w ludzkiej historii praktyka pomagania agresorowi, wszelkimi dostępnymi środkami, do przejmowania coraz to nowych połaci ojczyzny; wszystko w zamian za zbrodnie dokonywane na kadrze dowódczej i szeregowych żołnierzach, w podzięce za zsyłanie do obozów koncentracyjnych, za wcielanie do komunistycznej organizacji wojskowej siłą.

W końcu, gdy klęska stała się nie widmem tylko, a faktem, obowiązywać poczęła teza ukuta przez szefa podziemnej propagandy: „nie taki diabeł straszny, jak go malują” — zbudowana ze słów brama triumfalna zakamuflowanej kapitulacji.

I teraz już łatwiej możemy odpowiedzieć na pytanie, skąd nagle w wagonowym przedsionku, przyduszając naszych bohaterów do ściany, tyłu znalazło się bolszewików. Czy na tych ziemiach, albo w Łodzi samej, dokonana się była bolszewicka rewolucja? Nie, zgoła, żadnych gwałtownych przewrotów nie było.

Przemiana nastąpiła nadzwyczaj gładko: Przyszedł bolszewizm, nastał. I trwa.

Jako już się rzekło, do wagonu wpadła bolszewicka masa. W masie swojej hałaśliwa, arogancka, chamska, gotowa na nic nie zważać, a zrobić każde świństwo. Wszystko młodzi chłopcy,

rekruci ledwie dwa dni po zaprzysiężeniu; butni, świeżo napompowani szczerą wiarą w bolszewickie ideały (a jakże inaczej, po siedmiomiesięcznej koszarowej indoktrynacji?) oraz dozą chmielu, stali teraz, gestykulowali, coś tam nawet wykrzykiwali niewyraźnie (czyżby pieśń o genialnym Stalinie? — Moja narratorska cenzura nie pozwoli na publikację podobnego świństwa!), a mowa ich wskazywała wilczy apetyt na... cokolwiek niezwiązanego z szarym koszarowym życiem. Czy mieli czas i ochotę, żeby rozglądać się wokół, zwracać na kogokolwiek uwagę, na Janka, na Sergiusza? Rzecz jasna całkiem im to do głowy nie przychodziło; było zatem bezpiecznie, do czasu.

„Co to, do cholery, co znaczy... bezpiecznie?” Nie mogli teraz rozmawiać, przynajmniej w sposób i na temat, jaki ich interesował, więc milczeli, a Janek wpadał przez to niedobrowolne milczenie w coraz większą, drapieżną pasję.

„Jestem bezpieczny, bo co, bo banda bolszewickich szczeniaków raczy nie zwracać na mnie uwagi? Mam się może z tego cieszyć, a może lepiej ukryć się w klozecie?!” Czuł w całym sobie gotującą się krew, gniew, gniew i drzenie, w jakimś dzikim już niemal paroksyzmie nienawiści. Jeszcze moment, jeszcze...

W czarnej jak te myśli szybko uchwycił podrygującą w takt wagonowego rozkołysania posturę Sergiusza; zimne, jakby wyłączone całkiem z chwili, nieobecne oczy. „Czy jemu to obojętne? Jemu, który z dziką furią potrafił reagować na każdy przejaw chamstwa, pospolitości? I po co ja się tak nakręcam? — Starał się wyhamowywać wzburzenie. — Spokój Janku! Spokój! Przecież obecność tej bolszewickiej zgrai tu, w tym korytarzu, jest równie naturalna jak monotonia stukotu kół pod podłogą, na której stoimy. Ale...”

Zgrzytliwy dźwięk rozsuwanych drzwi, prowadzących do wagonu za nimi, z jednoczesnym uderzeniem w bark, zwielokrotniony przy tym hałas stalowych kół, wirujących po nierównościach żelaznej drogi, wstrząsnęły podskórnymi nerwami jego ciała.

— Aaa! Witajcie śliczne panie! — Jeden z bardziej hałaśliwych wagonowych intruzów rozłożył raptem ręce w geście kordialnego powitania na widok dwóch młodych dziewczyn, na oko dziewiętnastoletnich, które z jakiegoś, sobie tylko znanego powodu, postanowiły zawędrować w to miejsce; cofnął się przy tym gwałtownie, nacierając bezmyślną bryłą ciała na plecy Janka; jego rozwarte ramiona umiejętnie zamykały dziewczynom drogę w kierunku korytarza i przedziałów.

— Cześć chłopcy! — Wyższa i zgrabniejsza w ni to żakiecie, ni to marynarce koloru stalowo-burego nie traciła orientacji, mimo że w jednej chwili obie zostały szczelnie otoczone podwójnym masywem męskiego zainteresowania. — Mamy bardzo ważną sprawę, zróbcie przejście... — uśmiechała się wesolo z ledwie wyczuwalną rezerwą; na policzkach wyłoniły się rumieńce. — No, zróbcie miejsce, nie można nawet oddychać! — Starła się strząsnąć nieopieszale ręce, które poczuła nieprzyjemnie na włosach, ramionach, biodrach. Koleżanka bladła, jej głowa zaczęła podskakiwać mimowolnym tikiem. Żadna dłoń nawet jej jeszcze nie musnęła.

— Jakie tam ważne sprawy?! Bujdy ważne. Widzicie, dziewczęta — młody bolszewik zabawnie zaakcentował przedostatnią sylabę: „częęęęta”... — Widzicie, my siedem miechów w koszarach, rygor, musztra, apele, z rozrywek to tylko onuce śmierdzące, ja wam powiem... i żadnej dziewczyny; wiecie, w plutonie, w kompanii... żadnej, siedem miesięcy — gwałtownymi ruchami począł strzepywać, pomagając niby, natrętne łapy z ciała dziewczyny.

— No puść nas, puść! — Instynktownie uznała go za najważniejszego w chamskiej bandzie. — Musimy... — zaczęła jakby skomleć, wciąż z grymasem uśmiechu przyłgniętym do twarzy. — Chodź Zosia! — Krzyknęła i chwytając koleżankę mocno za rękę, szturmując ciałem na wprost, poprzez gadatliwego, usiłowała przeforsować swoje postanowienie.

— Ale czy ja mówię do was jakimś innym językiem?! — Bez trudu powstrzymał próbę wyrwania się z oblężenia, nie zwracając na nią nawet uwagi. — Czy mam mówić kolorowo, czy jakoś odświętnie? Przecież jestem wyraźny. — Ręce, tylko nachalne przed momentem, tuzin, albo i więcej, rąk, błyskawicznie traciły poczucie wstydu. Obie strzepywały je z siebie z obrzydzeniem, obrzydzeniem przeplatany śmiechem jakimś nerwowo-chorobliwym, kwikiem. Ręce były już nie tylko tam, gdzie nie wypada.

— Dość tego, chamy! Zawołam konduktora! — Czuła, że nie ma ratunku. — To gwałt! Wszyscy pójdziecie do więzienia siedzieć za to... — Sama wiedziała, że to niedobra argumentacja.

— O! Jaśnie panie hrabiny!? Co żeście, porcelanowe, że takie kruche i wrażliwe. — Śmiał się szyderczo. — Mówiłem prze..., mówiłem, chłopaki wyposzczone, siedem miesięcy w koszarach, bez jednego razu. O, tu mamy wspaniały apartament — głową wskazał klozet — tam dacie żołnierzom, młodym komunistom, po dobroci, patriotycznie. My żadni gwałciciele, tylko żołnierze w potrzebie. Przecież wam nie zużyjemy tych waszych dziupelek.

— Gnoju! Gnoooooju pierdooolony!!!

Czy ryk jednego gardła, rozpaczliwy w gniewie i ostateczności, może powalić na kolana? Gdyby nawet ewentualność taka dążyła do nieuchronnego spełnienia, ubiegła ją ręka każąca, nielitościwa, i ból nieziemsko-upadlający, rozgalaretowaną febrą przenikający synapsy głowy, grzbietu, szyi; wrzącą lawą spływający w dół poprzez barki i lędźwie zaatakowanego wodzireja bandy. Przyczyną tego doznania była zaledwie dłoń Janka, odrywająca od czerepu skręcone gwałtownie ucho bolszewika.

Ból prawdopodobnie nie ma wytyczonych granic, nie wydaje się także mierzalny, co najwyżej — wyobraźalny, szczególnie pewnie przez tych, którzy w życiu doznali go ponadprzeciętnie. W danym tu przypadku jego symptomy

uniemożliwiały ludzką egzystencję w pełnym tego słowa znaczeniu. Choć właściwie, czy zapisano kiedyś dowód stanowiący, że gdy człowiek oderwany zostaje od swojego ducha i świadomości, gdy pozostaje tylko już materia, że wówczas przestaje być? Na przekór podobnym mniemaniom, ciało bolszewika nieustępliwie wydawało z siebie impulsy obecności. Wiło się i charczało, ślizgało stopami obutymi w rude kamasze w kierunku towarzyszy, wykręcało się i purpurowiało, kwiliło i pojękiwało niczym mały ptaszek, w końcu, po krótkiej jeszcze walce, zastygło niemal całkiem; ostatnim akcentem męki była stróżka płynu wyciekająca z nogawki.

Niedoszli gwałciciele tłoczyli się, oniemiaли, w przeciwnym kierunku. W centrum zrobiło się pusto, nie licząc dziewczyn zastygłych w paraliżującym strachu. Gdyby nie nieustający stukot kół o nierówne pod nimi łączenia szyn, zapadłaby grobowa cisza.

— No co jest, kutafony?! — Dziobaty, rudy kurdupel był najbardziej charakterny z pozostałej na placu awantury bandy. — Boicie się taaaakiego gnooojka?! Takiego wymuskanego delikacika? — Poziomem argumentacji nie olśniewał.

Okrzyk najwyraźniej zadziałał. Bolszewicka kupa zbiła się w sobie, stwardniała, zhardziała; tu i ówdzie, w dwóch czy trzech dłoniach błysnęły ostrza noży. Jeszcze ułamek sekundy, może jedna cała, i rzucą się z dzikim wrzaskiem. Janek, nie licząc naderwanego ucha omdlałego bolszewika, nie miał w swoich dłoniach absolutnie nic, żadnej broni. Jediną między nimi przegrodę stanowiły dwie struchlałe dziewczyny.

— No, dalej chłopcy! Dalej towarzysze... — niewprawnie wyjąkał nowe słowo. — Dorwijmy sukinsyna, burżuuj. Skopmy mu dupę, wypierdolmy gównem z pociągu! — Zwierał psychiczne muskuły bandy.

Ruszyli swoją masą, wpychając w kąt dziewczyny, sami sobie przeszkadzali nawzajem — było ich za wielu, za dużo na małej przestrzeni. A jednak, pierwsze uderzenia, szarpnięcia, kopniaki poczęły dochodzić celu, do Janka, który zasłaniał się

teraz jak mógł zwiotczałymi resztkami bolszewika; ratunku nie było żadnego. Wiedział, że będzie musiał ustąpić przed zmasowaną agresją, nie da się nic zrobić, kto wie... z wargi i nosa lała się krew, cios w wątrobę — nie do wytrzymania ból.

— I szto praischodit tawariszczej? Kراسиво tak puteszestwowat?

Głos nie przypominał żadnego z dotychczasowych dźwięków. Nie był wyjątkowo jakoś głośny, ale i nieszczególnie cichy. Raczej bezemocjonalny, suchy, kancelaryjno jakoś urzędowy, głos — jakby to najlepiej ująć? — zwierzchności; nie, nie rozkazujący czy opresyjny — już raczej właśnie bratersko-ojcowski, pedagogiczny.

I ten język; język, który młodej bandzie nie kojarzył się bynajmniej z Puszkinem, Turgieniewem, Czechowem — gdyby mógł, kojarzyłby się najpewniej z Cziczikowem, „ani chudym, ani tłustym” reprezentantem pewnego porządku — ponieważ jednak podobne myślowe tropy były całkiem nie na miejscu, kierował myśli ot, w stronę towarzyszy radzieckich. Naszła ich nagle ochota na ucieczkę, zamiast tego jednak stanęli prawie na baczność, nieporadnie, krzywo, niesprężyście, ale z szacunkiem dla służby, zwierzchności, towarzysza, raczącego zadać im aż dwa pytania, których sensu nie mogli rozumieć.

— No i szto, riebiata? Towarzysze żołnierze? — Stopniowo przechodził na polski (i dzięki mu za to dozgonne!). — Czy godzi tak się zachowywać, tak hańbić mundur? Czy widzieliście kiedy, żeby który z naszych żołdatów tak źle postępował, łaaa?! — Wnikliwe oczy penetrowały skrupulatnie całą grupę; w ich kąciakach poukrywały się niemierzalne drobiny ironii.

Zmrozeni reprimendą najwyższej, jak myśleli, instancji, nie ośmielali się spoglądać powyżej butów i nogawek jego wąskich, zakurzonych spodni. Dlaczego sowiecki oficer (może nkwd, może smiersz, może wojsko?) podróżuje po tym kraju w cywilnym ubraniu, takiego pytania zadać nie mogli. Nie śmieliby. Zresztą, przyjemny tylko zakres ich spojrzeń na to nie pozwalał.

— Ech, łachudry! — Pociąg zwalniał przed stacją. — Weźcie mi jeno tego zdechlaka i... paszli z wagona, już! — Nie namyślali się nad komendą; komu do głowy przychodzi coś podobnego? Raz ustalona pod zwierzchnością subordynacja nie zna miary, nie ma granic. Może to i dobrze, że pociąg zwalniał właśnie, że lokomotywa za moment zatrzyma się, oddając pod siebie parą przejechanego świeżo odcinka Łódź-Tomaszów. Gdyby nie ta szczęśliwa koincydencja, kto wie czy nie przyszyłoby wyskakiwać w biegu, na łeb, na szyję, byle dalej, byle szybciej... Od czego właściwie?

Czy mogliby się zastanawiać nad istotą uległości, mniej urzędowej w formie rezygnacji z autonomii i chyba, chyba o znacznie szerszym znaczeniu. Uległość była zapisana w każdym od dziecka; nie ma człowieka bezwzględnie od niej wolnego, suwerennego w najdrobniejszej kwestii. Tym razem ujawniła się w nich w całej swojej niewolniczo-trusiej naturze. Czuli ją w sobie, mimowolnie chwalili nawet, hołubili, ona była gwarancją, azylem, celem. Czy do uzewnętrznienia tej natury był im potrzebny bolszewicki treser, strażnik, prześladowca, przewodnik? Czy gdyby nie jego obecność — uległość pozostałaby zahibernowana w nich, utajona?

W Tomaszowie pociąg mocno się opróżnił. A może to tylko ten rozawanturowany wagon, ostemplowany anatemą niedoszłej tu zbrodni, w magiczny sposób odstręczał potencjalnych pasażerów? Czy to możliwe, żeby nikt nie zmierzał do Krakowa i jeszcze niżej, w podbrzusze upodłonego kraju? W niemal pustym już teraz korytarzu pozostały tylko cztery osoby.

Sergiusz stał oparty o tylną ścianę wagonu i wpatrywał się w mroki horyzontu; Janek, przytykając nie całkiem czystą chusteczkę, próbował powstrzymać ciec, ciekącą z nosa i poszarpanej wargi; przytulone do siebie dziewczęta stały, ni to kucały, oparte o suwane drzwi prowadzące na platformę.

— I co, panienki? Tęsknicie już pewnie do domu? Odechciewa wam się podróżowania? — Sergiusz odwrócił się elastycznie na pięcie i zagaił do przestraszonych wciąż dziewczyn. Gdzie ewaporował poganiacz zbydlęconej hałastry, tego dziewczyny wiedzieć nie mogły. Uśmiechał się teraz, odrobinę nawet łagodnie, a jego oczy nie ciskały błysków, nie badały żadnej ofiary; ciekawe, absorbowały ich dziewczęcą obecność.

— Jeszcze nie tęsknimy, dopiero cośmy wyjechały. — Odpowiedziała ta odważniejsza.

— Studiujemy w Krakowie, nie możemy teraz wracać do domu. Zaraz mamy sesję, to znaczy egzaminy. — Druga z dziewczyn nie okazała się wcale niemową.

— Ach, jesteście studentkami? — Sergiusz jakby się bardziej ożywił. — I cóż wy takiego studiujecie, drogie panie?

— Czy ja mogę pomóc? — Uszminkowany uśmiech śmielszej był odrobinę bardziej niż zalotny. Z obszernego, zgniło-zielonego chlebaka, przewieszzonego na skos piersi, wyjęła czystą chustkę. — Proszę wziąć tę, pana chustka jest już całkiem przemoczona, i trzymać głowę nisko, jak najniżej; zaraz namoczę ręcznik wodą i przyłożymy go do karku — to najlepszy sposób na takie krwawienie.

— O, zgaduję, medycynę? — Sergiusz uśmiechnął się do tej drugiej.

— Wcale, że nie! — Wesoły głos dobiegł spoza uchylonych drzwi toalety, gdzie pierwsza z dziewczyn majstrowała przy umywalce w poszukiwaniu wody.

— Daj spokój, przecież tu nie ma żadnej wody. — Przekonywała koleżankę ta potencjalnie mniej śmiała. — Weź wodę ode mnie, mam jeszcze całą butelkę. — Poczęła przesuwać przewieszony przez ramię zielony plecak.

— W butelce woda? Zwykła, czysta woda? — Nie wiedzieć czemu Sergiusz dziwił się bardzo.

— Takie czasy, nie ma czemu się dziwić! Trudno nawet o herbatę. — Odpowiedziała śmiało, podając wyciągniętą butelkę koleżance. — Herbata dziś jak Historia, przez wielkie „H” pisana być winna.

— To znaczy, co? Przekłęci bolszewicy nawet herbatę zaiwa... — niedokończony dowcip zamarł mu na ustach. Dostrzegł wielkie pomieszenie w oczach dziewczyny, nagle.

— Bolszewik? — Przyglądał jej się z uwagą. — Czy to cię zastanawia? Myślisz, że ja nim jestem? Że dlatego ta chamska sfora przeleżała się i uciekła? Tak teraz pomyślałaś, prawda?!

— Za chwilę powinno przestać, jeszcze trochę cierpliwości. To pomoże na pewno. — Pierwsza przyłożyła ręcznik Jankowi do karku. Podtrzymując go jedną ręką, drugą, mimowolnie, pogładziła go po włosach. — Jezu! Jakie aksamitne? Jakie pan ma miękkie włosy?!

— Nakrzyczał pan na nich po rosyjsku, czy nie? — Druga była wyraźnie zmieszana pytaniem Sergiusza.

— Dziękuję! — Poprzez rozerwaną, krwawiącą wargę wymamrotał Janek, z głową prawie między kolanami. — Pani też jest bardzo ładna. — Dodał całkiem bez sensu.

— I cóż z tego moja panno, że użyłem w rozmowie, no — w monologu, że powiedziałem coś po rosyjsku? Czy rosyjski czyni ze mnie bolszewika? Jak pani myśli?

— A teraz to pan jest uroczy i nad wyraz łaskawy. — Kokietowała. — Gdzie ja tam jestem ładna?

Rozmowa (raczej dwie rozmowy w jednej) straciła od jakiegoś czasu ogólny charakter. Ciężko się połąpać, wiem.

— Przecież... przecież... — całkiem nie była pewna, czy nie pakuje się w tarapaty — to Rosjanie przynieśli do nas bolszewizm, przynieśli go od siebie?! Przecież tak wszyscy mówią, nawet rząd, w Londynie. — Czuła, czuła kropelkami potu na czole i nagłym zwilgotnieniem pod pachami, że rozmowa staje

się niebezpieczna. „Po co ja to mówię? Po co rozmawiam? Przecież on może być...”

— Jest pani dla mnie taka dobra, więc musi być i ładna. — Brnąc dalej bez sensu, podnosząc powoli opuszczoną nisko głowę, przebiegał oczami powoli poprzez kształty jej ciała, po dekolt granatowej, znoszonej koszuli, poprzez smukłość szyi, do twarzy. Nie, nie była ładna. Była dziełem sztuki. Zdumiewającym. Naszkicowanym kredką Modiglianiego. Stała blisko.

— Rosjanin znaczy bolszewik, czy dobrze panią rozumiem? W takim razie pozwoli szanowna pani — skłonił głowę w nader teatralnym geście — że postaram się ją zszokować. Otóż, widzisz moje dziecko — zmiana osobowej formy w jego ustach nie raziała w tej chwili — jestem, mogę o sobie powiedzieć, oczywiście jeśli trzymać się pani teorii, jestem bolszewikiem niejako z urodzenia, bo moim pierwszym językiem jest rosyjski, mój ojciec przyszedł na świat jako Rosjanin, jego ojciec także, i proszę sobie jeszcze wyobrazić, że i tegoż rodziciel uparł się być (swojego czasu), żeby za takiego uchodzić. Dasz wiarę, moje dziecko?

— A więc to taki z pana pochlebca?! — Wyszeptwała niskim altem. — Piękna, piękna moja... choć jeszcze Cię nie widziałem!?

— Piękna, piękna... — wyszeptał. — I pięć horyzontów obraca się wokół jej duszy...

— Pochlebca i... poeta do tego?

Stali naprzeciwko siebie. On uśmiechał się, nieco głupawo, oczarowany, ona syciła oczy. Milczeli, milczeli wymownie, zbyt wymownie, i to w końcu Janka zaniepokoiło. „Co ja...?” Pomyślał charakterystycznym dla siebie skrótem.

— A ci chłopczy, to znaczy — te chamy, co chciały nas chyba zgwałcić? Przecież oni myśleli, że jest pan właśnie bolszewikiem i ważnym, bo mówi pan do nich po rosyjsku. — Zamilkła nagle, uświadomiła sobie, że jeszcze przecież nie wie z kim rozmawia.

Dojeżdżali do Krakowa.

— No, nie bój się głuptasku. — Sergiusz pogładził dziewczynę po włosach. — Nie jestem bolszewikiem, nigdy nie byłem i nigdy nie będę. Ale wy uważajcie, drogie panie. Jeszcze więcej bolszewików czyha na was na tym waszym uniwersytecie. Żegnajcie. Nie możemy wysiadać razem.

— Aleee... — druga nie chciała takiego pożegnania — przecież nie skończyliśmy jeszcze rozmawiać.

— Spotkamy się? — Pierwsza nie spuszczała oczu. — Kiwnął głową.

— Może, kiedyś. Może los da...

— Koszmarnie jestem zmęczony. Chyba się starzeję.

Janek spojrzał na porytą zmarszczkami twarz. Nie, nie wyglądał staro. Gdyby nie plątanina linii wyżłobiona głęboko w skórze, nie dałby mu więcej niż czterdzieści lat. Z całej postaci emanowała sprężysta drapieżność.

— Nie dokończyliśmy naszej dyskusji, ledwie zaczęliśmy. Teraz jest pierwsza. Może spotkamy się gdzieś jutro, to znaczy dzisiaj? — Sergiusz miał wielką ochotę na kontynuowanie przerwanej rozmowy.

— Nie, nie mogę, o dziesiątej mam ważne spotkanie, a później też nie będę mógł.

— Też jestem od rana zajęty. Liczyłem, że sporo się od ciebie dowiem. — To może... — Sergiusz spojrzał na Janka jakby brał z niego miarę na ubranie. — Może pójdziemy do knajpy, na jednego, pod sielawkę? Sprawdźmy, co z ciebie za harcerz.

— Gdzie ta twoja knajpa? Nad Naroczą? Sielawę chcesz jeść w Krakowie?

Weszli do pierwszej z brzegu czynnej, wesołej jeszcze ciągle restauracji „Turystyczna”.

— Patrz. — Sergiusz wskazał ręką na wyblakły nieco, zmierniały szyld. — Knajpa dla nas, turystów z dalekiego kraju.

Mimo zdecydowanie późnej pory, lokal tętnił życiem; życiem mocno oderwanym od codzienności, ale czy nie taka jest rola pewnego gatunku przybytków? Szeroka, oświetlona solidnie sala, przy większości stolików goście, mocno podocho-ceni, albo i zmęczeni, w tle pogwaru muzyczny tusz, odgrywany przez zespół złożony z trzech muzyków, kilku uwijających się kelnerów.

— Pomyślałbyś, że trafimy na coś takiego? Jakie to pokręcone. — Sergiusz nie przestawał mówić, uzgadniając z kelnerem stolik z widokiem na drzwi wejściowe. — Wszędzie nędza, ludzie przymierają głodem, a tu! Morze wody, wina, piwa, szczupaki, galarety; piękny ten nasz socjalizm?! — Ogarniał go słowotok.

— Panie Starszy — mówił z pewnością knajpianego by-walca — po lornecie i piwo, i jeszcze coś tam do przegryzienia, co tam macie. Cooo, raz się żyje, nie? — Był, dziwnie jakoś, pod-ekscytowany. — Dzisiaj jest dla mnie szczególny dzień.

— Socjalizm, powiadasz? Tak? Ciekawe, ciekawe. — Janek zdawał się drwić. — Co właściwe miałeś na myśli?

— A no widzisz... — nagle wpadła Sergiuszowi do głowy uboczna myśl. — Pomyśl, czy to nie dziwne? Znamy się ledwie sześć godzin, a wydaje mi się jakbym ciebie znał od Bóg wie kiedy. Ale, wracając do tematu: walka zbrojna, prawdziwa walka z całym tym bolszewickim molochem, z setkami tysięcy uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy, taka walka nie ma sensu. Nic nie poradzisz. Ani ty, ani ja, ani Łupaszka, ani nawet stu Łupaszków. No, stu ich przecież nie mamy. Musimy to sobie jasno powiedzieć. A w takim razie, co nam pozostaje? Moim skromnym zdaniem — uśmiechnął się nieznacznie do tego swojego „skromnego zdania” — musimy się skupić przede wszystkim na rzetelnym informowaniu społeczeństwa. Musimy ich zmusić, ich, bolszewików, do dyskusji, do odkrycia swojej prawdziwej twarzy.

— I ty zamierzasz to właśnie robić? — Janek nie krył zdziwienia, zdziwienia podszytego spontanicznie ironią. — Rywalizować z bolszewikami propagandą? Na słowa, tak?

— Dokładnie! — Sergiusz nie zauważył jeszcze konfuzji jaką wywołał swoim wyznaniem. — Zamierzam to robić, a nawet już zrobiłem. — Zobacz! — Wyjął z kieszeni kilkanaście kartek zapisanych drobnym makiem. — Napisałem do nich wszystkich list, list otwarty. Tytuł: Sto pytań pod adresem „obecnej” Warszawy. Masz, jeśli chcesz, poczytaj sobie. Twoje zdrowie! — Podniósł ze stołu wypełnioną po brzegi ohydny płynem literatkę, zachęcając gestem Janka, aby zrobił to samo. — Do dna!

Oszołomiony wódką Janek wziął do ręki stertę zapisanych kartek i zaczął czytać. Czytał i czytał, a z kolejnymi akapitami, jego zaskoczone zdziwienie coraz wyraźniej malowało się na twarzy:

... walka o prawdę wprowadza w szal tych, którzy tę prawdę obcasami w błoto wbijają. Tak się dzieło w więzieniach i tak się dzieje w obecnej Polsce, która jest olbrzymim więzieniem.

Sympatyzowałem z lwowską grupą pisarzy i poetów komunizujących...

Byłem cały czas pod nadzorem policji.

Bronił mnie, nie wiem, przez kogo wydelegowany i finansowany, adwokat komunistyczny Duracz.

Janek rzucił szybkie spojrzenie w stronę Sergiusza. Czytał dalej:

Nieumieszczenie listu będę traktował za strach przed polskim UB i rosyjskim NKGB, demokrację polską za fikcję, a działalność Pana za wystugiwanie się imperializmowi rosyjskiemu.

— Całkiem nie rozumiem o czym piszesz! Ale... za chwilę!
— Gestem powstrzymał Sergiusza. — Pozwól, chcę przeczytać...

Dlaczego nauczyciel gimnazjalny w Polsce „demokratycznej” otrzymuje od 1000 do 1500 złotych miesięcznie, tzn. wartość kilku złotych przedwojennych. Więc miesięczny zarobek nauczyciela obecnie jest mniejszy od dziennego zarobku przed wojną.

Największe i najlepsze przydziały mają partyjniacy filozowieccy i ich rodziny.

Dlaczego w całej prasie Polski „demokratycznej” (nie rosyjskiej) nie ukazała się karykatura Stalina? Było mnóstwo karykatur — nawet Boga — lecz karykatury Stalina nie ma... Dlaczego?

Dlaczego prasa polska w ohydny sposób szkaluje Papieża? Czy to wypada, bez względu na tendencje polityczne, wobec najwyższego autorytetu świata katolickiego i Kościoła?

Dlaczego mnie — mimo doskonałej znajomości języka rosyjskiego i Rosjan — żołnierze i oficerowie radzieccy obrabowali cztery razy?

Dlaczego partyzantów polskich, którzy na rozkaz rządu w Londynie wystąpili wspólnie z Armią Czerwoną do walki z Niemcami, po zwycięstwie wywieziono do Kaługi? Dlaczego w drodze głodzono ich 4 dni, a w Kałudze na dworcu orkiestra przywitała „Krakowiakiem”?

Dlaczego ja, panie Karolu, nie mogę w tej naszej obecnej „demokratycznej, niepodległej” Polsce przyjść do pana jak dawniej, za złych sanacyjnych czasów, na pogawędkę o biedzie więźniów, o braku wolności słowa i na setki innych tematów? Dlaczego?

— Całkiem nie rozumiem. — Janek podniósł zafrasowane spojrzenie znad kartek. — Jeśli nawet ty...? Czego, powiedz Sergiej, spodziewałeś się po komunistach? Że przełkną jakoś dzisiejszą niechęć, że będą się uśmiechać, zabiegać o twoje i nasze, wszystkich względy; że za wszelką cenę będą chcieli się

nam spodobać? I najlepsze, że będą robić to, co deklarują? Jezus! Jeszcze ta Rosja, ciągle Rosja.

— Ale co ty? — Nie wiedział o co Jankowi chodzi.

— Przecie... sam mówiłeś, że jesteś pół Rosjaninem, że twój ojciec..., co to ma wspólnego z bolszewizmem? Czy Stalin jest Rosjaninem, a może nową Katarzyną, może jest Niemcem? — „Niemożliwe — myślał — niemożliwe, że nawet tacy ludzie jak on, dwójkarz, który przechodził na sowiecką stronę pewnie ze sto razy, poznał ich skundloną naturę lepiej niż ktokolwiek może...”

— Wybacz, wybacz, nie jestem taki kształcony jak ty.

— Sergiej, ja mam tylko maturę, rozumiesz? A ostatni raz siedziałem w ławce — dokładał w myślach palec za palcem — nieważne ile lat temu. Co to ma do rzeczy? Czy ja jestem wykształcony czy nie? Czy trzeba mieć doktorat, żeby wiedzieć kim są te szumowiny?

— Słuchaj — mimo zmęczenia długą podróżą, knajpą, gwarem, wypitą już wódką, spojrzenie Sergiusza nabrało ostrości — słuchaj, polubiłem cię w piątej sekundzie, w dziesiątej minucie kochałem jak brata, kto wie, może to ty jesteś... — urwał na moment — teraz mówisz, że ja nie rozumiem tego ścierwa? Ja, który ćwierć wieku temu zaczytywał ich paskudne mordy, zaglądał w ich kłamliwe ślepie. Jak cię teraz Kocham, oświeć starego durnia, jeśli łaska! Czego nie wiem, czego nie rozumiem?

— Powiedzieć ci, co to jest? — Janek wymachiwał zmieciętymi kartkami w poirytowaniu, całkiem zbytecznym. — Chodziłeś tam, nie miałeś wątpliwości czym to ścierwo pachnie. Niewola, niewola i strach, i upodlenie, wszystko nagle sparszywiało, robaczywe. Ja tam nie byłem wtedy z tobą, wiem, ale przecież to wszystko przyszło do nas w 39, potem w 40, w 44. Czy przyszli Rosjanie? Nie, przyszli bolszewicy. Nie chcą nas rusyfikować przecież, to śmieszne tak myśleć. To wszystko wokół — machnął niedbale — to nie jest żaden najazd. Nie przyjechali

nas mordować, gwałcić, to tylko produkt uboczny, bez znaczenia. Dziś gwałcą, jutro przestaną, pojutrze wycofają swoje wojsko, ale zostaną Sergiej, będą! W naszych głowach zostaną, w naszej mentalności, reakcjach, odetną nam świadomość, duszę nam wydrą! Taki to będzie gwałt. — Dokończył cichym, intensywnym szeptem. — A ty co, liściki im piszesz?

— Dzisiaj wyjeżdżam! — Sergiusz powiedział ze smutną rezygnacją. — Wyjeżdżam, nic tu po mnie. Napijmy się! — Podniósł swój kieliszek w geście zachęty. — Strzemiennego, jak starzy, jak Polacy! Albo nie! — Wykrzyknął, budząc dogorywające przy innych stolikach senne biesiady, olśniony nagłą myślą. — Wyjedziemy razem! A jeśli, jeśli zabraknie miejsca dla nas obu, ja zostanę, a ty, ty musisz, Janek. Ty musisz uciekać, żyć, żyć dla tego kraju! — Mówił szybko, bezładnie.

— Przeeeepraszam, przeprrrrszam panów szanowych. — Zawiany jegomość w ciemnym, pomiętym garniturze, w nie całkiem białej koszuli, przechylał się nad ich stolikiem, kładąc pulchne palce na obrusie. — Czzyyzy, czzyyzyy mi się zdawało, że panowie mówili o bolszewikach? Tu, tu, tu... — jękał się po pijacku — tuuu tego dobra nie brakuje. Ruski? Ruskie porządki, che cheeee che... są, są też, było, było... — usiadł na wolnym krześle, sapnął sobie, odpoczął, sapnął jeszcze raz. — Ja pewnie przeszkadzam?

— Gość w dom, Bóg w dom, tak mnie uczono. — Sergiusz był zły, zły na tego intruza, ale nie chciał być nieuprzejmy.

— Rzygać się chce! — Pijany jegomość powracał krótkimi chwilami do życia. — Rzygać... o, przepraszam, panowie jedzą! Rzygać, wiecie... przed wojną..., za Nieboszczki Polski znaczy, pracowałem tu, w magistracie, nudna praca, ale praca, praca jak praca, wiecie... źle nie było. Więc, tego, no, żyć przecież trzeba. Rozsądzam za i przeciw, waham się: pójdiesz do nich, mówię sobie, o pracę poprosisz...; idź, idź zaraz... I znowu: nie chodź, nie chodź do nich, bo jak się przyczepią...?! Tak myślę sobie i... nie

myślę. — Zmęczył się, oniemiał. — Zgłosiłem się, poszedłem. I dali. Lepszą posadę, biurko... Ja teraz wice, wice, znaczy, kierownik. — Wyprostował się z dumą odruchową, urzędniczą.

— I co z tego? Co z tego? Panie Wiesiu, bo ja Wiesław jestem. Panie Wiesiu, trzeba, żeby się pan trochę wciągnął, powiadają, na spotkanie przyszedł. Bolszewiki pierrrrdo... kto wie, do partii może pana rekomendujemy? Łaskawwwcy! I to taki gówniarz jeden, gówno, gówno... I, widzicie teraz, panowie drodzy, jak to się wszystko układa, bajzluje znaczy: i borsuk w potrzasku; i mało co ze skóry nie wyskoczy.

— Ale oni wszędzie teraz, wszędzie. — Ciągnął wciąż mało składnie. Spojrzał na Sergiusza, na Janka. — Ech, machnął ręką. — Życie-gówno, gówno... Ale po co to ja... wam?! — Wstał lekko, nadspodziewanie, przepłoszony własną szczerością.

— Ja, tego, tego... tam mój stolik. — Odprowadzili go oczami.

— Nie, nie Sergiej. Nie ma mowy. Nigdy, nigdzie, z nikim, nawet z tobą. Nigdy! — Nie wymówił tego magicznego słowa, słowa-tabu. Ja tu, tu zawsze. To jest moja ziemia! Ona jest moją królową. A ja? Ja jestem jej sługą, jej panem!

— Widziałeś tego tu? — Janek wygestykulował w stronę intruza. —Widziałeś? Ktoś ten syf sakramencki musi...

— Ale zrozum... — wiedział już, że jego słowa nie mają sensu, takie to miałkie, gadanie po próznicy. Gadanie, gadanie dla gadania. — Dopadną cię. Nie będę ci mówił co dalej, wiesz co dalej, wiesz nie gorzej ode mnie. Wiem, że się nie boisz, nie ty. Nie chodzi o to, nie o strach, nie o tortury, ale... ty musisz żyć, rozumiesz? Rozumiesz, że oni ci nie pozwolą? Zniszczą, zabiją, trupa zakopią pod murem. Nikt się dowie, zresztą kto? Nie możesz! Nie wolno ci. Jesteś potrzebny tu, ale...

— I sam widzisz. — Janek uśmiechał się trochę jakby litościwie. — Wiesz, to jednak nieprawda. Nie muszą zaraz umierać. Niech ci się nie wydaje, że taki jest mój cel. Nigdy. Nie jestem tu,

żeby umierać. I żeby wygrywać koniecznie, zwyciężać. Jestem stworzony do jednej rzeczy na tym świecie. Żeby ich niszczyć!
— Podniósł kieliszek do góry. — Napijmy się, ostatniego.

IV

PLANTY I ROZMOWY

Raz był tylko w Krakowie do tej pory. Była zima, kapryśna, grudzień, rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy. Wsiadł z pociągu, przeszedł przez nieciekawego dworzec, wyszedł na chodnik zaspanej ulicy, zrobił ledwie kilka kroków, był na plantach: oszronione korony drzew, wątlą śnieg padający z czarnego nieba; niemrawe gawrony na trawce iskrzącej się tu i ówdzie. Żadnej niezwykłości nie było w tym pejzażu. A jednak utkwiał, w pamięci odnotowany. Bywają chwile bez znaczenia, które pamięta się lepiej od innych. Smak, zapach, cisza, minus dziesięć, ciepło, bez wiatru; rześko i lekko; i jakby w domu.

„I choć nie znasz jednej ulicy, jednego budynku, kościoła, placu, i choć nie znasz prawie nikogo, żyjesz tu zaledwie mgłynie, jesteś u siebie od początku, od pierwszej chwili, znasz to wszystko, takie dokładnie wrażenie przenika cię.” Myślał idąc przez nieznaną, poprzez śpiący spokój ulic. „Paramnezja? Nie, całkiem nie. Co zatem? A bo ja wiem, coś wewnątrz jakby, nie-

uchwytne. A może inaczej; może właśnie z drugiej strony; od tamtej, zewnętrznej? Bo czy to my tylko rozpoznajemy naturę, pejzaże? A może i ona, przyroda sama, nie jest wobec naszej obecności obojętna? I ona może łaknie, przywołuje?”

Jak trudno czasem dogonić wspomnienie, wrażenia które zostały, choć wydają się opuszczone. Czy przechadzka przez park, najbardziej „magiczna”, powinna zapadać w nieśmiertelną pamięć? I cóż takiego w tych drzewach, w trawie, w posiwiatych na grzbietach ptakach, w ciszy wplecionej w chrzęst przyklejonego mrozem do chodnika śniegu? Ależ! Nie ma tu przestrzeni na realizm. Nie sposób dogonić chwili, ulotnej. I po co, po co trwonić wrażenie? Odłóżmy na półkę nawyk dociekania. Nie wolno inwentaryzować aury; bo zginie z pamięci, na zawsze, z wilczym biletem zapomnienia.

„Pójdę do Kościoła Mariackiego.” Nie wiedział, jak tam trafić. Po prostu szedł, szedł nieznanymi sobie ulicami, pustymi. „Przez rynek, wzdłuż arkad.” W pamięci miał obraz z pocztówki. Chmara gołębi wzbiła się, usiadła. Coś sobie przypomniał, jakiś obraz niezatarty całkiem.

Z wahaniem wchodził do kruchty, był, jak zawsze, onieśmieszony. „Przeżegnać się?” Odruchowo wysunął palce w kierunku kropielnicy, cofnął rękę. Nie wierzył już w obrzędy, w sakramenty. Nie, nie stracił wiary. „Wierzę — mawiał do siebie, tylko do siebie — po swojemu. Na swój rachunek i w swoim własnym Kościele”.

Od pierwszej swojej świadomej myśli, pierwszego zastanowienia, próby dokonania wyboru, wyczuwał w sobie przekonanie, że myśl o Bogu nie jest prawdziwie pierwsza, przed innymi. To mu się zdawało logicznym dopełnieniem świata. „Czy, jeśli Bóg jest, a pewności nie mam, że jest, czy chciałby, aby każda ważna myśl była kierowana właśnie w jego stronę? Kim oni wszyscy myślą, że Jest? Bogiem miłującym własne JA, Bogiem-narcyzem? Tym, który zmusza do kochania siebie, i jeszcze raz siebie? Bogiem łakącym?” Absurdalność bluźnierstwa wyrwała

go z myślowego odrętwienia. Stał pośrodku głównej nawy, ze wzrokiem skierowanym w stronę ołtarza. „Tak — wpatrywał się w dzieło ludzkiej ręki — jest przecież całkiem inaczej. To ludzie, w swojej miałości, nie znajdują lepszego sposobu, sposobu na co właściwie? Na okazanie miłości? Przywiązania? Strachu? A Bóg? Bóg jawi się nam w postaci uproszczonej mocno, w takiej, jaką potrafimy ogarnąć naszym lichym rozumem.”

Tak myślał kiedyś, w innej epoce, kiedy jeszcze nie umiał strzelać, gdy nie znał śmierci, zabijania, gdy wszystko niemal było przed nim. Nie podejrzewał, jak wymagający może być On.

Przechodził Sienną, szedł w stronę Dominikańskiej, było trochę po czwartej, szarawo, ułamek chwili po brzasku. W pobliskich krzewach rozgaworzyły się wczesnoporanne rozmowy. Chwilę ledwie temu pożegnał się z Sergiuszem.

Było ich trzech z karabinami na ramionach, młodych, bardzo młodych. Poczul niemiłe rozedrganie pod żebrową kopułą ciała. „Co jest do... Mam się bać tego chamstwa w swoim własnym kraju, w swoim mieście?!” Już go zobaczyli, już ubierali muskuły dziecięcych jeszcze twarzy w urzędową powagę.

Podchodzili. Będą go zaczepiać. „A gdyby tak ich wyrznąć, zmasakrować? Czy to nie jest jedynie słuszne rozwiązanie?” W myślach przewijał film dramatu.

Jeden podchodzi z przodu, pozostali zachodzą go od tyłu. Ten z przodu salutuje do daszka czapki, nawet grzecznie, żąda dokumentów. Dwaj pozostali zdejmują z ramion karabiny, celują w plecy. Celują, ale broń jest niegotowa, nie słychać repetowania. Co za amatorszczyzna! Pewnie nigdy jeszcze nikt im...

Decyzja zapada błyskawicznie; widzi wszystko w spowolnieniu. Ten z przodu, grzeczny, dostaje cios z krótkiego wymachu, w krtań, pada z niemiłym uderzeniem głowy o płytę chodnika. Odwraca się i chwyta za obie lufy, wyszarpuje ze szczeniackich rąk; jeden karabin odrzuca na bok, drugi odbez-

piecza, przeładowuje. Stoją na przeciwko niego zamurowani. Padają dwa, jeden po drugim, wystrzały; suche, piekielnie donośne w ciszy. Ten z prawej strony, o pospolitej twarzy, nie nadąża wykrzywić się w przedśmiertnym strachu — kula wchodzi przez lewe oko; tkankę mózgową zamienia w galaretowatą miazgę; wychodząc zabiera szeroki, jak męska pięść, fragment czaszki. Jęk, upadek na chodnik, śmierć znieruchomiała. Drugi, trafiony w szyję, ma mniej szczęścia; dłonią usiłuje zatamować buchającą gejerem krew, ta nic sobie nie robi z jego wysiłków. Wpatruje się w rękę kata, szuka twarzy, znajduje — „nie rozumiem” — mówią jego oczy, najniepotrzebniej, bo co tu niby rozumieć?! Nie czuje bólu, tylko wielką słabość; wali się bez kontroli, tyłkiem na zmarznięty chodnik, zgięty niczym wpółotwarty scyzoryk. Dłonią wciąż przytrzymuje kurczowo resztki życia, ulatującego. To go przerasta.

Tak, tak właśnie mogłaby wyglądać ta akcja, a nawet wyglądała, tyle że rozegrała się w Jankowej wyobraźni. To trochę uspokoiło. „Nie. Nie mogę przecież wymordować ich wszystkich.”

Nie było nawet podobnie. To był patrol wojskowy. Środkowy zażądał dokumentów, z próbą uśmiechu na twarzy. Nie bał się, ale wyczuć było można niepewność. Nie lubił tej służby, rzucało się w oczy. Dwaj pozostali asystowali obojętnie, sennie, była czwarta przecież. Pomyślał, że dla tych trzech wystarczyłyby byle świstek. Nie interesowali się kim jest, kogo mają przed sobą, chcieli tylko zakończyć przykrą formalność i odejść. Z pewnością siebie wyciągnął dokumenty; były doskonałe. Nie był amatorem. Przez wiele miesięcy „legalizacja” była jego zawodem, codzienną pracą. Sam wykonał w tym czasie tysiące dokumentów. Środkowy ledwie rzucił okiem na papiery i zaraz je oddał; podziękował. Minęli go, poszli w kierunku dworca.

Obudziły go głosy dochodzące spoza ogromnej gdańskiej szafy, przedzielającej duży pokój na dwie nierówne części. Spał niewygodnie na szerokiej, ale bardzo krótkiej kanapie, bez pościeli, w ubraniu; dlaczegoś chciał mu się okropnie pić. „A, no tak.” Musiał zasnąć. Zaszedł na Dominikańską w chwilę po spotkaniu z patrolem. Pułkownik osobiście przygotowywał mu jedzenie, Janek w tym czasie mówił o sytuacji na Pomorzu, o planach na przyszłość. Zrobiła się ósma, gdy mógł się położyć. Momentalnie stoczył się w sen.

Było najwidoczniej po dziesiątej, spotkanie już się rozpoczęło. Dyskretnie wymknął się do łazienki. Wrócił akurat w momencie, w którym zapadło milczenie.

— To jest właśnie porucznik Jan, o którym panom mówiłem. Porucznik przywiózł najświeższe informacje z północy. — Wskazując Janka, Pułkownik zwracał się do trzech panów, siedzących przy obszernym stole, przykrytym obrusem, na którym rozstawione były szklanki z herbatą w metalowych koszykach. Na stole stała jeszcze cukiernica i dwie duże, prawie puste, popielniczki. Pod lampą kłębił się szaro-niebieskawy obłok dymu, wciąż jeszcze pozwalający na dokładne rozpoznanie twarzy siedzących przy stole mężczyzn.

Nie znał nikogo, tak mu się zdawało. Nie dysponował tym, co nazywają pamięcią wzrokową, dlatego nawet często nie poznawał ludzi. Nigdy nie mógł być pewien, czy z pozoru nieznaną osobą nie należy do jego kręgu. Reakcja siedzących zdawała się jednak potwierdzać jego przypuszczenie. Nikt się nie podniósł, nie zareagował jakoś żywiej. Na ukłon odpowiedzieli ukłonami i przyglądali mu się z dystansem. Kim byli, Janek nie wiedział. Pułkownik zdradził jedynie, że spotkanie będzie miało charakter polityczny, nie wojskowy.

— Panowie, proponuję, żebyśmy podchodzili do problemu z maksymalną, jaką się tylko da, odpowiedzialnością. — W wyrazie szczupłej twarzy, w nieskazitelnej, kresowej wymowie było

coś arystokratycznego, czego nie spotyka się na co dzień. — Musimy w pierwszym rządzie brać pod uwagę realną stronę naszej sytuacji: w kraju, to znaczy w tych jego ramach, jakie nam narzucono w Jałcie, stacjonuje dziś 200 000 żołnierzy sowieckich, 35 000 żołnierzy i funkcjonariuszy nkwd, do tego doliczyć jeszcze musimy 145 000 wojsk lwp i 41 000 kbw, 57 000 milicji, ponad 20 000 funkcjonariuszy ub, i jeszcze wop, i ormo, i uzbrojeni działacze ppr, łącznie to daje liczbę ogromną. I nawet nie ma realnej potrzeby wykorzystywać dzisiaj wszystkich tych sił.

— Skąd ma pan tak ścisłe informacje? — Pułkownik, który spacerował do tej pory wzdłuż obszernego kredensu, przystanął na wysokości stołu.

— No, nie. Trudno powiedzieć, żeby to były ścisłe dane. To raczej ostrożne szacunki, przypuszczenia naszego, nazwijmy to, „wywiadu”, ale przecież zgodzicie się panowie, że, tak czy inaczej, dysproporcja sił i środków jest ogromna. Nie ma co kryć! Otwarta walka jest w tej sytuacji posyłaniem naszych żołnierzy na pewną śmierć. Nie bez racji Bismarck powiedział kiedyś: „Przebiegając historię polską, widzę w niej wiele poświęceń i bohaterstwa, ale jeszcze więcej szaleństwa.”

Siedzący obok „Arystokraty” (tak nazwał go w myślach Janek) pan w średnim wieku z osowiałą aprobatą kiwał głową. Trzeci, licząc od „Arystokraty” uczestnik spotkania, raczej korpulentny, z zanikającymi śladami bujnych niegdyś, teraz siwiejących w okolicach uszu włosów, ubrany w stylu sportowym, z akcentami oficerskiej przeszłości; uśmiechał się smutno. Kogoś Jankowi przypominał. Do niego właśnie zwrócił się „Arystokrata”.

— Chciał pan coś powiedzieć, panie Hieronimie? — Jego głos wydał się Jankowi napastliwy.

Hieronim spojrział w kierunku pytającego nie tając ironii.

— Nie jestem całkiem pewien, panie prezesie. — „Prezesie” zabrzmiało jak drwina. — Nie jestem pewien czy warto.

— To po cóż pan tu w ogóle przyszedł do chooolery?

— Panowie, panowie! — Pułkownik poczuł się zmuszony do interwencji. — Nie mamy prawa walczyć między sobą, nawet jeśli dochodzi między nami do różnic w ocenie sytuacji.

— Przypominam sobie — Hieronim złożył obie dłonie w plecionkę z palców i przytknął je do brody — przypominam sobie podobne spotkanie sprzed — spojrział w górę, usiłując policzyć upłyniony czas — lat kilku, w innej części świata. Także spotkaliśmy się, żeby dyskutować, nasze położenie nie było wcale lepsze, może gorsze, choć to się może wyda panom — spojrzeniem zawadził o twarz „Arystokraty” — nie-do-wyobrażenia. Siedzieliśmy tak, rozmawialiśmy, rozmowa się nie kleiła, to było beznadziejne. A jednak nikt nie powstał nagle z krzesła, nie stanął w postawie zasadniczej i nie zadeklarował uroczyście, w imieniu zgromadzonych, w imieniu całego świata, że ka-pi-tu-lu-je-my.

— To oburzające! To... — „Arystokrata” szukał przez moment słowa — to jawna nadinterpretacja! — Odetchnął. — W żadnym razie nie wzywałem do kapitulacji, tym bardziej jej nie-o-gła-sza-łem. — Rzucił w kierunku Hieronima wściekłe spojrzenie. — Musimy jednak zdać sobie sprawę z naszego położenia i raczej radzić nie nad dalszą walką — trafił na wzrok Janka (powiedzieć „wzrok nieprzyjazny” byłoby określeniem na skraju eufemizmu i czystego fałszu) — ale nad rozwiązaniem konkretnym. Dość już panowie — głosem starał się przywrócić wielkopańską manierę — zabawy w rycerzyków. Możecie mnie nazywać jak chcecie, defetystą, czarnowidzem, tchórzem, jeśli wola.

— Ależ prezesie... — Pułkownik starał się tłumić żarzenie wyczuwalne w ciężkiej atmosferze pokoju. — Starajmy się panować nad nerwami. Nikt tu...

— Rozumiem, rozumiem twoje intencje. W końcu jesteś gospodarzem. Nie jestem jednak przekonany, czy wszyscy tu zgromadzeni — w szybie kredensu można było dostrzec odbicie siedzących przy stole — są gotowi do poważnej debaty.

— Na mnie może pan zawsze liczyć, prezesie. — W głosie Hieronima wyczuć można było niemal jawną kpinę.

— Fakty są następujące — „Arystokrata” nie zwrócił uwagi na kolejną, niewątpliwie, zaczepkę — nie istniejemy jako państwo; ze strony panów zasiadających w Londynie, ze strony prawowitego rządu trudno oczekiwać jakiegokolwiek wsparcia. Zawiedli, dzisiaj możemy to powiedzieć z pełnym przekonaniem. Rząd zawiódł na całej linii. Cóż dla nas robią? Czy mają jakiś plan, myśl, koncepcję już nie militarną, a choćby polityczną, może chociaż propagandową? O ile się orientuję, nie zadbano nawet o odpowiednie zabezpieczenie działalności rządu pod względem finansowym. Mówiąc całkiem po prostu, Londyn jest finansowym trupem i to, o ile wiem, na własne, proszę panów, życzenie. Zawążyły jakieś tam skrupuły, obawy, że ktoś kogoś posądzić może o nieuczciwość. Czy to nie paradne? Dom się wali, a oni zamartwiają się, że ktoś im wytknie bałagan w przedpokoju.

Musiał chwilę odpocząć. Wciągnął w płuca kilka głębszych haustów tytoniowego powietrza.

— Czy oni w ogóle o nas myślą? — Ciągnął po chwili. — Co, mianowicie? Jeśli o czym myślą, to chyba głównie o tym — zawiesił głos — jak nas tu wszystkich honorowo pogrzebać. Nie, nie można liczyć na tych panów! W rachunku naszych dzisiejszych możliwości stanowią dokładnie zero, zero, szanowni panowie. I jeśli znam się trochę na arytmetyce, takie zero może być dla nas, w naszych działaniach, głównie przeszkodą. Będę z panami całkowicie szczerzy, nie dbam już zresztą o konsekwencje, jestem stary, dość się nażyłem — odchrząknął napływającym wzruszeniem — osobiście nie czuję się dłużej zobligowany nakazem posłuszeństwa temu rządowi. Tak, moi panowie, całkiem oficjalnie wypowiadam im posłuszeństwo. Możecie mnie nazwać renegatem, nie dbam o to. I powiem wam jedno: czyniąc tak, nie kieruję się jakąś próżną emocją. Uważam, że w obecnym naszym położeniu nie stać nas po prostu na puste

gesty. Musimy odrzucić sentymentalizm, irracjonalne myśli o posłannictwie, ofierze, imponderabiliach. Liczyć się może tylko praktyczna strona zagadnienia. — Mówił wciąż i wciąż, elokwentnie.

„Czy zdaję sobie sprawę, czy mam świadomość, tego miejsca, czasu, sytuacji?” Uszy Janka pochłaniały słowa „Arystokraty”, myśli wędrowały własną drogą. „Tu przy tym stole, przy tej serwecie, rodzi się jakby coś całkiem nowego; nie, nie rodzi się, już raczej... umiera. Ale co to takiego? Co? Historia? Oj, chyba z nią nie tak aż łatwo. Wolność? Bujne słowo, ale nie, oczywiście. Wolność nie umiera nigdy. Zawsze znajdzie miejsce, choćby w duszy niewolnika, albo jego kata; nawet tu, gdzie kończy się świat, kończy, zdaniem tego człowieka, nawet tu jest; czuć jej istnienie, jak wstydliwą obecność świadka, kronikarza. A jednak, coś kończy się nieuchronnie. Czy nie ich epoka? Ich droga? Wielka niegdyś, pokolenia zdobywców. Pierwszego takiego pokolenia od stuleci...” Spojrzał w twarz „Arystokraty”, szlachetną, rozedrganą w przyplýwie natrętnego wzruszenia; twarz siedzącego obok pana, niemłodego już, z pomarszczonymi śladami przeżytych dni, wpatrującego się w krzyż wiszący nad framugą; twarz Hieronima, zastygłą w ponurym skupieniu; i wreszcie w profil Pułkownika, siedzącego po prawej. Jego mądre za grubymi szklami okularów oczy były, jak zwykle, opanowane. „Pułkownik zdaje się spokojny, a przecież, jaka to musi być dla niego tragedia? Całe życie oddał jednej sprawie, niepodległości, niepodległości i historii, a teraz to jego życie pisze historyczny dramat pokolenia; pokolenia, które kiedyś dało radę, a które dziś przegrywa z kretesem”.

— ...właśnie dlatego panowie — „Arystokrata” zbliżał się do, zapewne trudnej, konkluzji. — Musimy spojrzeć prawdzie w oczy! Tak, wiem, komunał, ale jakże dziś adekwatny. Nie możemy stawić im czoła, nie możemy też się poddać. W jednym i w drugim przypadku zostaniemy starci w proch. Nie ma co do tego wątpliwości. Co pozostaje? Otóż moim zdaniem, jedyne

w tej chwili realne stanowisko, to jest wejście w tę ich niby-rewolucję, ten niby-socjalizm, przyjęcie tych ich niby-demokratycznych reguł i twarde, naprawdę twarde pilnowanie wszystkich zapisów, postanowień, tego co wygotowano nam w Jałcie.

W zapadłym paralizu nagłej ciszy nikt się nie odezwał, nikt nie podnosił głowy, nie szukał uzasadnienia dla jej przerwania. Była wybawieniem od obowiązku zabrania głosu w dyskusji. Czy wszyscy myśleli to samo? Że stanowisko wyartykułowane przed chwilą jest nonsensem w czystej postaci, na który z utęsknieniem czeka świat po drugiej stronie? Czy nie tego właśnie chcą? Końca obwieszzonego pseudo-nadziejami. Pozoru?

— Mówi pan „realna kalkulacja”, arytmetyka i niepożądane zero. — Janka nie objęła rezygnacją tamtych, może dlatego, że był młodszy o jedno, dwa pokolenia. Wiedział, czuł, że nie może milczeć, odwieść myśli na kołku zwątpienia. — Zapomina pan — kierował swoje słowa wprost do „Arystokraty” — o bardzo ważnej kwestii. Arytmetyka, której zasady tak pan przed chwilą wychwalał, to zaledwie skromna część matematyki, dobra, bardzo dobra, proszę wybaczyć porównanie, dla tych tam ludzi, za oknem. Nam nie wolno jednak zapomnieć, że obok arytmetyki istnieje algebra, i w niej wielka tajemnica kreacji, światów niepodległych, istniejących poza czasem, przestrzenią. Pan mówi „arytmetyka” suchej liczby, ja stawiam na szali wielką niewiadomą, chaos i porządek, wolną wolę, a może i łaskę? Pan mówi „nie ma żadnych szans”, ale ja nie chcę szansy! Po co mi ona, po co mi takie obciążenie? Gdy was tu panowie słucham, wybaczenie, dochodzę do przekonania, że zapominacie, o co toczy się ta wojna. Wam się może wydaje, że to wojna o niepodległość, kolejna, w długim katalogu wojen, o to czy będziemy w tym kraju rządzić, czy będzie to za nas robił kto inny.

— Panie poruczniku! — Pułkownik marszczył brwi w wyrazie dezaprobaty. — Zagalopował się pan trochę! Wszyscy, jak tu siedzimy, wiemy czym pachnie bolszewizm.

— Może pan, może pan Hieronim, którego chyba znam z dawnych czasów. Chociaż... Pewnych rzeczy się nie zapomina. To musiało być 17, może 18 września. Był pan wówczas prasowym przedstawicielem obrony Warszawy. Pamiętam pana codzienne wystąpienia w warszawskim radio. Wiem, wojenna propaganda, ale nie zapomnę tego głądzenia po obywatelskich główkach. Mówił pan: „Oddziały rosyjskie zajęły część polskiego terytorium pogranicznego. Rząd sowiecki w deklaracji premiera Mołotowa oświadczył, że zachowuje stanowisko neutralne. Wobec tego oświadczenia armia polska nie prowadzi akcji wojennej przeciw armii sowieckiej.” To były pana słowa, pamiętam dobrze, choć może nie zapamiętałem ich dosłownie. Proszę wybaczyć: pana głos był jednym z pierwszych, który powiadał: nie bójmy się bolszewików, nie mają złych intencji.

W oczach Pułkownika nie pojawił się wyrzut, przeciwnie, jakby znikomy błysk satysfakcji. Znowu to milczenie, po raz już drugi czy trzeci tego dnia. „Arystokrata” chciał coś powiedzieć, w pół otworzył usta, zawahał się, zmilczał.

— Co pan proponuje w tej sytuacji poruczniku? — Pułkownik mówił bardzo poważnie. — Cóż znaczyć ma, według pana, to odrzucenie rachub? Czyżby proponował pan zamianę karabinów na aksjologię? Czy bić mamy bolszewików wartościami?

— Czy nie dobra myśl? Gdy zagrożone są podstawy cywilizacji, kultury, wartości duchowe, jakimi, słusznie czy nie, szczyści się ludzkość, czy nie trzeba sięgnąć po największy kaliber?

— Wszystko pięknie — Hieronim wybudził się z zadumy — ale jak to pięknoduchostwo przełożyć na konkret? Czy w naszych poczynaniach nie powinno być pragmatyzmu? Czy proponuje nam pan, panie Janku, wyjście na czołgi z prawdą na ustach?

— Drogi panie Hieronimie! Żartuje pan, jak zwykle. To przecież całkiem jasne, że do bolszewika trzeba w pierwszym rzędzie strzelać, tak już ten świat ułożony; my tego, ja z panem,

nie zmienimy. Strzelać, rzecz dla mnie jasna, na miarę sił i możliwości. Nie zamierzam tu negować analizy pana prezesa. Inna całkiem sprawa, kto i dlaczego do takiej sytuacji dopuścił. Ważne są fakty. Co w tej sytuacji powinniśmy robić? Szukać kompromisu? Z kim? Z tymi, którzy chcą nas zamienić w bezduszne, bezmyślne maszyny, antropoidy? — Jak mawiał Dymitr Mereżkowski. Z tymi, którym się marzy budowa nowego świata, bez duszy, wartości; wypełnionego bezmyślną ludzką masą, nad którą będą panować w sposób nie ograniczony żadną regułą? Nie waham się nazywać takiego postulatu po imieniu — błędem rozumu! Wiem, jestem tu najmłodszy i może nie wypada...

— Cóż zatem pan proponuje, panie poruczniku, poza sporą dozą naturalnej, spostrzegam, śmiałości? — „Arystokrata” wpatrywał się w Janka z tajemniczym uśmiechem, ni to pobłażliwości, ni to sympatii. — Nie, proszę, niech pan tylko nie myśli, że czuję się urażony. Nie pora teraz. Chciałbym tylko zwrócić panu uwagę, że poza garścią pięknych słówek, nie dał nam pan żadnych konkretów. Jakże zatem, ma pan je, w zanadru swoim myślowym, czy może algebra pana porucznika podobne drobiazgi ignoruje? — Spojrzał ze smutną pewnością, że odpowiedź nie będzie zadowalająca.

— Nie mam dzisiaj, jeszcze. W tej chwili wiem tylko, że droga do celu nie prowadzi przez kolaborację, współuczestnictwo.

— Kolejne puste słowa. — W głosie „Arystokraty” nie było kpiny.

— Puste? — Podchwycił Hieronim. — Ale może chociaż nie prowadzące donikąd?

I znowu zapadło milczenie. Nikt nie wierzył w sens dalszej rozmowy.

Rozeszli się bez konkluzji, pojedynczo opuszczając mieszkanie.

V

NATALIA

Czy łączyć? Łączyć światy? Zestawiać ze sobą? Dopasowywać, niczym klocki? Czy to nie zanadto szkaradny koncept? Idea paskudna po prostu? Czy po to zapadamy z mozołem w świat jeszcze odległy, jeszcze nie odkryty, wciąż nie przywrócony, żeby po chwili trzeźwieć z nosem umorusanym szlamem zadomowionej przez ostatnich lat siedemdziesiąt metody?!

Cóż mamy? Żywe, całkiem żywe przekonanie, że zgnilizny naprawiać nie sposób. Nieważne co to: mięso z pełzającymi po nim larwami owadów; jabłko upadłe z drzewa na kopiec z mniej szczęśliwych towarzyszy; wiadro cynowe, niegdyś dźwięczne, przywodzące dzisiaj na myśl raczej stary kapeć; słoma zgrzybiałej strzechy, od pokoleń pokrywająca dom; coś na kształt państwa, choć o innej substancji, peerel w jakim żyjemy, na przykład.

Nie warto! Nie warto czegoś takiego dotykać, oskrobywać krawędzi, szlifować nadzartych powierzchni, zapychać dziur, czym wyobraźnia podpowiada; nie warto konserwować, przywracać blichtru pozorów. Jedyne, prawdziwie podejście, to rzucić barachło na kompostownik historii, poddać czasowi gnilny proces i kiedyś, po upływie długiego terminu, podsypać przetrawioną substancją zagony nowej ery. Racja jest po stronie budowania, ale nie na gnijących śmieciach skażonej tutejszości, a na tradycji wymarłej, łaknącej przywrócenia, takiej jaką jest.

„Dlaczego wszyscy się śmieją, dlaczego oni tacy radośni. Czy tylko ja w tym mieście nie zwariowałam? Czy ludzka pamięć może być taka krótka, zawodna? Może wszyscy udają, i tylko ja, głupia, obnoszę się publicznie ze swoją żałością?” Idąc poprzez ulice nie czuła się u siebie, już nie.

Minęły ledwie trzy lata od poprzedniego przełomu, kto wie, może najradośniejszego przełomu w dziejach miasta; tego miasta, miasta ze snu; miasta, które w ciągu ledwie trzydziestu lat przechodziło z rąk do rąk, od jednego najeźdźcy do drugiego, piętnaście razy! Wilno. Kolebka geniuszu, symbol wspólnoty, indywidualności, wielkości, tradycji, klęski, upadku.

W czerwcu 1941 roku miasto witało najeźdźcę, witało wielką radością, choć biorąc pod uwagę kim był ten nowy barbarzyńca Europy, trudno w to nawet uwierzyć. A jednak — ludność Wilna witała hitlerowskich żołnierzy jako wyzwolicieli, nieporównanie mniejsze zło; grypę w miejsce cholery i dżumy; jako wybawienie terrorem od terroru i nudy jednocześnie. Nie wiedziano jeszcze jak tępa okazać się może ideologia nazizmu. Ale nawet ta wiedza, pozyskana zawczasu, nie mogłaby mieć znaczenia, bo w istocie witano nie zwycięzcę, a pogromiciela, a może i tylko — klęskę samą, wybawienie od mordy belzebuba, widzianej codziennie na ulicach miasta; potwora, który w ciągu kilku tygodni, miesięcy odmienił nie tylko oblicze ziemi, odmie-

nił każdego prawie człowieka, jego nawyki, myśli, sposób postrzegania świata.

I teraz, po upływie ledwie trzech lat, w lipcu 1944, największa od stworzenia świata niegodziwość wróciła do miasta. Ubrana w mundur partyzanckiej armii wyzwolenczej Natalia wpatrywała się z niedowierzaniem w spotykane na ulicach twarze. Czy naprawdę udawali tak dobrze? A może była ta radość rodzajem zdyscyplinowanej odpowiedzialności: gromić Niemców, pomagać „sojusznikom naszych sojuszników”, pomagać do końca, końca własnego, po grób, bezkres, po wsze czasy...?

Na co oni wszyscy liczyli? Że bolszewicy, którzy wyszli stąd, a raczej uciekli w wielkiej panice trzy lata wcześniej, wrócą do miasta jacyś inni, odmienieni, z sercem na dłoni, wdzięczni za okazaną pomoc? Oszalały całkiem (czy perspektywą przyszłej kariery tylko?) wojskowy dowódca kraju, przebrany w uniform generalski (choć pułkownik ledwie) ujeżdżał po ruinach miasta czarnym jak zapadająca noc automobilem, od tajnego lokalu do lokalu, swoim fantasmagorycznym entuzjazmem nie zarażając już bodaj nikogo, skutecznie za to dekonspirując resztki podziemnego świata. Trzy dni później siedział tam gdzie było jego miejsce — w celi wileńskiego więzienia. Czy wyzbyty złudzeń, wielce wątpliwe, ale tym zaprzętać sobie głowy nie będziemy.

Jak to w ogóle było możliwe? Ten sojusz muchy i pająka? To dobrowolne włożenie w łapy największego zła jakie wydało ludzkie plemię? — Jedno z tych niezwykłych pytań, na które nigdy, przenigdy nie dostaniemy odpowiedzi.

Ten dzień w życiu Natalii był dniem klęski, klęski podwójnej i hańby; hańby munduru i hańby osobistego jej udziału w procederze braterstwa broni z bolszewizmem. Co czuła? Upokorzenie? Jeśli nawet tliło się gdzieś tam, w tyle głowy, nie ono zaprzętało myśli. Nawet klęska nie była najważniejsza.

To był dzień śmierci i napływającej, wciąż nowymi falami, rozpacz. Jacek zginął zaraz, w pierwszych minutach ataku. Widziała dotyk śmierci, który wzdrygnął jego skulonym ciałem. Dzieliło ich ledwie kilkanaście kroków. Oczywiście, że nie myślała o kulach rozsiewanych wszędzie bezładnie. Jakże mogłaby wahać się. Jacek przyjaciel, Jacek wielbiciel cichy, narzeczony, od przedwczoraj mąż... prawie, dygotał w agonii. Z rozerwanej pociskiem krtani krew wylewała się chlustami. Nie mogła, nie mogła nic; jedynie trzymać mocno, mocno w ramionach umykające tchnienie; Boże!

Siedziała dziś na brzegu rzeki. Od tamtego dnia, od tamtego koszmaru upłynęło wiele; wiele krwi przetoczyło serce, rozszarpane, wciąż pracujące.

Jak to jest, gdy cierpienie rozrywa duszę, gdy ciało nie ma znaczenia, gdy nie chce się końca, bo nie chce się nic, bo właśnie przebiegło drogę naszego życia? Czy chce się pociechy, czy chce się w ogóle czego bądź? I cóż za nierozumne pytania? Bez cienia jednego sensu. Bo czy może być jedna odpowiedź, jedna reguła? Miliardy istnień przenikają chyłkiem strugi uniwersum, a każde inne jest i inną dostaje odpowiedź.

Idąc tak, wówczas, ulicami ogłupiałego miasta, wiedziała już co zrobić: wejście do domu, przywita się z mamą i młodszą siostrą, i zrzuci z siebie mundur. „Nigdy już, nigdy nie zrobię niczego wbrew sobie!” Taka była ta myśl. Możliwa do wypowiedzenia, niewątpliwie, ale czy realna? Czy jakakolwiek ludzka istota wytrwała w podobnym postanowieniu?

Nazajutrz rozpoczął się koszmar. Dzielni wyzwoliciele miasta z orzełkiem w koronie na wojennych czapkach płacili rachunek nie swojego często optymizmu, optymizmu umieszanego z czystym, doprawdy, szaleństwem. Czy to co się działo, „zdrada sojusznika”, było dla kogokolwiek zaskoczeniem? Czy nie wiedziano z góry, od lat wielu, że tak to się właśnie zakoń-

czy, owo „braterstwo broni” z bolszewizmem? W mieście pozostały ledwie strzępy Organizacji. Może głównie ci, którzy zdając sobie sprawę z istoty kosztownego szaleństwa współudziału w zaborze własnej ziemi, uniknęli chyłkiem przywileju partycypacji? Zatem, choć z dziurawą w wielu miejscach, przetrzebioną mocno siatką, Organizacja pod wieloma względami stała się silniejsza.

Natalia zaczęła pracę w tzw. „legalizacji”, wyspecjalizowanej komórce Podziemnego Państwa, zajmującej się preparowaniem „legalnych” (i cóż to wówczas znaczyło?) dokumentów. Tam spotkała Iwonę i Janka, niewidzianych od bolszewickiej napaści we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Pracowali z szaloną intensywnością. Miasta, wsie, lasy przepelnione były ludźmi, uciekającymi przed bezprawiem, ludźmi — łowną zwierzyną. Pierwszym marzeniem wielu było ukryć się, przestać istnieć, przynajmniej pod dawną swoją tożsamością. Mieli zatem do wykonania tysiące „oryginalnych” dokumentów, nie wzbudzających podejrzeń, idealnych. Nie były to po prostu dokumenty tożsamości — to były przepustki, karty wstępu do dalszego życia. Z tymi papierami, dokładnie w chwili, w której cały tzw. Świat oklaskiwał postępy niezwyciężonej czerwonej armii, odbywał się *exodus* z ziemi ojców, z ziemi litewskiej.

Codziennie Organizację dotykały nowe prześladowania. Miasto prowincjonalne, jakim już przed wojną stało się Wilno, nie dawało dobrego schronienia. W takim mieście, przy niemal pustych ulicach, trudno się było przemknąć niepostrzeżenie. Bywało, że nie pomagały najlepsze dokumenty. Rozlokowane gęsto sowieckie patrole zatrzymywały na ulicach wszystkich nierozważnych, a więc po prostu mieszkańców miasta. Żołnierze wrywali z rąk zatrzymanych dokumenty, mięli i wyrzucali, nie wnikając w ich zawartość.

Wszędzie czaiła się zdrada. Komendanci Okręgu znikali w bolszewickich kazamatach jeden po drugim. W głowach błękało się jedno tylko pytanie: co robić? Czy walka prowadzona

w takich warunkach ma jeszcze sens, poza znaczeniem jedynym, niezłomności? Czy nie należy sięgnąć po opcje odrobinę bardziej praktyczne, przeniesienia Organizacji na tereny mniej spenetrowane? Czy wolno zdradzić swoją Ziemię, opuścić? Czy taki wybór nie oznacza przekreślenia spuścizny dziejów?

Zdania były podzielone i takimi pozostały. Wiosną 1945 roku dowództwo Okręgu stopniowo zaczęło przenosić na Pomorze. Natalia nie wahała się ani chwili. Na głowie miała chorującą na serce matkę, młodszą dużo siostrę. Poza tym czuła, że miasto ją zdradziło. Janek, zapytany, wzruszył tylko ramionami. Gdzie walczy, to dla niego kwestia drugorzędna. Liczy się tylko jeden cel — pokonać ścierwo bolszewizmu. Iwona? Iwonka była w tym czasie... — Natalii oko nieomyślne było w takich sprawach — pod urokiem czaru. Czy zdawała sobie z tego sprawę? Natalia, zawsze bezpośrednia, bała się zapytać, i swojej nieśmiałości bała się także.

— I cóż to za Wenus przysiadła na kamieniu? Witaj bogini! — Znajomy baryton dobiegł od strony wody i chylącego się nad nią słońca. Schowana wewnątrz jego oślepiających promieni postać nie dawała się rozpoznać. — A co to, nie poznaje się już chłopców z oddziału? — Łaskawca, stanął teraz nieco z boku, po prawej.

— Julek, to ty!? — Zerwała się na równe nogi, obejmując, przyciągając do siebie rozpoznanego już intruza. — Jezusiu, Julek, jak się cieszę. — Ścisnęła go gwałtownie, przytuliła, odsuwała, aby znowu przytulić, gładziła po włosach, policzkach. — Myślałam, że wszystkich was, wtedy, w Wilnie...

— Tak było, Nata, tak było. Wszystkich, wszystkich. Do piachu, albo do wagonu, do Workuty, tak słyszałem. Jak tylko zobaczyłem te krzywe mordy, wiesz, na bankiecie niby braterskim, od razu wiedziałem, że nie będzie dobrze. Więc myślę sobie: Julek, trza umykać, nie oglądać się na resztę i...

— Uciekłeś? — W intonacji zabrzmiała lekka nuta niedowierzania. Julek zamrugał oczami.

— No, tak. To znaczy, w pewnym, że się tak wyrażę, sensie. — Rozciągał słowa. — Przyszli i pytali, czy chcę się przyłączyć do nich, do czerwonych. A co mi szkodzi, pomyślałem. Przecież zawsze mogę im... przy najbliższej okazji. Poza tym, Nata — ton jego głosu nabrał pewności — zanim nas nawiedzili, w 39, byłem, jakby to powiedzieć... no, różowy byłem, wiesz?

Odsunęła się, zdjęła dłonie z jego ramion.

— Czy miałem prawo? Dajmy na to, moralne prawo? Chłopaki do bydłęcych wagonów, albo na śmierć, a ja co? Na przesłuchanie do nkwd. Przyjmą, nie przyjmą, rozwalą, dadzą szlify? Wiesz, wcale to nie było takie proste. Ostrożni są, cholernie ostrożni. Trzeba się bardzo przy tym starać, nie biorą tak sobie, tylko dlatego, że oficer ma kaprys przyłączyć się. Chcesz być z nami, płynąć w nurcie, nie w rynsztoku? Prosimy bardzo, prosimy, ale co ty nam dasz, a? — Zamilkł, przetłknął ślinę. Czekał.

— Pytasz o prawo, o moralne prawo? — Wreszcie usłyszał jej twardy głos. — Co to za pytanie? Czy żołnierz ma prawo do zdrady, do pogrzebienia sprawy, do sypania kolegów?! — Wykrzykiwała, nie dowierzając słowom, nie kontrolując emocji.

— Ciszej Nata, ciszej? — Uspokajał, uciszał gestem. — Przecież mówiłem ci, że ja tylko tak, taktycznie to chciałem rozegrać, żeby nie jechać tam. — Chwylił ją za ramiona, nie oponowała. — Czy naszym obowiązkiem nie jest przede wszystkim służba krajowi? No, więc jestem tu, widzisz, stoję bez munduru, zrzuciłem. Trochę to mnie kosztowało — zawahał się przez ułamek sekundy — tylko nie myśl, że komuś tam dupę lizałem. Nikogo nie zdradziłem. Spójrz na mnie, proszę.

Powoli, z ociąganiem podnosiła głowę. — Czyli, nie jesteś już z nimi? — Wpatrywała się w jego twarz.

— Jak widzisz, jak widzisz. Teraz jestem, jakby powiedzieć, cywilem. Tak, pracuję jako urzędnik. — Zdawało jej się, że dostrzegła cię przemykający przez jego oczy.

— A ty? Co porabiasz, jak się czuje mama, kiedy tu przyjechałaś? — Zdawał się szczerze zainteresowany. — Może zajdziemy do mnie? Zjemy coś, wypijemy. Mam tu, niedaleko, mieszkanie. No, mieszkanko, wiesz przecież jak jest. — Prosił niewinnie, po koleżeńsku.

Szli pustą prawie ulicą, wzdłuż średniowiecznych murów, obok pokrzywionej wieży, ruin okazałego zamczyska. Wszystko, co widzieli, skąpane było w przedostatnich promieniach słońca. Trzech sowieckich żołnierzy, idących naprzeciw, patrzyło na nią z łakomą lubieżnością, ale nie odważyli się ich zaczepić. Przeszli, zabierając ze sobą wyrazistą nutę żołdackiego smrodu. Julek mieszkał obok św. Jakuba. Gdy wchodzili na górę, na drugie piętro, nie była pewna czy dobrze robi. Wahala się, nie wiedziała czy może mu ufać? „A jeśli to spotkanie to nie przypadek? Przecież nie był całkiem szczery. Na wszelki wypadek nie powiem mu nic, przynajmniej dzisiaj. Później się zobaczy.”

— Proszę łaskawa pani, pani przodem. — Nagła ta jego szarmanckość wydawała się z innej epoki. Spodziewała się wkroczyć do małej, zatęchłej nory, w jakich wszyscy mieszkali; dała się zaskoczyć. „Mieszkanko” nie było ani małe, ani biedne. Weszli do obszernej jadalni, z ogromnym prostokątnym stołem pośrodku, otoczonym dostojnym półtuzinem dębowych krzesel. Julek zniknął na moment, żeby wrócić po kilku minutach z tacą przepelnioną wiktuałami, o których istnieniu przez siedem lat wojny Natalia zdążyła zapomnieć. Z kryształowej karrafki popłynęła aromatyczna wiśniówka.

— Twoje zdrowie Natka, i... za spotkanie. Taka okazja, wypijmy do dna. — Kieliszki stuknęły.

— Kim ty jesteś? — Poczła moc nalewki. — Urzędnikiem? Jakim? Jakiego szczebla? Burmistrzem?! — Z niedowierzaniem wpatrywała się w półmiski ułożone na stole. — Kupiłeś to wszystko na kartki? Masz jakieś specjalne? — Przechyliła kolejny kieliszek. Poczła ciepło, rozlewające się wszędzie, aż po czubki palców. To nie było nieprzyjemne. Czła, że traci ochotę do snucia podejrzeń.

— Czy nie wszystko jedno? Nie chcesz chyba powiedzieć, że widzisz coś złego w posiadaniu? — Nie wydawał się speszony. — Nastawię płytę, zatańczymy. Zostawmy wszystko co było, jest. Dobrze? — Spojrzał zabawnym grymasem, przymilnie.

Nie, nie będzie dzisiaj dociekliwa. Da się porwać chwili, wziąć do tańca, upić, może nawet uwieść. Niech tam, do diabła z tym popieprzonym, szarym światem. Przecież może, raz jeden, po tylu latach. „Jak on świetnie tańczy!”

Nie oponowała, gdy poczła muśnięcie ust na karku, szyi, przy uchu; gdy jego dłoń rozpoczęła powolną przygodę wzdłuż linii jej kręgosłupa. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z tak plastycznym wrażeniem. Incydent z Jackiem, wtedy, w Wilnie, był czymś w rodzaju miłosnej apopleksji. Oboje chcieli, chcieli bardzo, czuli i miłość i podniecenie, i w tym zakochaniu drżeli oboje, niepowstrzymanie. To było jak najprzyjemniejszy możliwy sen w ciepłych puchach, ale spełnienia nie było, czuli to, instynktownie, wiedzieli. Teraz było inaczej. Teraz chciała, po prostu, czła z niezachwianą pewnością. Po raz pierwszy oddała się naturze, bez sprzeciwu, ograniczeń.

Nie mogła zauważyć dwóch intruzów na progu; tym zaś ani w głowach było bawić się w kultywację staroświeckich nastrojów.

— I tak to wypełniamy patriotyczne obowiązki? — Dziwnie brzmiały te słowa, bez emocji, zwyczajnie, jak — powiedzmy — głos proszący pod kioskiem o gazetę. Powiedział to niższy mężczyzna, ubrany w ciemny garnitur, koszulę, bez krawata.

— To my tu, z towarzyszem kapitanem — wskazał na osobnika w mundurze stojącego obok — bebecchy prujemy — mówił nie całkiem poprawnie — w pogoni za leśnymi bandytami, wrogami narodu, a towarzysz porucznik co robi? Lale obmacuje!? Burżujkę? Bandytkę jak tamci, w lesie? Ależ żeś sobie kurewkę znalazł, nie ma co?

— Jak pan... — czuła, że odpływa, odpływa cały świat.

— A ty, cicho! Z tobą porozmawiamy za chwilę. — Wywinął mięso warg w pogardzie. — To znaczy, łaskawa pani zechce momencik poczekać. — Drwina w głosie tego człowieka wydała jej się, mimo nagłego strachu, komiczna. — Musimy tu teraz wyjaśnić sobie kwestię z panem oficerem leśnym.

— To jak? Zdradzasz ojczyznę nową czy nie? Przekazywałaś jej tajne informacje? Podczas libacji, z instrumentem ledwie co w rozporku? — Julek stał skamieniały. Tylko grymas przerażenia świadczył, że w jego wnętrzu grają emocje. Natalii wydawało się, że zaraz zemdleje. Krew odpłynęła z jego twarzy.

— Nieprawda... — odważyła się na wtrącenie — Julek nic mi nie mówił, nic nie przekazywał. Nie zdradził — krtań zacięła się na moment — nie zdradził waszych tajemnic. Przeprowadził mnie tu, bo... bardzo długo się nie widzieliśmy i chcieliśmy wspominać. — Stał z opuszczoną głową, bezradnie.

— Hm. Hm, dobre sobie. — Mężczyzna w marynarce zwrócił się do Julka z kpiącym, swobodnym uśmiechem. — Żałosna burżujka uwierzyła, że z ciebie taki sentymentalista? Oj, chojraku, we własnym łóżku to ty nie skonasz, bawidamku. A przecież na mordę twoją spojrzeć wystarczy. Od razu poznać, że oficer śledczy nowej ludowej. — Machnął ręką, niby w zniechęceniu.

— Łaskawa pani raczy się tu, o, na tym krzeselku. — Podsunął mebel z przepisową galanterią, jak gdyby wszystko co do tej pory, tego wieczoru zdarzyło się w tym pokoju, nie miało miejsca.

— Dziękuję. — Ogarnął ją nagły spokój. Usiadła skromnie, ledwie na krawędzi.

— Co ty myślisz sobie, kurwo burżujska?! — Nagłym wrzaskiem przywrócił nastrój sprzed chwili. — Że ja nie mam sposobów na takie szmaty jak ty?! Chcesz, zerwiemy z ciebie fatalaszki, rozłożymy na tym pięknym, masywnym stole i zerzniemy mocno, bardzo mocno. — Wycharczał. Zbliżył się gwałtownie, był tuż, bardzo blisko. Poczła alkoholowy oddech na swojej twarzy i poprzez cienki materiał majtek jego rękę. — Myślisz może, że się zawaham? — Ręka błądziła bezwstydnie. — Zrobię to z wielkim opanowaniem. A później zawołamy jeszcze chłopaków stojących na schodach, może znajdzie się nawet kilku radzieckich towarzyszy — oni zawsze pomocni. Nie wierzysz? Błąd! — Cofnął rękę. — Ja mogę wszystkoooo, rozumiesz — wrzeszczał wprost w jej twarz, usta. — Wszystkoooo, jak Bóg, kreator świata, stwórca. Nie wierzysz? To może każę sprowadzić tu twoją młodszą siostrę? Co ty na to?!

Nie mogła patrzeć. Świat stał się czarny, nieprzenikniony. Na skroniach poczuła gorący ucisk, ból o którego istnieniu nie mogła mieć pojęcia; zamarła. I wciąż czuła... że jest.

— Zatem, szanowna pani Natalio, przejdźmy do zeznań. — Przez lekko uchylone okno wpadał przyjemny powiew. — Proszę mi tylko nie mówić, że nic pani nie wie, że nie jest związana z organizacją. Powiem szczerze, takie wyznanie będzie dowodem pani złej woli, a przecież, wczoraj, precyzyjnie naszkicowałem sytuację. — W jego głosie nie było aluzyjnej intonacji.

Po nocy w celi była zmęczona; nie mogła myśleć jasno. Usiłowała skoncentrować resztki energii. Wiedziała, że przede wszystkim i za wszelką cenę musi określić swoje położenie. „Czy on mówi prawdę? Śmieszne! Zastanawiać się podczas przesłuchania w urzędzie bezpieczeństwa czy ktokolwiek tu mówi prawdę. Ale co oni wiedzą? Czy takie to oczywiste, że wciąż

działałam? Nie, tego wiedzieć chyba nie mogą. Chociaż z drugiej strony, przecież nie spotkałam Juliusza przypadkowo. Nagle, na całym przecież pustym trotuarze, podchodzi do ciebie facet i... trach — znajomy z lasu. Nie bądź naiwna, Nata, ale co to znaczy? Że byłam śledzona? Co mogą wiedzieć?”

— Pozwoli pani, pani Natalio, że naświetlę pani obecną sytuację w nieco innej perspektywie, aniżeli byłem zmuszony uczynić to wczoraj. — Szczery uśmiech nie wygasnął na jego twarzy. W przeciwieństwie do Natalii, zdawał się rzeński, wypoczęty, miał na sobie świeżą koszulę.

— Sprawy mają się tak: po pierwsze, wiemy, że cała wasza trójka, a więc pani mama, młodsza siostrzyczka i, oczywiście, pani, przekroczyłyście granicę państwową, granicę pomiędzy Związkiem Radzieckim a Rzeczpospolitą Polską, nielegalnie. Nie dość, że przekroczyłyście nielegalnie granicę, to jeszcze na dodatek, obecnie posługujecie się fałszywymi dokumentami. Proszę pamiętać, że dzięki porucznikowi Karwowskiemu, znamy pani prawdziwą tożsamość, tożsamość przedwojenną. — Poczęstował ją papierosem. Nie odmówiła.

— Ja, oczywiście, ze swojej strony, powiedzmy, prywatnej, jako obywatel, zwykły człowiek, rozumiem powody, dla których zdecydowały się panie na ten krok. Krok, podkreślę, nielegalny. — Uśmiechał się niemal dobroduszenie, wciąż bez śladów, oczywiście, przecież, ironii. — Natomiast jako urzędnik odrodzonego państwa polskiego — trzy ostatnie słowa wymówił z namaszczeniem — muszę patrzeć na tę sprawę, na sprawę tego przestępstwa, zgodnie z literą prawa. Z tego punktu widzenia sytuacja nie wygląda najlepiej. Problemy z prawem ma nie tylko pani, z racji jej domniemanej działalności przestępczej w tajnej organizacji, ale także osoby pani najbliższe, czyli pani mama i siostra. Mówiąc całkiem wprost, więzienie grozi poważnie — zawiesił głos na chwilę — także im. Czy pani mama, z jej chorym sercem, poradzi sobie w takiej sytuacji? Niestety — sprawnie nasunął na twarz maskę zatroskania — obecny system peniten-

cyjny naszej młodej ojczyzny daleki jest od doskonałości; brakuje miejsc, i nie tylko to stanowi naszą bolączkę. Warunki, proszę to traktować jako informację poufną szanowna pani Natalio, są skandaliczne, urągające pojęciom o przyzwoitym traktowaniu osadzonych, ale — wciąż mówił z tą samą troską w głosie — cóż mamy robić? — Rozłożył ręce w geście bezradności. — Nie brakuje wrogów ojczyzny. Zatem — pozwolił sobie teraz na uśmiech — sama pani widzi. Nam nie zależy wcale na nowej klienteli. Nie chcemy tego. Jedyne czego pragniemy to stabilizacja, powrót do normalności, wytworzenie sytuacji, w której wszyscy będą mogli spokojnie pracować, uczyć się, żyć. A jeśli chodzi o pani sprawę — monotonia jego głosu paraliżowała szare komórki — o panią osobiście, nie spodziewamy się niczego ponad miarę. Wystarczy odrobina tylko dobrej woli. Bo — przez chwilę szukał stosownych argumentów — czy nie szkoda życia? Czy nie mam racji? — Wydawał się prawie strapiiony.

„On musiał grać w amatorskim teatrze.” Niepraktyczna myśl przemknęła przez głowę. „Bzdurne zarzuty. Idiotyczne argumenty. I wszystko wysrane z tego ubolskiego palucha. — Spojrzała na jego dłonie. — Wszystko co robiłam, robiłam jako żołnierz i obywatelka legalnego państwa. No tak, oni przecież mają to za nic. Dla nich jestem bandytką z lasu, burżuazyjną kurwą. Wczoraj był przynajmniej szczery.”

— Widzi pani. W życiu ciągle trzeba dokonywać wyborów. Na ogół to drobiazgi: co ubrać na randkę, jak uczesać włosy, i wiele innych równie istotnych — uśmiechnął się — spraw. Zdarza się jednak, że wybór, którego musimy dokonać, jest jakby... z innej skali, innego rzędu. Nie chodzi o to, czy się w przyszłości zostanie pracownicą biurową czy operową diwą. Nie chodzi nawet o to, czy się zachowa w przyszłości życie czy też je utraci. Jest przecież całkiem oczywiste, że każdy zdrowy na umyśle człowiek zawsze wybierze życie, prawda? Ten wybór z innego wymiaru dotyczy sensu życia. Co chcemy osiągnąć?

Czy chcemy budować, być przydatni dla społeczeństwa; czy inaczej, będziemy się kurczowo trzymać starych, nieaktualnych schematów? — Zatrzymał głos na chwilę tylko, spojrzał uważnie w jej oczy. Na co liczył? — Że gdzieś, w imperialnym Londynie są niby legalne władze niby istniejącego państwa, nie może mieć znaczenia. Rozumie pani co chcę powiedzieć? — Zależało mu, bardzo.

Opuściła głowę. Potok słów płynął nieprzerwanie. Słuchała, mimo całej niechęci, zmuszała się do słuchania.

— Myśli pani pewnie: chce mnie oszukać, omamić. Myśli, że jestem taka głupia. I pewnie oburzenie nie pozwala pani teraz na mnie patrzeć. Boi się pani, że zdradzi ją wyraz twarzy, pogarda, w której chowa pani swoją rzekomą logikę. Myśli pani: dlaczego nie mówi wszystkiego, dlaczego nie mówi o najważniejszym. Otóż to. Co jest najważniejsze? — Niewidoczna jakaś tama zahamowała na moment strumień słów.

— Myśli pani: bolszewik tego nie pojmie. Co on może wiedzieć na temat wierności sprawie? Myśli tak pani, prawda? Dokładnie takie myśli łażą pani teraz po głowie, niczym muchy natrętne. — Milczał przez moment. — No, nie wstydź się, nie bój. Nic ci nie zrobię, wiesz przecież. — Spojrzała na niego teraz, przez skołtunionie, opadłe na twarz, wspaniałe jeszcze wczoraj włosy. Ile w tym było pogardy, ile piękna? Zaskomlał w myślach.

— Proszę zatem posłuchać, co do powiedzenia ma bezduszny bolszewik. Wierność to piękna idea, nie przeczę, ale wierność prawdziwa, a nie jakaś śmiesznie uczniacka, z patriotycznych wierszyków. Prawdziwa wierność nie istnieje poza kontekstem społecznym, politycznym. Co komu po wierności do państwa, którego już nie ma; w stosunku do władz, które nawet nie dbają o czyjeś istnienie; wobec kolegów z lasu, którzy przecież za chwilę zdradzą... — Kilka ostatnich słów wyszeptał, przechylając się w stronę swojej milczącej rozmówczynie. Nie miała zamiaru rozmawiać z tym człowiekiem, słuchać jego argumentów. Wciąż czytał w jej myślach.

— Wiem, widzę. Reakcyjne myślenie. Łatwo takiej jak ty się nie urobi. Wyobraź sobie, nie jestem tak natrętny. Nie musisz zaraz swoim patriotycznym serduszkiem pokochać nową ojczyznę. Na początek zadowolę się mniejszym kąskiem. — Jego wzrok bezczelnie wędrował po kształtach jej ciała. Wzdrygnęła się.

— Powiem jeszcze inaczej. Będzie nawet lepiej, jeśli nie poddamy pani teraz jakiejś tresurze. Nie byłoby dobrze, gdyby nagle zaczęła pani inaczej myśleć, inaczej mówić, mniej godnie stąpać po świecie. Wiem, że tam, u was w lesie nie brakuje bystrych gości. Nie, będzie nawet lepiej, jeśli zostanie pani przy swoim. Przyjdzie czas, czas na odmianę. — Wstał i przeszedł się po pokoju. Stał tuż, z tyłu, pochylił się. Mówił półgłosem.

— Na razie nie musisz nic robić, rozumiesz? Nic.

VI

GŁĘBSZE PODZIEMIE

— Panie poruczniku. — Głos Pułkownika był poważny. — To spotkanie, musi pan wiedzieć, było czymś na kształt egzaminu; pana egzaminu. Od dawna o tym myślałem. Otóż widzi pan, nasz czas się kończy, to znaczy, musimy brać taką ewentualność poważnie pod uwagę. Bolszewicki pierścień coraz mocniej zaciska się wokół. Nikomu prawie nie można dziś ufać. Wszędzie mają szpicli, donosicieli, sprzedajne, proszę wybaczyć żołnierski język, kurwy. Nie ma pan pojęcia jak mnie to przygnębia, jaki to dla mnie ból słyszeć nieustannie, że ten czy ów z najlepszych naszych ludzi... Widzi pan, panie poruczniku, to także jeden z argumentów, bo ja wiem, psychologiczny wymiar walki. Bo czy wyobrazić by sobie było można, żeby podczas niemieckiej okupacji coś takiego było możliwe?

— Oczywiście — mówił dalej nie czekając na odpowiedź ze strony swojego rozmówcy — zawsze jeszcze można mieć

nadzieję, nadzieję na ów ponury koszmar, o jakim słyszy się niemal wszędzie, koszmar trzeciej wojny światowej. Mimo jakże ponurej wizji nowej wojny, my Polacy nie wzdrygamy się na jej widok. Wolno nam, co więcej, naszym świętym obowiązkiem jest przyznać otwarcie, po męsku, że taka wizja, taki koszmar jest naszym największym marzeniem. Pragniemy tego konfliktu. Wolimy gwałtowną nawet śmierć niż długie i powolne konanie. Wojna to jedyny dzisiaj środek, który na miejsce wolności pozorowanej przyniesie Polakom wolność rzeczywistą. Wojna, która w blasku siły atomowej zakończy historyczny proces, proces tworzenia jednolitego świata.

Spoza okna nie dochodził najmniej znaczący odgłos, jedynie monotony szmer popołudniowej ciszy i, od czasu do czasu, krzyk rozkapryszonej kukułki: hahhahhah; zegar tykał dyskretnie w narożniku pokoju. Janek pomyślał, że gdyby nie wojna, gdyby nie konieczność nieustającej walki, mogliby siedzieć przy tym stole, on i Pułkownik, i rozmawiać o czymś całkiem innym. Może o historii, którą obaj tak bardzo kochali. „Czy robimy w tej chwili coś innego? Czy nie zajmujemy się Nią, historią, może nawet bardziej? Czy wielu pasjonatów tej dziedziny ma okazję być jej świadkami, jak ja mam tu, siedząc przy tym stole, w obecności tego człowieka? A może jestem nie tylko świadkiem?” W istocie to nie była rozmowa, a monolog. Mówił Pułkownik. Mówił, jak gdyby nie dzielił ich dystans lat, szarż, doświadczeń. Mówił bez owijania w formy przyjęte.

— Zdziwi pana pewnie otwartość tej naszej dzisiejszej rozmowy. Jest pan przecież skromnym młodym człowiekiem. A jednak, przychodzi taki czas, kiedy trzeba wyzbyć się konwensów, zwyczajów, kiedy już nie ma czasu, nie tylko na uładzoną formę. Taka chwila nadeszła. I dziś właśnie musimy rozważyć najgorsze: co będzie, co stanie się z ojczyzną, gdy taka wojna, wojna wyśniona nigdy nie nadejdzie? — Wstał od stołu i rozpoczął wędrówkę po pokoju. Potrzebował tego. — Spójrzmy na sprawy tak jak się mają, a nie według czyichś pobożnych

zyczeń. Nie wolno nam się wzdragać przed spojrzeniem prawdzie w oczy. Otóż, ja już spojrzałem; spojrzałem ot tak, na wszelki wypadek. Nie, oczywiście — machnął dłonią jakby w zaprzeczeniu własnym słowom — nie chcę powiedzieć, że wszystko stracone. Nie wolno mi tak nawet myśleć i nie myślę. Ale — przystanął — musimy brać pod uwagę najgorsze. A więc, koniec. Koniec wszystkiego. Musimy zakładać, że w ciągu najbliższych miesięcy, paru lat, przestaniemy istnieć w militarnej i politycznej przestrzeni. Rozumie mnie pan, poruczniku? — Przez moment czekał na potwierdzenie; goniące po głowie myśli nakazywały mówić dalej. — Ja takiej prognozy nie zakładam. Nie wolno mi. Nie wolno, bo dalsza walka straci sens. Ale nie mogę jej także odrzucić, zignorować. — Nie mógł, a może nie chciał panować w pełni nad chaosem piętrzących się myśli, nad poukrywanymi w nich sprzecznościami. — Ba, będę z panem całkiem szczerzy: klęska wydaje mi się niemal pewna.

— Są dziś w kraju ludzie — mówił dalej po chwili — jak na przykład prezes, którego miał pan okazję posłuchać, ludzie gotowi szukać rozwiązania poza podziemiem; którym wydaje się, a w każdym razie tego gatunku poglądy wygłaszają, że taki ustrój jak sowiecki można pokonać metodami zachodnimi, metodami legalnej, a nawet lojalnej, opozycji. Krótko mówiąc, że można Polskę wygrać, wymanewrowując przeciwnika wyborami. Niemało jest tak myślących, proszę mi wierzyć. — Pochylił się nad stołem, zaciśnięte w pięści dłonie oparł o blat.

— Tymczasem ten upór, te mrzonki w metodach pracy politycznej są najzwyczajniej w świecie niebezpieczne, ile że wystawiają ostatecznie siły Polski, mam tu na myśli szerokie masy ludowe, nie tylko na poważne straty, ale wprost na załamanie; załamanie, które może mieć najfatalniejsze następstwa. Działanie tych ludzi, tych panów polityków, musi chybić celu, to jest oczywiste. Spowodują przy tym gigantyczne spustoszenie. A przecież zgodzić się musimy, że straty, nawet straty wielkie, wtedy tylko mają sens, gdy się je ponosi w walce, gdy pozosta-

wia się przyszłym pokoleniom tradycję krwi przelanej za wolność i niepodległość. Takie właśnie tradycje przekazywane były w Polsce z pokolenia na pokolenie i może dzięki nim przetrwalibyśmy stulecia. To jest właściwa polityka, obliczona na dziesiątki, może nawet setki lat. Natomiast polityka drobnych rozszczeń, jaką dzisiaj stosują panowie ludowcy nie ma najmniejszego znaczenia. W sytuacji, gdy dokonuje się planowa i wszechstronna sowietyzacja kraju, polityczna gra tych panów nie jest warta świeczki; i, co gorsza, pogarsza tylko sytuację, ponieważ zamiast zdierać maskę z zaborcy, przyczynia się istotnie do utrzymywania fikcji demokracji. Dla pana to żadna nowość. Pozwoli pan jednak, że dokończę swoją myśl. — Zrobił kilka kroków w kierunku okna, odwrócił się i znowu skierował wzrok w stronę Janka. Jego szczupła twarz promieniowała skupioną wewnątrz energią.

Do pokoju przedostały się pierwsze promienie popołudniowego słońca. Była piąta. Janek uświadomił sobie nagle, że nie miał nic w ustach od wczesnego poranka. „Jaki śmieszny jednak jestem! Wali się świat, a ja myślę o brzuchu.”

— Ależ ze mnie gospodarz, nie ma co! Chodźmy do kuchni.
— Pułkownik, widać, miał niezawodny szósty zmysł. Gdzieś uleciało napięcie sprzed chwili i teraz uśmiechał się do Janka kordialnie. — Usmażymy sobie grzanki. Grzanki z czym tam... — pomyślał chwilę — z cebulą i z serem, co pan porucznik na to?

— Na mój entuzjazm, panie pułkowniku, może pan liczyć bezwarunkowo. — Uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy tego dnia. Wstał, trzasnął obcasami schodzonych trzewików. Spiżarnia okazała się bogatsza od wstępnych deklaracji gospodarza. Była wędzonka, jaja, ćwiartka gotowanej szynki, ser. Znalazła się nawet nieco zakurzona butelka *Bordeaux*. Do salonu wrócili po trzech kwadransach. I znowu monologował Pułkownik.

— Wyrośliśmy w tożsamyh pojęciach, choć w różnych pokoleniach. Ja należę do grona „szczęśliwców”; czy dobrze słyhać sarkazm? — Podniósł oczy na Janka. — Szczęśliwców,

którzy wolność sami sobie wywalczyli, i cieszyli się nią nawet jakiś czas. Pan w tej wolności wyrósł, ona pana ukształtowała, więc pewnie jest jakaś między nami różnica. A jednak, poczucie tego co tracimy, bezpowrotnie być może, musimy mieć bardzo podobne. To nas zbliża, i bardzo mi z tego powodu miło, dostrzegam zarazem jednak pewne niebezpieczeństwo. Nie, nie w zbliżeniu naszych poglądów, rzecz jasna. Ale w tych właśnie pojęciach, które nas ukształtowały. Bo, widzi pan, w rzeczy samej, to pojęcia nie przystające do epoki. Pojęcia wieku dziewiętnastego, wieków wcześniejszych. — Usiadł, oparł się wygodnie o oparcie kanapy.

— Cały problem polega właśnie na tym, że tak jak tu walczymy w tym naszym kraju nieszczęśliwym; resztkami tego naszego wojska nie-wojska, strzępami państwowej administracji, a raczej — post-państwowej, nikt niemal, nikt spośród nas nie uświadamia sobie w pełni, że wróg, który teraz przyszedł, w tej dokładnie chwili, jest czymś całkiem odmiennym; że nie chodzi mu tylko o władzę nad krajem, nad jego ludnością, ale że jego zaborczość sięga znacznie głębiej. On nie jest, nie chce być, jak wielu przed nim, po prostu ciemieżycielem, zdobywcą, panem; on życzy sobie naszego uwielbienia. — Wstał i zrobił kilka kroków w kierunku lekko powiewającej wciąż firany. Odwrócił się od okna i przystanął, pochylony, objął rękami sporą cięciwę stołu. — Sprawy widzę następująco: brak woli walki, to po pierwsze; dodatkowe zamieszanie stwarza obecność tych panów Mikołajczyków, Popielów i innych, którym wydaje się, że mogą przechytryć bolszewika. Z równym powodzeniem mogliby się rzucić do rywalizacji z głodnym lwem o udziec antylopy. No, niedorzeczność, ale to zaciemnia obraz. Dobrzy ludzie nie wiedzą, co w tej sytuacji należy robić.

— Dalej idzie agentura — wyliczał — wielka, zmasowana. Skąd tu nagle tyle tego paskudztwa? Ja już, doprawdy, nie wiem, jakie są tego mechanizmy. W zeszłym roku jeszcze, przed powstaniem w Warszawie i później tu, w Krakowie, rozmawia-

łem z dziennikarzem z Wilna. Świetnie naświetlił mi istotę tego, co się teraz tu dzieje. Nie mogę wyjawić nazwiska. Wiem tylko, że ludzi takich jak on, ludzi nie bojących się patrzeć na świat szeroko otwartymi oczami jest jak na lekarstwo. Kolejny ważny punkt, Kościół. Tego się nie spodziewałem całkiem. Tej gorliwości w dogadzaniu nowym władzom; byleby tylko nie uszczuplić własnego stanu posiadania; i nie chodzi o dusze. O nie idzie może teraz najmniej. Przy czym — podniósł dłoń jakby starając się powstrzymać przed nadmierną popędlivością własne myśli — nie należy generalizować. Jeśli chodzi o zwykłych, parafialnych szeregowców Kościoła, znam wiele przykładów wspaniałej odwagi. Ale wyżej!? Boże mój... Dokładnie to samo jest i w organizacji. Ryba, widać, psuć się musi od głowy. Im wyżej w hierarchii tym bardziej paskudnie, nie do wytrzymania. Czy kto myślałby kiedy, że najbardziej do ustępstw skłonna będzie góra właśnie, warstwy wyższe, inteligencja? Co w tej sytuacji myśleć ma przeciętny Polak? Skąd czerpać rozeznanie? Mnie się i tak zdaje, że prosty człowiek ulicy ma więcej zdrowego jeszcze rozumu, aniżeli wszyscy ci panowie: politycy, oficerowie, hierarchowie. Ech, do cholery z tym wszystkim. — Wszystko co mówił zdawało mu się chaotyczne, nie takie jakie być powinno. — Ja nie byłem dotąd pod bolszewikami. Nie mam doświadczeń, w przeciwieństwie do was. Ale przecież nie jestem ślepy. Widzę. Widzę co się dzieje: to napięcie propagandy, presję na każdy przejaw życia; kłamstwa, monstrualne przeinaczenia. I kto za tym stoi? Ano właśnie. To jest pytanie, skrojone na miarę sytuacji. Gdyby to byli sami tylko komuniści, ale jest dokładnie odwrotnie. Komuniści, ci prawdziwi, to dzisiaj ledwie garstka. Większość z nich wyrznęli sami bolszewicy dziesięć lat temu, w Moskwie. Bez nowych sił, bez nowego, że się tak wyrażę, narzynku, sami komuniści nie byliby w stanie obsadzić nawet i dziesiątej części urzędów. Ale czy brakuje chętnych? Skłonnych do współpracy, kolaboracji, do zaprzędania siebie? I za co, za co te wszystkie akty wiarołomstwa? Za miskę, psią miskę jadła

i odrobiny jakichś tam przywilejów! Wszyscy chcą żyć, słyszę wciąż. Żyć! Żyć! I po co to mówię? Przecież widzi pan dokładnie to samo. Na spotkaniu raczył pan porucznik — zawiesił na moment głos, potrząsnął głową jakby w zaprzeczeniu — nie, nie mam pretensji, nie mam wcale, a przeciwnie nawet, bardzo jestem z tego ukontentowany... Wypominał mi pan, poruczniku, że we wrześniu nie byłem uczciwy; że relacjonując przez radio sytuację na frontach, sytuację na granicy z sowietami, karmiłem społeczeństwo złudzeniami!

— Ale... — Janek próbował złagodzić swoje wcześniejsze wystąpienie. Pułkownik machnął ręką, nie dał mu dokończyć.

— Nie, nie wiem czy na pewno racja jest po pana stronie, ale nie o to teraz idzie. Dokładnie takie myślenie, myślenie, które pan dzisiaj zaprezentował, jest teraz nam bardzo, ale to bardzo potrzebne. Musimy patrzeć prawdzie w oczy, głęboko, w najmroczniejszą otchłań, bez strachu, nie wahać się spojrzeć na najkoszmarniejszy obraz prawdy. Przyjąć założenie najbardziej pesymistyczne, i trwać; nie składać broni, nie załamywać rąk. Jeśli nawet walka jest dzisiaj niemożliwa, tym bardziej należy do niej dążyć. Nie wolno nam jej zaniechać. Choćby przyszłość kształtowała się jak najfatalniej; choćby sowietyzacja szła w coraz szybszym i brutalniejszym tempie. Nie będziemy przecież wrogowi pomagać; nie będziemy tego procesu przyspieszać, lecz opóźniać. Ergo! Na każdym kroku opór bierny i czynny; w każdej dziedzinie życia publicznego, społecznego, państwowego, gospodarczego rzucamy kamienie pod nogi okupanta. Każda broń, każda przeszkoda to opóźnienie wyroku śmierci, jaki na nas wydano. Mamy przed sobą jedyną drogę, to droga walki. Jeśli poniesiemy klęskę, oni wówczas zrobią z tym narodem, z tym społeczeństwem, z nami, cokolwiek zrobić przyjdzie im ochota. Przerobią nas, zrównają, staniemy się jedną sowiecką masą. I co wówczas? Gdzie szukać odrodzenia? W jakimże błotnistym gruncie miałyby zakiełkować ziarno prawdy? — Opadł na krzesło zmęczony, nie przestawał mówić.

— Staram się patrzeć daleko, uprzedzać wypadki. Ryzykowne? Nie martwi mnie to wcale. Widzi pan, jest jeszcze jedna, zasadnicza kwestia. Człowiek, największy nawet indywidualista, to istota społeczna. Jakkolwiek bardzo by się starał, nie przeżyje bez wpływu innych. Im więcej jest aktywny, im więcej działa, jest obecny w świecie, tym więcej jest przez ten świat kształtowany. Nie da się żyć w oderwaniu od tego właśnie życia.

— Co pan dla mnie szykuje, panie pułkowniku? — Zabrzmiało chropowato.

— Panie Janku, panie poruczniku, jest pan żołnierzem. Wie pan co to służba z bronią w ręku. Wiem też, że ma pan do tego typu pracy niepospolity talent. Opowiadał mi o panu Kmicic, z którym rozmawiałem dawno już — zastanawiał się przez moment — późną wiosną 1944. Kmicic czyli Lech, pana bezpośredni dowódca spod Nowogródka, którego znałem jeszcze przed wojną, podobnie jak pana. Opowiadał mi o pana niezwykłej, no, brawurze. Między innymi dlatego właśnie poprosiłem, żeby przysłano pana tu, do Krakowa. Major zgadza się, że pana przebywanie w oddziale nie jest niezbędne, że kto inny może przeprowadzać akcje ekspropriacyjne. Myślę, że on rozumie, że trzeba znaleźć nowe formy organizacji, że prędzej czy później...

— Chyba nie proponuje mi pan wyjścia na powierzchnię?

— Hm. Wiem, że nie będzie panu łatwo na to przystać, a nie mam zamiaru wywierać na pana presji. — Pułkownik mógł wydawać się zakłopotany w tej chwili; na mniej niż ułamek sekundy twarz wykrzywił mu dziwaczny grymas. — Nie, oczywiście, nie chodzi o żadne ujawnienie. Cóż za makabryczny pomysł?! — Zachnął się z nagłym uśmiechem, szczerze ubawiony rozpoczętą przez Janka grą. — Chodzi o coś całkiem innego — przymusił ton swojego głosu do powagi — o nowy model, nową jakość konspiracji. O coś w rodzaju podziemia wobec podziemia. Czy rozumie pan?

— Wybacz pan, panie pułkowniku, nic, zgoła...

— Widzi pan, jestem przekonany, że nie wolno szukać odpowiedzi w analogiach historycznych. Żyjemy w nowych czasach, z nowym wrogiem dobrze osadzonym w realiach życia, wrogiem innym od znanych z przeszłości. A jednak na jeden przykład chcę się powołać. Na to, co się z nami stało po powstaniu styczniowym. — Wyczuć było można z nieznaczącej zmiany tonu, że wchodzi na wyśmienicie znaną sobie ścieżkę. — Każda wcześniejsza insurekcja nie odbierała nam ochoty do walki. Dlaczego? Bo nigdy wcześniej nasza klęska nie była ostateczna. Nie niwelowała naszych sił do zera. W 1865 nie zostało nic, nic poza przerażeniem. Przez długie 25 kolejnych lat nie działo się prawie nic w ruchu patriotycznym, ruchu obliczonym na walkę zbrojną. Gdy myślę o naszej dzisiejszej sytuacji, przychodzi mi na myśl to właśnie, ostatnie powstanie i jego konsekwencje. Wówczas zabrali nam męstwo, odwagę, zabrali na jedno pokolenie. Odebrali nam wiarę we własne JA. A przecież, w zestawieniu z ryzykiem dnia dzisiejszego, z niebezpieczeństwem utraty nie tylko męstwa, ale i tożsamości, tamta, ówczesna sytuacja, narodowa klęska, nie była nawet w jednej setnej części tak straszna. Nie wykorzenili przecież naszej tradycji, wiary, tożsamości. Dziś, gdy mamy do czynienia z wrogiem nowej kategorii, to będzie wyglądać inaczej. — Pochylił głowę i spod tej pochylonej nad stołem głowy, spojrzął na Janka.

— Przed wojną tylko nieliczni rozumieli powagę sytuacji, skalę nadchodzącej katastrofy. Mało kto tego słuchał, Mariana Zdziechowskiego na przykład. Nie chciano widzieć tego, co nadciąga. Budowaliśmy mocarstwo, byliśmy silni, zwarci, gotowi; nie mogę o tym wszystkim myśleć bez obrzydzenia. Jakie to małe. I ma pan rację, nie byłem lepszy od innych. Czy nie widziałem, co się tu wyprawia? Nie, to nie była kwestia niewiedzy, a odwagi, odwagi cywilnej. Widzi pan, i to także trzeba wziąć pod uwagę: o wiele łatwiej wykazywać się męstwem na wojnie, nawet w konspiracji. O wiele trudniej, gdy wszyscy

wyjdą z lasu, zaczną żyć, pracować, zakładać rodziny. To naturalna kolej rzeczy, wpisana w istotę potocznego życia.

— Wie pan, panie pułkowniku, że znałem Profesora? Poznałem go ledwie kilka miesięcy przed jego śmiercią. — Pamięć, ta czasem krnąbrna pamięć, przenosiła teraz Janka błyskawicznie w tamte, jakże dalekie czasy. — Nigdy nie zapomnę twardości jego słów, siły spojrzenia. Miał w sobie pewność nadchodzącej zagłady, ale ani myślał kapitulować. Nie wiem skąd brał tę moc; z niczym nie porównywalną. Mimo oczywistej perspektywy klęski, pesymizmu, utraty wszelkiej nadziei... — oczy zaszklily mu się wzruszeniem, nie dbał o to. — Nie miałem jeszcze 18 lat, nie wiedziałem dlaczego mówił to wszystko akurat mnie. Mówił rzeczy straszne. Odwiedzałem go regularnie, raz, czasem dwa razy w tygodniu. Opowiadał mi o sobie jakby czytał własny pamiętnik, jakby koniecznie chciał przekazać żywe słowo. Dlaczego właśnie mnie, odrostkowi, który ledwie zaczynał cokolwiek rozumieć? Nie wiem, nie wiedziałem wtedy, nie wiem dziś. Wychodziłem od niego, zawsze z tym samym wrażeniem walącego się świata, przekonany, że fasady mijanych po drodze kamienic trzymają się krawędzi chodników tylko siłą przyzwyczajenia, że niemożliwe jest ich dalsze trwanie, że stanowią w gruncie już kopące się ruiny; tyle że ich historia jeszcze się nie spełniła. I wiedziałem też, miałem jasną świadomość, że w istocie tej katastrofy nie chodzi wcale o materię, że nie ona będzie przedmiotem agresji. Czułem to i wiedziałem; Profesor przygotowywał mnie, przekazywał mi swoją wizję. I cały czas myślałem, nieustannie: dlaczego ja, czy nie ma uczniów lepiej przygotowanych?

— Nie pytał go pan?

— Nie, nigdy nie mogłem zdobyć się na śmiałość. Pytając podważałbym przecież jego wybór. Dzisiaj myślę, że chciał przekazać swoją wizję komuś nieobarczonemu, z czystą myślowo kartą. Nie chciał wdawać się w żadne przekonywanie, w polemikę. Był zmęczony, bardzo zmęczony, to były ostatnie miesiące.

I przy tym całym jego zmęczeniu, cierpieniu, czułem, że z każdym kolejnym spotkaniem narasta w nim upór, wola dokończenia dzieła, przekazanie wizji. Miał żelazny charakter, pełen delikatności. Czułem jak bardzo mu to przeszkadza, krępuje, jak martwi go to, co robi mojej młodzieńczej świadomości; zamartwiał się, kładąc na moje barki ciężar.

— Czy w tym co mówił, było coś więcej, coś co wykraczało poza publikowane teksty?

— Nie mogę o tym mówić otwarcie. — Skierował wzrok w kierunku zapadającego za oknem zmierzchu. — Jestem związany słowem, i własnym przekonaniem. Ostatnia rzecz, jaką chciałbym w życiu zrobić, to w jakikolwiek sposób nadwerężyć zaufanie, jakim mnie obdarzył. Wiedział, że jest chory, śmiertelnie, bardzo cierpiał fizycznie. Mam przed oczami jego wspaniałą, godną, nikłą wzrostem postać; jego siwe włosy, okalające wyostrzone rysy ascetycznej twarzy; i łagodność oczu, ciepło jego spojrzenia.

Na moment, długi moment, zamilkli obaj.

— Ale, tak, dobrze pan się domyśla, panie pułkowniku. To było coś więcej. Byłoby nielojalnie z mojej strony, gdybyśmy wstąpili teraz na grunt jego rozważań. To poza wszystkim nie jest konieczne. W zestawieniu z trafnością jego analizy, przewidywań, dostępnych powszechnie, w każdej większej bibliotece, świadomości ludzi, którzy tu i teraz zajmują się walką, jest świadomością kornika wobec dzieła sztuki rzeźbionego w drewnie. A nawiasem — dygresja wydała mu się świetną sposobnością do ucieczki od ciężaru wspomnień — słyszałem o jakimś cudownym powrocie?

— A, tak. — Przytaknął Pułkownik. — Chodzi o ołtarz Wita Stwosza. Niemcy wywieźli go w roku 1942, szczęśliwie odnalazł się w Hamburgu. Odnalazł go profesor Estreicher, jeśli dobrze słyszałem, a Amerykanie postanowili go nam zwrócić.

— Nam?

— Tak... nam... to znaczy... — Pułkownik zdawał się zdetonowany — zwrócić, czyli, zwrócić nam... polskiemu społeczeństwu.

— I widzi pan, panie pułkowniku. — Zawahał się. — Rozmawiamy o istocie myśli Profesora, o tym, co go szczególnie wyróżnia. W jaki sposób patrzył na zagadnienie nowego świata; bo przecież bolszewicy odmienili jednak świat nie-do-poznania. W tym właśnie tkwi moc jego myśli: nie dać się sprowadzić na manowce zestarzałych pojęć, starej tradycji wroga narodowego. Musimy zrozumieć przede wszystkim jedno: ten wróg, który jest, nie przyszedł do nas po to, żeby nam odebrać narodową tożsamość. To anachronizm, błąd logiczny i brak konsekwencji. — Kątem oka dostrzegł, a przynajmniej tak mu się zdawało, cień kpiny w uśmiechu Pułkownika. Znowu postanowił zmienić temat.

— Prosił pan pana Majora, żeby mnie tutaj wysłał. Nie jestem pewien, czy nie zrobił tego z pewną ulgą. Mam tu — z tylnej kieszeni spodni wyciągnął złożoną kartkę — ulotkę, myślę, że jego autorstwa, którą rozklejaliśmy na murach w Trójmieście i gdzie indziej, w dużych ilościach. Pozwoli pan, że przeczytam fragment, znamienny, tak mi się zdaje. — Szybko przebiegał oczami w poszukiwaniu właściwego miejsca.

My, którzy ponieśliśmy tyle ofiar nie możemy pozwolić na to, by w naszym Państwie panoszyli się Azjaci i narzucali nam swe prawa przez swych pacholców...

— Proszę, to dla pana. Wyleciało mi z głowy, że mam ją w kieszeni.

— Przecież dobrze pan wie, nie każdy musi być literatem.

— Panie pułkowniku, proszę — machnął niecierpliwie głową — proszę. Przecież nie forma jest tu istotna, wyłącznie treść, intencje, myślenie jakie z tej treści wynika. Za krótko przebywałem w Brygadzie, za mało miałem okazji rozmawiania z panem Majorem, żeby wyrobić sobie bardzo ścisły pogląd, wydaje mi się jednak, że on nie tyle nie ma racji (inaczej przecież

nie byłby tym kim jest), co reprezentuje ogólne zamieszanie w postaci najbardziej typowej. A przecież, jeżeli ktokolwiek ma w tym kraju tytuł do reprezentowania polskiej racji to właśnie on.

— Nie jestem pewien, czy pan nie przesadza. Tak jak nie każdy rodzi się literatem, nie każdy musi mieć także dogłębną wiedzę historyczną. Właśnie on, najwybitniejszy w tej chwili w kraju dowódca; jego czyny, decyzje są tego najlepszym dowodem.

— Ależ, panie pułkowniku... — Zdziwiła go nagła oschłość tonu Pułkownika.

— Proszę wybaczyć, proszę o wybaczenie panie Janku, tak nam wszystkim łatwo zaperzyć się w dyskusji. Ma pan rację, trzeba o tym wszystkim dyskutować. Źle, źle mówię. Cały, widzi pan, problem w tym, że nie czas teraz na dyskusje. Rozmawiać trzeba było wcześniej, grubo wcześniej, może wtedy, gdy pan rozmawiał z Profesorem. Później, po wrześniu, już nie było kiedy, jak. Kto niby miał rozmawiać, gdzie, z kim? Żeby zaistniała dyskusja musi być spełniony przynajmniej jeden elementarny warunek — wolność, wolność wypowiedzi. A wolność w czasie wojny nigdy przecież nie jest możliwa. Fakt, przed wojną nie było jej wiele więcej. Napuszone, rozdymane doktryny przykryły wszystko. Widzi pan, nie możemy sobie poradzić nawet w kategoriach ściśle teoretycznych definiowania wroga, może nawet tu, jak teraz siedzimy w dwójkę przy tym jednym stole. Im więcej o tym wszystkim myślę, a myślę bez przerwy, tym silniej dochodzę do przekonania, że klęska jest nieuchronna, bez przykładu w historii. Klęska, która pochłonie wszystko bez reszty. Jestem pewien, że pan rozumie te sprawy lepiej niż ktokolwiek inny. Dlatego moja propozycja jest następująca: zejdzie pan do podziemia. Zejdzie nie po to, żeby działać, walczyć, ale żeby przetrwać. Żeby chronić ideę. Nie, to nie jest rozkaz. — Wykonał ręką gest zaprzeczenia, choć ze strony Janka nie padło jedno słowo sprzeciwu.

— Brzmi tajemniczo.

— Nie minie rok, trzy lata, może pięć, z całej naszej idei i popiół nie zostanie. Bolszewizm zapanuje wszędzie. W każdej dziedzinie życia. Jedyna szansa, że pozostanie ktoś, ktoś świadomy sytuacji, zagrożenia; wie pan, że o panu myślę. I wiem też, że ja pana tu, dzisiaj, nie przekonam, bo to oznacza dla pana koniec wszystkiego, w pewnym sensie. To pan musi sam przekonać siebie, że te absurdy, które wygłaszam... że nie ma alternatywy, że to jedyna opcja. — Mówił chaotycznie, argumenty z ledwością układały się w logiczną całość. Czuł jak bardzo mu zależy, jak bardzo wierzy w tę, wymyśloną przez siebie, mglistą misję.

— Proponuje mi pan rodzaj osobistej kapitulacji?

— Przeciwnie! Chcę, żeby dzięki panu walka nie skończyła się, tak po prostu. Żeby trwała. Żeby pozostał ktoś, kto będzie mógł tę naszą walkę organizować od nowa, gdy tylko pojawi się szansa. Inaczej... Wiem, wiem dobrze, że nie przekonam pana łatwo, nie słowem, nie tu, w tym mieszkaniu, nie podczas tej rozmowy. Dlatego chcę, żeby przekonał się pan do mojej wizji na własnej skórze. Zobaczył sam jak to wszystko wygląda. Chcę, bo ja wiem, chcę żeby nabrał pan kilku nowych doświadczeń, żeby zabawił się pan w podróżnika z musu, współczesnego Ulissesa, nabrał dystansu, poznał nowe horyzonty.

Gdy przebudził się nazajutrz, pułkownika nie było w mieszkaniu. Czuł, że jest bardzo późno. Zegar w obojętności swojej wskazywał dwunastą. Na stole leżała kartka z adresami, trochę pieniędzy, kilka złotych monet. Zjadł śniadanie, podziękował za gościnę, dwie godziny później był już w pociągu do Wrocławia.

Zamysł Pułkownika był trudny do przeniknięcia. Przypominał raczej plan wycieczki krajoznawczej. Janek nie dostrzegał żadnej reguły w przygotowanym przez Pułkownika planie zajęć. Po co miał jechać w Karkonosze, stamtąd w Białostockie

i dalej, znacznie dalej, na Wileńszczyznę? Szczególnie ten ostatni cel wydawał mu się czczym sentymentalizmem.

— Proszę wybaczyć panie poruczniku. Nie chcę panu nic więcej objaśniać. — Takie były ostatnie słowa Pułkownika.

Kilka ledwie kilometrów za Wałbrzychem pociąg, który miał go dowieść aż do Szklarskiej Poręby, zatrzymał się z powolną ociężałością, sapnął kilka razy, wydał z siebie parę, szarpnął do przodu, cofnął kilka metrów, i znowu szarpnął, raptownie, przewracając niemal stłoczonych w przejściach pomiędzy siedzeniami ludzi; stanął, na dobre. Nie było wyjścia innego, jak udać się w kierunku szosy i iść dalej pieszo. Perspektywa samotnej wędrowki nie wydawała się Jankowi nieprzyjemna.

— I dokąd to?! — Ostatni w długim sznurze wojskowych, czerwonoarmijnych ciężarówek pojazd niemal najechał na idącego poboczem Janka.

— Przed siebie, gdzie Pan Bóg poprowadzi, byleby do przodu. — Wychylony przez okno ciężarowego pojazdu sowiet wydał się Jankowi z jakiegoś niezrozumiałego powodu sympatyczny. Sympatyczny i jakby znajomy. Znajomy, którego się w życiu dotąd nie spotkało.

— Pan Bóg, powiadasz?! Ech, naród tu jaki zacofany, a ty co, taki niby inteligent na pierwsze wrażenie i też powtarza. My, sowiecki naród, może i nieokrzesany, i brudny czasem, mocno pachnący, ale przynajmniej nowoczesne poglądy reprezentujemy. Toć i wiadomo, kto najlepiej prowadzi! Nasz geniusz ukochany, ot co!

— Znaczy się sam Stalin twoją ciężarówką kieruje? — Żartobliwy, na ucho, i uderzająco śmiały ton czerwonoarmisty intrygował.

— No i nie mówiłem, jaki ty przebiegły, zuch!? Inteligent! Któż inny jak nie sam ojciec największy ma czuwać nad moim

sterem? — Żachnął się, ukazując w szczerym uśmiechu pożółkłe, krzywe zęby. — No, wskakuj Polak, podwożę, pogwarzymy sobie. — Zamrugał wesołym okiem.

— Dziękować wielce. — Z lekkością pokonał wysokie stopnie szoferki. — I dokąd to zmierzasz czerwony żołnierzu, dokąd los prowadzi? — Dziwaczna, ale i oczywista, wydała mu się nagła chęć rozmowy z tym człowiekiem. Ciężarówka ruszyła ze zgrzytem motoru i przeciągłym jękiem-stęknieniem budy nadwozia.

— Tajemnica armijna, a ty co? Co taki ciekaw jesteś? Partyzant może, białopolak, że tak wypytujesz?! — Nieustająca drwina tego głosu skłaniała do otwartości, choć wciąż zdumiewała Janka.

— Jaki i tam ze mnie białopolak być może, skoro, widzisz — podsunął sowietowi pod nos odsłonięty fragment przedramienia z nadgarstkiem — nawet zegarek swój przeznaczyłem na potrzeby socjalistycznej obronności.

— Fakt — sowiet za kierownicą spojrzął przelotnie — swołocz ta nasza sowiecka grabi na potęgę. Ale — zawiesił głos na moment, rzucając przy tym inteligentne spojrzenie w kierunku pasażera — jakże mogłoby być inaczej, skoro, widzisz kompanie, wszyscy my przecież teraz materialisi, czyż nie?

Janek przyjrzał mu się uważnie, choć przejmujący odór niemytego od dawna żołnierza do tego nie zachęcał. Z całą pewnością nie mógł to być prosty piechur z sowieckiego kołchozu, którego awans społeczny polegał na zdobyciu przywileju kierowania ciężarowym samochodem. Ani młody, ani stary, z całym na beznamietnej twarzy zamazaną metryką, gdzieś pomiędzy 25 a 45 rokiem życia. Watowana gruba kurtka bez odznak uniemożliwiała rozpoznanie dystynkcji. Powierzchność, jeśli tak można określić nędzę jego zmęczonej fizjonomii, nie dawała obserwatorowi zbyt wielu wskazówek. Gdyby nie błyski przenikliwych oczu, rzucane od czasu do czasu spod wpeł przymkniętych powiek, nie mógłby Janek wyrozumować

niczego, co warte byłoby wzmianki. A jednak te ułamkowe ledwie refleksy tajonej skrzętnie inteligencji mówiły wiele, bardzo wiele. Jako, niegdyś już, sowiecki poddany, potrafił Janek odczytać i docenić wartość takiej mimikry. I choć nie był całkiem pewien swojej oceny, postanowił zaryzykować, zagrać z intruzem na całego.

— I jakże taki wróg bolszewizmu jak wy, towarzyszu, dośłużył się rangi w czerwonej niepowstrzymanej? SMIERSZ przesłepiła, choć matka kłamać nie nauczyła, hę? — Skusiło go coś? Co u licha?!

Nie usłyszał odpowiedzi. Przez dłuższy moment jechali w milczeniu. Spalone ruiny wsi po jednej i po drugiej stronie szosy znamionowały przechodzącą wojnę. Dziwna to była pustka, pustka i cisza przyrody, nie licząc warczącej jękliwie ciężarówki. Cisza obecna była też między nimi.

— Matka, powiadasz... — na jego twarzy nie było już dawnej sowieckiej maski, ani żadnej innej. Była twarda, surowa w rysach, zasadnicza. — Nie, nie matka, a żona. — Mówił po prostu, jak do najlepszego przyjaciela, bez cienia jednego pozy. — Mam już, widzisz, na grzbiecie swoje lata. I swoje widziałem... — urwał na moment, pokonując ostry wyjątkowo zakręt.

— I każda żona, słyszałem tak, żegna męża swojego, gdy ten na wojnę wyrusza, ze strasznym jękiem, choćby i nigdy nawet wcześniej dobry dla niej nie był. I nawet, słyszałem, i sowietki tak robią, choć nie wiem czy to odrobinę nie wbrew partii jest? — Żartował z ciężką, ponurą ironią.

— A moja... — i znowu zawiesił głos, tuż za jakąś opuszczoną rudera skręcając w dół, na skaliste niemal bezdroże — moja przeżegnała mnie krzyżem świętym, przytuliła do siebie, mocno przytuliła i powiedziała, żebym do hańby munduru, jaki na sobie noszę, nie dołożył jeszcze hańby złego uczynku. — Urwał. — Rozumiesz? Rozumiesz...?! Czy to jest w ogóle do pojęcia? Rozumiesz... — w zawieszeniu głosu szukał imienia siedzącego obok pasażera.

— Janek.

— Paweł.

— Zatem Pawle... — zamyślił się po tych ledwie dwóch słowach, a może zamyślenie tylko udał, czując wewnątrz powagę postawionego co tylko zagadnienia. — Jak to jest? Czy i pod władzą szatana można zachować duszę? Przecież ty i twoja żona żyjecie w tym ścierwie...

— Dwudziesty ósmy rok nam idzie. Ledwie odrosłem od ziemi, gdy to było przyszło nas „nawracać”. Co z duszą, pytasz? — Koła ich ciężkiego wehikułu wtaczały się jęklawie pod stromość szutrowej, niemiłosiernie pooranej drogi. Jechali wolno, bardzo wolno, niezdarne kolebiąc się stękającą bryłą ciężarówki, raz na jedną, to znów na drugą stronę. Długi sznur ciężarowych aut przed nimi był już znacznie dalej, za ostrym wirażem, po drugiej stronie stromo spadających zboczy głębokiej i wąskiej dolinki. Jechali nad przepaścią, tuż niemal; w ostatnich promieniach milknącego słońca; dzień dogasał.

— Czasem się wydaje, że zgoła jej nie ma, ot, tu choćby, na tej przekłętej wojnie. Ile ja strasznych rzeczy widziałem, do ilu parszywców musiałem udawać sympatię? Nie będę gadać, bo i na samą Sycylię dojechać byśmy mogli przy tej opowieści, fuj! Więc z duszą to jest tak..., że czasem jej już całkiem nie ma, czasem śmierdzi krwią, trupem; gorszy niż ja, w tej tu szoferce, zapach wydaje. Czasem znowu jest całkiem inaczej; przychodzi, wchodzi w człowieka, choćby najpaskudniej w złe uczynki umorusanego, z dalekiej drogi wchodzi, czysta i jasna. A bywa, wierz mi, że wkracza z rozmachem wielkim, po pańsku, ledwie daszka czapki palcami dotknąwszy... sprawia, że wtedy człowiek traci rozum, i wtedy może... — lewe koło zbliżyło się do krawędzi drogi na centymetry tylko, tuż — zyskuje właśnie najwięcej.

— Czyli, jest nadzieja?

— Nadzieja, powiadasz... — Paweł pokiwał głową niby potakująco i zastanowił się.

Niesforne lewe przednie koło mocą pędu i ciężaru całej maszyny rozpryskiwało na boki zeschnięte grudy zbocza; poczuli gwałtowne szarpnięcie, brezentowa buda za ich plecami przechyliła się raptownie. Paweł usiłował kontrować kierownicą — było za późno. Buda przechyliła się jeszcze mocniej, przeważając niemal środek ciężkości. Jeszcze moment, chwila, a runą, koziółkując bokiem w dół. W ostatniej chwili lewe koło natrafiło na nieco wyższy, stabilniejszy grunt. Paweł postanowił to wykorzystać. „Raz kozie...” Gwałtownym skrętem podjął ryzyko zjazdu po stromiźnie zbocza. Po trzydziestu metrach szalonego pędu szczęście na moment go opuściło — najechali na wystający głaz, podrzuciło autem na prawą stronę. Nie było ratunku. Łądowali boczną ścianą, powodując lawinę drobnych kamieni i zaschniętej gliny, kilka metrów osuwali się jeszcze, gubiąc po drodze zawartość bagażowej skrzyni. Zatrzymali się; kupa z żelastwa, drewna i brezentu zastygła. Ucichł przeraźliwy zgrzyt sunącego po stromiźnie złomu. Byli bezpieczni.

— Nie musisz nikogo zawiadomić o wypadku? — Chodzili wkoło karłowatych w tym miejscu drzewek, zbierając zeschnięte gałęzie. Dolinka poprzecinana była, poryta nieregularnie mniejszymi, większymi ni to pagórkami, ni dziurami w ziemi, głębokimi niekiedy na wysokość dwóch ludzi jamami.

Nieprzejęty samochodową katastrofą Paweł natychmiast, jak tylko udało im się wygramolić z szoferki, zarządził postój, ognisko i kolację. Spojrzał teraz na Janka jak na wariata z innej planety.

— Myślisz, że ktoś się takim gównem przejmie? Była ciężarówka, to była, a teraz jej nie ma, i wszystko. A kogo to obchodzić może, co stało się z lejtnantem krasnej armii, Pietuszkinem? A jeśli okaże się, że to wróg, że z białopolakiem dogaduje się, albo, co gorsza, duszę jaką pod szynelem skrywa, to co niby? Władza sowiecka nie nawykła przejmować się drobiazgami.

Zginał to zginał; zidiociał, toż się go uleczy; stchórzył czy zdradził i na to znajdzie się lekarstwo, łożowane. Wiesz ilu już takich gierojów jak ja ziemię swoim ścierwem wypełnia, masz wyobrażenie? Zdolny jesteś wytworzyć w sobie wizję dwudziestu milionów trupów w jednej zlepionej masie? Ogarnąć wzrokowo taki pejzaż? — Machnął ręką.

— Poza tym... — zmienił ponury wcześniej ton — widzisz ty tu gdzie budkę z telefonem? Jeśli jest, to dobrze. Już wykręcę numer. — Z rozbawieniem podniósł pięść do ucha. — Łączyć mnie zaraz z towarzyszem Stalinem! Faj! — Wykrzywił twarz komicznym obrzydzeniem.

— Biermy się do jedzenia. Obaczysz na czym polega kazachska gościnność.

— Wódeczka, szaszłyki, bakłażany, kozi ser?

— No..., prawie! Szaszłyki w każdym razie. — Z zielonego, żołnierskiego worka wyjmował niezwykle bogate wiktuały: chleb, duży ułomek żółtego sera, cebulę, zawiniętą w gazetę wielki kawał surowej wieprzowej karkówki, litrową butelkę wódki.

— No i proszę...! — Janek popatrywał na to wszystko ze szczerym i głodnym zdumieniem.

— Co, proszę?

— Zawsze się zastanawiałem, dlaczego wszyscy wciąż tylko żrą słoninę i słoninę? Przecież, niby, świnia to nie sama tylko skóra i tłuszcz.

— I po tym właśnie poznać wroga czerwonej armii! — Śmiali się wesoło.

Chęc do rozmowy, nieodparta, musiała ustąpić pola. Sycili głód z dziką, łapczywą pazernością. Jeśli obaj nawet mieliby skłonność do wstrzemięźliwości, orbitowała poza wołaniem ich żołądków w tej chwili. Przyjemnie jest jeść w milczeniu, jeść po prostu, aż do pierwszego nasycenia. Jeść i nie myśleć o niczym. Tak rodzi się dobry nastrój.

— Wiesz, boję się tej twojej uczy. Uruchomiła we mnie łaknienie drobiazgow. A żołnierz na wojnie powinien myśleć tylko o...

— O wojnie? Może masz rację, pewnie masz. Bierz pod uwagę, że ja nie jestem żołnierzem... jestem tylko niewolnikiem. Ani to moja wojna, ani mundur, jedynie hańba... jest prawdziwie moja. Moja i mojej żony.

— A gdybyś...?

— Nie, nie... myślałem o tym, oczywiście. Już dawno doszedłem do punktu, w którym jest wszystko jedno. Poza tym, widzisz, co tu kryć, kiepski ze mnie materiał na bohatera. Za długo już jestem niewolnikiem, rozumiesz? — Patrzyli na siebie ze smutkiem teraz.

— Tobie się wydaje, że wiesz. — Po dłuższej chwili Paweł mówił dalej. — Wiesz, bo żyłeś pod sowiecką władzą rok, może dwa, ale to co wiesz, co widziałeś, to nie jest prawda, cała. Powiem ci tylko tak: nie zrozumiesz człowieka, który przeżył w tym ścierwie ćwierć wieku, prawie całe życie. Choćbyś nie wiem jak mocno chciał walczyć, to w końcu cię nadgryzie, upodli, wciągnie w szlam codzienności. — W niczym teraz nie przypominał dawnego Pawła, tego sprzed godziny, z szoferki.

— Rozglądasz się dookoła i widzisz jak karleją ludzie — mówił, twardo wypowiadając frazy, jakby odmawiał litanię z najgłębszych pokładów przetrwanego w życiu smutku — i dziwił się, że tak szybko, i dochodzisz pewnie do wniosku, że są z innej niż ty gliny. I może nawet masz rację, może jesteś tym jedynym, wyjątkowym. To, wybac, całkiem bez znaczenia, ten twój indywidualny przypadek. Ludzie, wszyscy ludzie są w gruncie rzeczy tacy sami. — Opuścił głowę. — Każdy w końcu przywyka.

Ognisko iskrzyło przyjemnym trzaskiem. Płomienie szły w górę nieznacznym zygzakiem, nie sięgając plejady migotliwych ogników zawieszonych w czerni nieba. Ostatnie badyle z ponakłowaną na nie wieprzowiną skwierczały kusicielsko, ale

nie było na nie apetytu. Rozświetlone twarze falowały poprzez rozgrzane powietrze, wódka rozluźniała.

— Wytlumacz mi, proszę. Wytlumacz, a potem zmień zdanie... — to spotkanie musiało mieć jakieś znaczenie. — Ja zwyczajnie czegoś nie rozumiem. Spotykam człowieka, mądrego, bystrego człowieka. Nie jakąś bezmyślną bolszewicką kukłę... i dzieje się to nie w jakiejś odległej przeszłości, ale tu, przy tej drodze, z której raczyłeś zjechać...

— I skąd tu nagle człowiek?

— Dokładnie.

— Skąd w niewolniku człowiek? — Odruchowo pogrzebał w żarze, wzbijając tuman iskier. — Kto wie? Może na tym właśnie polega słabość tych bolszewickich szumowin. Nie potrafią zabić człowieka w człowieku, wyrwać mu całkiem duszy. Ich niewolnik nigdy nie będzie doskonały. Tyle, że nadal, Janku, będzie niewolnikiem. Zresztą, nie wiem, wcale nie myślę, żeby było tak pięknie... może po prostu mnie się poszczęściło w życiu.

— Tobie?

— Mnie Janku, mnie; bo popatrz, co to właściwie szczęście? Jak życzyś sobie owo definiować? Czy szczęście to może być na ten przykład mocna jak dąb kobieta, niewzruszona, która nie pozwoli ci się ześlizgnąć do rynsztoku? Odprowadza na wojnę, na którą pójść musisz, odprowadza, ale nie błogosławi — przeklina? Jak myślisz Janku? Czy oglądanie całego tego szlamu dookoła szeroko otwartymi oczami i z głową wysoko podniesioną, gdy wszyscy inni już dawno zanurkowali i... i dobrze im z tym, czy coś takiego ma swoją wartość, którą wypada cenić?

— A czy dobrze jest spotkać na drodze człowieka jakim chciałoby się być samemu? — Mówił dalej. — Wpatrywać się poprzez żar ogniska w jego mądre, prawe oczy, w jego nienasylenie dobrem? — Śmiało wychodził poza konwenans zwykłej rozmowy. Patrzyła na Janka twarz poważna, nieskora do uśmie-

chu. — A wszystko w poczuciu, że się własne życie zmarnowało? Że jest się tylko szmatą w śmierdzących żołnierskich łachach? Za późno Janku, za późno dla mnie. — Dopowiedział ostatnie zdanie po chwili ciszy.

— Nie wierzysz, że los można odwrócić?

Zza zakrętu, wysoko, na linii otaczających dolinkę wniesień pojawiły się światła wojskowych samochodów. Słychać było trzask drzwiczek, pokrzykiwania na żołnierzy.

— A to widać już moi kompanioni. — Powiedział smutno nie wstając od ogniska. Będziesz, niestety, musiał stąd zmykać... U nich, u tych co tu zaraz będą, mógłbyś przypadkiem nie znaleźć człowieka, wierz mi na słowo.

— A gdzie my właściwie jesteśmy. Słabo znam te okolice.

— I widzisz, jaki to z ciebie turysta, paradoksalista! O drogę Janku nie pytaj nigdy bolszewika. A jeśli już tak dla czegoś zgłupiejesz, koniecznie idź w przeciwnym kierunku.

— Tu, za tym wzniesieniem — wskazał ręką — jest całkiem spory zjazd, na łeb na szyję. Na szczęście my, wiesz Janku, amerykańskie maszyny mamy, hamulce pierwsza klasa. Czy to zresztą takie szczęście? W dole jest rzeczka, a za nią taka mała dziura, nie pamiętam jak się nazywa; dalej Kowary. Tam, widzisz, w zeszłym roku udało nam się, naszym dzielnym towarzyszom, zatopić poniemiecką kopalnię, nie wiedzieć po co w skale litej drążoną. Teraz skandal na całą sowiecką republikę, bo tam uran, a z uranu bomba dla wrogów postępu ma być wytworzona. Widzisz teraz, jakim śmiertelnym gównem zajmują się...?

Żołnierskie głosy słychać było coraz wyraźniej, na pochyłości wzgórza widać było blask ręcznych latarek. Nie było czasu, nie było.

— Chodź ze mną!

— U mnie żona, pamiętasz? Takiej żony się nie opuszcza. Wszędzie znajdzie, za kudły i z piekła wyciągnie, a po co na taki wstyd narażać się, ha? Dokąd idziesz, mów szybko, pomogę.

— Do... Szklarskiej — zawahał się.

— I dobrze, że się wahasz. Z Kowar droga prosta jak stół, choć to i góry piękne, surowe. Będzie jakie 20-30 kilometrów — dla takiego piechura, jak ty, fraszka.

Piął się zdecydowanie, krok za krokiem. Wąska, stroma od początku ścieżka, chwilami nie miała nawet pół metra szerokości. Odnajdywał ją z trudem w gąszczu niskopiennych roślin dookoła. Nie zawsze też wiodła prosto w górę. Szedł szybko, bardzo szybko choć mozolnie jednocześnie; w gruncie rzeczy nie męczył się bardzo. Lata ciężkich, leśnych marszów, w mrozie, w upale, w spiekocie i w błocie, choć gór wielkich po drodze tych wędrówek nigdy nie było, zamieniły ciało w stalową maszynę do pokonywania każdego potrzebnego dystansu. Podobno, tak słyszano, polska husaria zdolna była niegdyś pokonywać i sto dwadzieścia kilometrów dziennie, konno. Nie mniej niż połowę tego dystansu potrafił robić partyzant spod Nowogródka, gdy — rzecz to jasna — zachodziła tego konieczność. Jeśli nie było potrzeby, ani innych spraw pilnych, leżało się na mchu z oczami przymkniętymi całkiem (z widokiem, na łzawej tafli oka, walczących ze sobą mikrobów czy innego drobiazgu), lub też lekko tylko zmrużonymi — wpatrzonymi w zleniwiałe niebo rozpostarte nad światem. Bo i cóż nad wygodne leżenie przyjemniejszym być może, gdy — dajmy na to — rozczochrane czuby sosen zdają się zamiatać niebo z deszczowych obłoków?

Człowiek żyje, i na ogół nie wie nawet po co. A może nie „na ogół”, może po prostu, bez wyjątku — nie wie. Bo czy urodził się kiedyś osobnik, który znałby z niezachwianą pewnością cel swojego istnienia?

Janek wspinał się pod górę, a jego myśli wcale nie były wypełnione mięszmem intelektualnej powinności. Szedł, po prostu, a iście to sprawiało niewymowną radość. Czasem mógłby za-

trzymać się i zapytać, czy taka radość, biorąc pod uwagę czas i miejsce, przystoi mu jako człowiekowi. Ale to tylko tak się mówi łatwo — powinność. Sztuczne to i niezyciowe, i papierowe jakoś.

A jednak, było w tej jego radości coś dziwnego. Bo czy to pierwszy raz w życiu szedł przez las, czy pierwszy raz wspinał się po stromiźnie ścieżki? Tym razem było inaczej i Janek nie potrafił odkryć istoty tej odmienności. Myśli pobiegły w stronę niedawnego spotkania z Pawłem. Nagle wybuchła znikąd nadzieja złudna a ulotna. Jakiś nowy jej ślad podsycony nadmiarem wszystkiego, co chłonąć miło w dookolnej przestrzeni.

„Jeśli w tym potwornym systemie mogą istnieć, przetrwać ludzie, jak Paweł, czy nie oznacza to, że bolszewizm jest niczym ponad ślepe narzędzie tortur, fizycznych, psychicznych? Że w istocie swojej, poza uprzykrzoną trywializacją losu, nie znaczy zgoła nic? Czy coś takiego może stanąć na miejscu dawnego świata?” Pytania, pytania, pytania, drażniące, niepotrzebne może w tej chwili. Nie mógł od nich uciec, oderwać się. „Czy istniała kiedykolwiek cywilizacja, której jedynym celem było niszczenie kultur, tworzenie zaś — w żadnym razie? Czy najskuteczniejsza w świecie maszyna do niwelowania narodów, Asyria, nie była jednocześnie matką najwspanialszych wytworów ludzkich rąk, ludzkiego intelektu? Czy bezduszne człiekopodobne poczwary mogłyby wypełnić pięknem pałace Niniwy?”

Podniósł wzrok na masywne sosny; usłyszał szum upoczywy, regularny. Gdzieś, całkiem niedaleko, musiało płynąć spore źródło, spływać z góry, na którą wspinał się. „W takich miejscach rodzą się wielkie rzeki, nieustępliwe.” Postanowił; nie, nie postanowił, a po prostu, całkiem po prostu i najzwyczajniej, poszedł w jego kierunku.

Ledwie kilkadziesiąt metrów wyżej ujrzał strumień w całym jego wiosennym rozgardiaszu, rozlewający się, pieniący, co i rusz chcący wyskoczyć z nurtu swoim impetem. I cóż taki spojony osobnik rodzaju ludzkiego robić może na brzegu żywiołu?

Dla wody, skłębionej, nieujarzmionej, jego istnienie nie może mieć znaczenia; nie dzieli z nim przecież żadnego interesu. Jest sobie istota ludzka? I dobrze. Przejdzie? I nawet wspomnienie po niej nie zostanie. Wyczuwał potęgę natury i swoją lichowość. Nie był zdobywcą teraz, panem góry i tego spływającego z niej strumienia. I być nie myślał.

Siąść na omszałym kamieniu, odłożyć plecak lub podrózną torbę, zzuć buty, skarpety, czy co tam innego nasze stopy okrywa, podciągnąć nogawki spodni i skazić ludzkim odorem krystaliczną nieprzemijalność natury. „Czy kto jeszcze myśli w ten sposób?” Przemknęło przez Jankową głowę.

To dopiero przyjemność, istotnie! Przymknąć na moment powieki, odchylić kciukiem nadgarstka czytana właśnie opowieść i przenieść się wyobraźnią w układ nagich stóp w potoku. Co sobie myślał Janek, to jest kwestia indywidualnych bardzo doznań, wyobrażeń, możliwości każdego. (Górą ci, co akurat przy strumieniu teraz!) Janek nie myślał najpewniej nic, jak nie powinien myśleć człowiek w podobnej chwili z naturą, i powiedziałbym wam dlaczego nie powinien! — Lękam się jednak i waham. Bo czy wolno pchać zwątpienie w młode może jeszcze dusze, nieopierzone?! Niech żyją sobie beztrudnie; dalej. Dalej!

Chwila, jak to chwila, nie może trwać wiecznie. Jest i przemija — taka jej ustalona od stworzenia świata rola. Janek dla czegoś trzymał jej się kurczowo odrobinę dłużej niżby wypadało. Skąpe, prześlizgujące się z oporem przez grubą, zachłanną pokrywę spiętrzonych konarów, gałęzi, igieł, nieliczne promienie ostrego o południu słońca połyskiwały na moczonych wciąż na nowo kamieniach. Rozejrzał się tęsknie wzdłuż brzegów, w obu nagabujących kierunkach. Wiedział, że co chciałby teraz, jest niemożliwe, niedostępne. Chwile jak ta, drobnej demobilizacji, wspierają charakter; albo niszczą.

Z westchnieniem cichym wdział, co miał do założenia. „Czy to źle, że jest na świecie jeszcze radość życia i że się jej łaknie?” Nikt tych jego banałów na posłyszał.

Pora była iść, iść w górę, ciągle i ciągle, w ciszy, bez jednej żywej istoty po drodze. Bez śpiewu ptaków nad głową, odgłosów wiatru, z milknącym, za plecami, poszumem spienionego żywiołu.

Las urwał się na skraju polany. W dole była rozległa dolina; on jednak ujrzał co innego, co pewnie przed oczami większości ludzi przelatuje całkiem niezauważenie. To była przestrzeń, przestrzeń nieograniczona, nieco w dole, ale i na wysokości twarzy, i powyżej; daleka przestrzeń, niemożliwa do uchwycenia spojrzeniem, nieogarnięta. Zachwiał się w sobie, skulił. Strach nagły, irracjonalny, wyłonił się na powierzchni świadomości, rozpanoszył, podszeptując natrętnie, że za moment już, za chwilę, runie w tę niezmierną masę niczego całym sobą. Niedorzeczne to było — tam gdzie stał akurat, było prawie płasko.

Na ściętym sosnowym pniaku, kilkanaście metrów powyżej, siedział stary, zasuszony nieznajomy, w nieokreślonym bliżej wieku, lat osiemdziesięciu kilku, może. Nie żaden duch gór siedział, ale zwyczajny człowiek, bez brody, wygolony, ze strzechą siwizny, porastającą dużą, smukłą, kształtną głowę. Siedział, nie wiadomo skąd przyszedłszy i po co, a wpatrywał się w Janka z uporczywością osoby gotowej na spotkanie.

— No, nareszcie, upał dzisiaj okrutny. Zgrzałem się, czekając.

— Ale...

— Skąd, mianowicie, wiem? — Głos miał silny, lekko tylko drżący, zdecydowany, ale nie nachalny. — Dajmy spokój nieistotnym pytaniom. Pożyjemy trochę dłużej na tym świecie, zrozumiemy sami... — wyczuć w tych słowach można było drwinę politowania, ale nie była oczywista.

— Tam, w górze, ten niewielki szary budynek to schronisko, do którego zmierzasz; będzie ci wygodnie. Wyglądasz mi na mieszcucha, a może nie? Wyżej Veilichen-Spitze, Fiołkowy

Szczyt. Nie myśl tylko, że znajdziesz tu fiołki do wążania; to tylko krew porastająca tutejsze kamienie; to ona daje zapach fiołków, i podobno, tak nie zawsze mądrzy ludzie gadają, tylko wtedy, gdy zmoczyć ją łzami...

— Ale ty nie płakać tu przyszedłeś. — Mówił dalej z wielką pewnością wypowiedianych słów. — Widzę, po oczach, widzę. I że ze starym dziadem rozmawiać paniczowi nie ochota, też nie potrafisz ukryć. I czasu nie ma po temu, i zmęczenie ogromne, i milion innych spraw, dumnych pewnie, najszlachetniejszych. — Wyrzut zagnieżdżony w tych słowach ledwie był zamaskowany.

Podniósł się lekko, wyprostowując stare swoje plecy przy pomocy przytkniętych do nich, otwartych dłoni. Moc tego ruchu zaskakiwała w jego wiekowym ciełe.

— Po co starych słuchać, wiem.

— Ale...

— Wielomówny to ty młodzieńcze nie wydajesz się, ciekawe? — Nie było w tym zdziwieniu ironii. — Olgierd czeka w schronisku. — Skinął głową.

Zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił.

— Zatem, panie Janie, zastanawia się pan, dlaczego Pułkownik wywiódł go aż w tak dalekie i wysokie rejony? Dobrze wiedzieć, że się ma mir u młodego pokolenia. — Rzucił rozbijającym spojrzeniem przejrzystych, wesoło-kpiących oczu. W całej jego sylwetce, sprężystej jeszcze, choć w latach posuniętej, było coś z sarmackiej dostojności. Janek przyglądał mu się z uwagą. Nie wiedział kim jest ten człowiek, wygrzebując z pamięci niejasne wrażenie, że zna tę mądrą twarz o przenikliwym spojrzeniu. Nie myślał przejmować się popelnioną niezręcznością.

— Domyślam się, wciąż tylko domyślam jego prawdziwych intencji. Pułkownik ma wobec mnie jakieś plany, ale też świadomość, że nie jestem do ich realizacji całkiem jeszcze przygotowany. Sądząc po miejscu dzisiejszego spotkania — wskazał na przestronne, zakurzone okno w zmurszałych ramach — chce mi koniecznie poszerzyć horyzonty. Winienem mu z pewnością wdzięczność.

— Prawda, że pięknie tu? Choć trochę obco, nie całkiem to nasze góry, polskie, przez stulecia mieszkali tu inni ludzie. Z punktu pejzażu, a powinien pan wiedzieć, panie Janku, że jestem także malarzem, to jest oczywiście bez znaczenia. Góry nie mają narodowej tożsamości, są odwieczne, w każdym razie znacznie starsze od najstarszych nawet ludów.

— I góry, i chyba wszystko inne, i ludzie nawet nie są w pierwszym rzędzie przedstawicielami konkretnej nacji, ale ludźmi, po prostu. Zbyt często popadamy w łatwiznę szufladkowania. Ten jest Niemcem, a ten Polakiem, Rosjaninem, Litwinem, Białorusinem, Ukraińcem. Tymczasem, każdy z nich, to przede wszystkim człowiek, zły czy dobry. Trafnie wskazał pan na pejzaż. Bo spoglądając choćby w tę kotlinę przed nami trudno nie dostrzec głupstwa, gdy kto zechce upierać się, że to niemiecka przestrzeń. Absurdalność nacjonalizmu nigdy tak sugestywnie nie wylazi na wierzch jak w konfrontacji z naturą, z jej obojętnością na nonsensy pewnego rytu.

Dystyngowany pan przysłuchiwał się wywodom Janka z nikłym uśmiechem błędzącym w kącikach oczu. — Pułkownik nie przekazał mi żadnych konkretnych kwestii do omówienia, jeśli idzie o przedmiot naszego spotkania. — Mówił. — A jednak, myślę, dobrze jest zachować minimum ostrożności. Ściany tego domu wydają się solidne, ale to nie jest grube drewno, nieprzenikliwe dla ludzkiego głosu. Proponuję spacer, wędrowkę na wschód — wychodząc na niewielki taras wskazał ręką — jakby nie było, to główny, realnie, kierunek, który może nas dziś interesować.

Pogoda nie kaprysiła — była piękna od poranka i najwyraźniej ani myślała psuć się tego dnia. Wspięli się jakieś pięćdziesiąt metrów ponad linię schroniska i znaleźli się na wygodnej ścieżce prowadzącej wzdłuż zbocza. Była dostatecznie szeroka, żeby, idąc obok siebie, mogli swobodnie rozmawiać.

— Jeśli okażemy się dostatecznie wytrwali — mówił lekko zdyszany dystyngowany pan — za niecałą godzinę będziemy mieli pod stopami prawdziwy śnieg... śnieg majowy, czy to nie wspaniałe? Jesteśmy ledwie na wysokości jakichś 1300 metrów powyżej morza. Ale — zawahał się — czy nie za wiele w tym naszym spotkaniu tu, tuż pod wierzchołkami tego bajecznego górskiego pasma, czy nie za wiele kontemplacji, spraw niewzruszonych, oderwanych, jakże odległych od ponurej rzeczywistości? Czy taki dokładnie *entourage* nie odrywa nas nadto od prozaicznego konkretnego?

— Zapewne, istnieje takie ryzyko, ale czy, przypadkowo, nie jest całkiem odwrotnie? Czy tak zwana rzeczywistość, tam w dole, nie jest mniej realna od najbardziej fantastycznej imagacji, od nadnaturalnej magii nawet, której ulec moglibyśmy tu, na górze? Tam, w dole — Janek zakreślił ramieniem ogromny półokrąg — ludzie żyją dziś w oparach sennych majaków, tyle że te majaki same są wytworem czyjejś sztucznej koncepcji tylko.

— Zgoda. Przyznaję panu rację. Nie ma nic bardziej złudnego niż pozór rzeczywistości, fikcyjnych rozwiązań. Stańmy zatem na statecznym gruncie natury i rozejrzyjmy się wokół. — Tym razem to dystyngowany pan gestykulował dłonią, ale w przeciwnym kierunku. — Czy wie pan — mówił — że gdybyśmy wspięli się na grzbiet tego oto wzniesienia nad nami i zesłi po jego zboczu jakieś trzysta metrów, natrafilibyśmy na bardzo świeży jeszcze, bardzo nowy, współczesny, ponury symbol: na źródło rzeki, która od roku zaledwie oddziela od siebie dwa światy? Może od tego właśnie powinniśmy zacząć? Od umiejscowienia prazródła naszych dzisiejszych problemów, a ściślej,

dłaczego jako naród, jako państwo podziemne, dziś już praktycznie tylko jego marne szczątki, jako świątli jego obywatele, dlaczego tak słabo jesteśmy przygotowani do obrony?

— Ma pan rację. — Wiedział już dlaczego trafił tak wysoko. — Jesteśmy w całkiem wyjątkowym położeniu, ale paradoksalnie, zasada która to nasze położenie spowodowała nie jest bynajmniej czymś nowym, niespotykanym w dziejach. Już Petroniusz, tysiące lat przed nami, zauważył: *mundus vult decipi ergo decipiatur, świat chce być oszukiwany, zatem niech będzie*. Mówi pan, rzeka oddzielająca dwa światy. Ja zaś, przyznam, nie jestem wcale, jeśli mogę pozwolić sobie na szczerość — dystyngowany pan wykonał przyzwalający gest dłonią — nie jestem całkiem pewien, czy te dwa światy tak są od siebie odległe? Czy w ich bliskości nie leży największy z naszych problemów, trafnej oceny sytuacji. Być może jest tak, że zanadto wciąż ufamy utartym pojęciom: o kulturze, cywilizacji, o wyższości tamtego świata, demokracji.

— Demokracji także?

— Janek rzucił szybkie spojrzenie na swojego rozmówcę. — Badamy praźródło, to pana propozycja, a skoro już badamy, nie wolno nam się zatrzymać na powierzchni. Nie co innego, a demokracja, w całej swojej fałszywej naturze stanowi załóżek gangreny; podstępnej choroby pożerającej nas stopniowo, kęs po kęsie, od środka, metodycznie. — Po raz pierwszy od śmierci Profesora mówił z kimś równie otwarcie.

— Przyznam, zaskoczył mnie pan odrobinę. Nie, proszę nie myśleć, że bezwzględnie neguję, co pan przed momentem powiedział — zawahał się jakby, zająknął — to jest bezsprzecznie interesujące, godne głębokiej refleksji; tyle, że nigdy chyba do tej pory, nie myślałem w ten sposób. To znaczy — przez moment szukał w myślach odpowiednich znaczeń — nie jest to dla mnie myśl całkiem nowa; ale taka, którą zwykłem, bodaj zawsze, odrzucać w zarodku. Bo widzi pan, panie Janku, zacząłem działać politycznie na długo zanim pan przyszedł na świat. Zanim wy-

buchła wielka wojna, a świat oszalała, świat *fin de siècle*, postanowił obrócić się w perzynę. Otóż widzi pan, myślę, że koniecznie musi pan to zrozumieć: tamten świat, my wszyscy, wszyscy, którzy braliśmy w tym udział, żegnaliśmy go, świat dawnych pojęć, zwyczajów, bez smutku. To był świat stary, zużyty. Zanim przyszedł bolszewizm, przed ostatecznym zapadnięciem jego mroku, dane nam było przeżyć rzeczy wzniosłe, podnoszące na duchu. Rewolucja, wielka i bezkrwawa rewolucja lutowa niosła dla nas falę entuzjazmu, zapowiedzi lepszego jutra. — Zatrzymał się, gestem poprosił o to samo Janka. Oparł przegub dłoni o jego ramię, ciężko oddychając. — Nie przychodziło nam do głowy — ciągnął — że niszczymy w ten sposób coś wyjątkowo cennego, nie tylko arystokratyczny blichtr, ale także najwyższą, bezpretensjonalną kulturę. Nie myśleliśmy. A teraz przychodzi pan, panie Janku, proszę z góry o wybaczenie, gołowąs, i mówię do starca: nie mieliście racji, nie mieliście jej przez całe życie; zniszczyliście wartość, która chroniła świat przed upadkiem. To trudne.

— Nie mam zamiaru przypisywać nikomu winy — mówił Janek — bo kto może być winny? Kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby budować swoją władzę nie na orężu, przymusie, religii, ale na ludzkiej głupocie? Kto to był, kto powiedział: wszyscy jesteśmy równi! I z tej rzekomej „równości” uczynił bałwana ludzkości? Tego dziś nie dojdziemy. To nie jest ważne. Istotniejsze, że myśl, ta chora myśl przetrwała, zahibernowana, wieki, długie stulecia. Przyszło Oświecenie, oświecenie koniecznie przez duże „O”, całkiem jakby wcześniej ludzie byli ciemni, pozbawieni intelektu, jakby historia miała rozpocząć się od nowa. — Nerwowo łąpał się kosodrzewiny porastającej stromiznę. — Może to się wydać paradoksem, ale ja tego wszystkiego, co się wówczas działo, co mówiono, pisano, nie neguję. Ostatecznie, nie można było takiej intuicji nie sprawdzić. Równość w wymiarze praktycznym, równość polityczna przede wszystkim, a więc założenie, że wszyscy mają mniej więcej taki sam rozum do

podejmowania decyzji, że u każdego z nas funkcjonuje podobnie, że jeśli pozostawić na uboczu wyzwania istotnie zawile, do ogarnięcia których trzeba jakichś już całkiem niezwykłych zdolności... — urwał na moment. Poprzez zerwaną w tym miejscu niemal całkiem ścieżynę zrobić należało wyjątkowo długi krok. — Jasne jest dla mnie, oczywiście, że skoro już taka myśl pojawiła się, należało ją zweryfikować.

— Dlaczego, jak pan myśli? — Janek stawiał niby pytanie, nie oczekując odpowiedzi. — Dlaczego już w czwartym roku rewolucji, tej wielkiej, francuskiej, zaczęto się tak nawzajem wyżynać, mordować, zdradzać? Ponieważ już dawno, dawno... stracono wiarę, wiarę w nowego bożka demokracji, w ludzką równość. Więc na historycznym placu gry zostały dwa tylko elementy: niewiara w cokolwiek (poza własną głupotą!) i głębokie przekonanie, że jedyny sposób na rządzenie to totalna manipulacja. Manipulacja tłumem i nieustająca potrzeba wywyższania go, tego tłumy. Minęło kolejne sto pięćdziesiąt lat; dość czasu, żeby z tej sytuacji wyciągnąć „ustrojowe” wnioski, żeby zejść z fałszywej ścieżki, która zamiast hodować obywatela, wartościowego uczestnika życia, wypasa barany na szarej łące głupoty. Sto pięćdziesiąt lat i co?

Dystyngowany pan słuchał z dyskretnym uśmiechem prze-mykającym przez kąciki oczu. Zagalopowany w pozie wszech-wiedzącego nauczyciela, Janek brnął dalej w natłoku myśli, nie dostrzegając jak bardzo narusza proporcje rozmowy. — Ludzie inteligentni, życiowo obcy, bez wyjątku wpatrzeni są wszyscy w „zachodnią demokrację”, najwykwintniejszy wytwór ludzkiego umysłu, cywilizacji. Nonsens!

— Szanowny Panie, przyznam, że to jest nawet bardzo interesujące, ale — dystyngowany pan zawiesił głos na moment — także jednostronne. Jak wyglądałby dzisiejszy świat, gdyby nie zdobycze francuskiej rewolucji, przyznając krwawej, przyznając nazbyt radykalnej, zbrodniczej; przepojonej duchem zbytniego optymizmu, ale jednak oznaczającej postęp. — Zza

kolejnego zakrętu wyłoniły się pionowe skały, monumentalne, śnieg iskrzył się tu i ówdzie, powiało zdecydowanie, chłodem samym, wiatru nie było, słońce przypiekało jak wcześniej.

— Gdzie byśmy tkwili dzisiaj, jak się panu zdaje? Czy nie w głębokim feudalizmie? Przeszkadza panu, że banda demagogów ogłupia ludzi. Przyzna pan jednak, że ogłupia przynajmniej ludzi wolnych. No, nie mówimy przecież o tu i teraz, całej tej bolszewickiej rzeczywistości. Mówimy o świecie normalnym, jaki znamy sprzed wojny. Wielka manipulacja, powiada pan! A ja odpowiem na to całkiem szczerze: przesada, mocno przekoloryzowana przesada. Przez całe swoje życie miałem się za demokratę i do dziś nie widzę w tym nic złego. Nie twierdzę, że to najlepszy ustrój, oczywiście, ale jakoś jednak dawaliśmy sobie radę przez dwadzieścia lat niepodległości.

Janek spojrzał na rozmówcę zdziwiony, ale powstrzymał głos przed wypowiedzeniem przemykających przez głowę słów. Przsiedli na ogrzanych słońcem kamieniach i rozglądali się dookoła. Czuli, że dobrze będzie ostudzić znarowione nerwy.

— Nie chcę wdawać się w dyskusję na temat tego dwudziestolecia. — Po kilku dopiero minutach, z pewnym ociąganiem, Janek wracał do przerwano go wątku. — Są tematy bardziej aktualne i o nich przede wszystkim powinniśmy rozmawiać, np. o Jałcie, w której, zdaje się, to demokracja właśnie sprzedała nas bolszewikom. — Wykonał gest jakby powstrzymujący interlokutora przed ripostą. — Pozostawmy demokrację na boku, przynajmniej jeśli idzie o jej teorię, szczytne jakoby ideały. Tego rodzaju, wybaczy mi pan, niedorzeczności nie muszą nas teraz zaprzętać, chodzi o stronę praktyczną. Bo praktyka właśnie, szczególnie praktyka demokracji zepchniętej w objęcia bolszewizmu, jest, tak mi się zdaje, najważniejszym problemem współczesnego świata. Jałta to mocny argument, przyzna pan. Bardziej jednak niż Jałta, która jest w gruncie rzeczy ledwie miliardowym w historii przykładem całkowitego

bezwstydu w polityce, bardziej niż to kupczenie krwią, życiem i terytorium innych, przemawia do mnie sposób w jaki demokracje postrzegają bolszewizm; bolszewizm bez woalki propagandy; bolszewizm, owszem, dopuszczający się zbrodni, bolszewizm mordy, gwałtu, zniewolenia, realny bolszewizm, jakim jest; nieuszmkowany, przynajmniej zbyt. Otóż, taki dokładnie bolszewizm jest dla demokracji jak najbardziej strawny. Oni nie widzą po prostu nic szczególnie złego w tym ustroju. Może dlatego, że całe swoje zawodowe życie poświęcają na ogłupianie innych ludzi? Bo sami demokratyczny swój motłoch, który im potrzebny jest przy wyborach, mają za nic? Bo może dobrze jest mieć pod bokiem szalbierstwo większe od własnego? Istotne jest jak to się przekłada na naszą sytuację, jak to wpływa na naszą mentalność. Weźmy tę awanturę z Mikołajczykiem.

— Nie ze wszystkim się zgadzam. — W głosie dystyngowanego pana wyczuwalne było napięcie. — Pana, przyznam chętnie, konsekwentne wywody, zdają mi się być zbyt jednostronne. Może, bo ja wiem, brakuje im nieco dojrzałości, dojrzałości w zetknięciu z realiami życia, ale — nie było w tym co mówić cienia niedawnej ironii — jeśli o Mikołajczyka idzie i całe to „w górę serca” towarzystwo, ma pan, oczywiście, rację. Miałem nieprzyjemność dyskutować na ten temat z pewną bardzo ważną osobistością w Warszawie, którego Mikołajczyk po prostu... zafascynował! Zafascynował — rozumie pan?! Człowiek, który w zamian za tekę premiera jest w stanie oddać pół własnego kraju, który powinien już dawno gnić w piachu za zdradę ojczyzny zdaje się być, komuś tam, fascynujący.

— Wszystko takie obrzydliwe. — Po chwili mówił dalej. — Zachód kupujący własny spokój naszą krwią, cała ta żalosna, bzdurna afera z Mikołajczykiem. Nie chodzi nawet o tego... — szukał przez moment stosownego słowa, zrezygnował — ale o całe to zamieszanie, jakie swoim bezmyślnym zachowaniem wywołuje. Nie mogę tego znieść, ja, stary przecież człowiek,

popadam w skandaliczne nastroje, ale gdy widzę tych panów patriotów, intelektualistów, co tylko, proszę o wybaczenie, obronę własnej cielesności mają na względzie... I gdybyż choć nie udawali, że im na zbawieniu Polski jakże bardzo zależy. Nie, w żadnym razie, to nie z tchórzostwa przecież! Oni przejrzeni, pojęli, dorośli do nowych wizji; więc emanują poglądami, radami, a jakże; a wszystko w imię „najzdrowszego rozumu” i czarownej, odkrywczej intelektualnej myśli.

Janek słuchał potoku słów. Było całkiem oczywiste, że tu, w tych monumentalnych skalnych kotłach, w blasku majowego słońca roziskrzającego rozległe plamy śniegu na zielonej trawie, że słyszy relację z absolutnej góry; że dystyngowany pan nie relacjonuje poglądów zasłyszanych przy kawiarnianym stoliku, ale mówi o tym, co wysłuchać musiał z ust najważniejszych w tym kraju postaci, kierowników podziemnej walki. Dystyngowany pan mówił długo, emocjonalnie.

— A jednak — spowolnił wartki strumień słów — jestem optymistą, a przynajmniej staram się nim być. — Wytrzymał zdumione spojrzenie młodych oczu. — Jest jeszcze naród; dzielny naród, który tak wytrwale walczył przez sześć lat z okupantem... nie zawiedzie w godzinie większej próby, nie zboczy z obranej drogi, swoją postawą po raz kolejny da... — Urwał. Nie miało sensu brnąć dalej, wiedział przecież dobrze.

— Nie sądzi pan, że na sprawy powinno się patrzeć realnie? — Janek odpowiadał z dziwnym, zimnym spokojem. — Czy rzeczywiście uważa pan, że wolno nam dzisiaj ewokować, z góry proszę o wybaczenie — wykonał przeproszający gest — równie naiwne wizje? Naród pozbawiony wzorca, zdany na propagandę wroga, nie tylko zmieni nurt, ale zacznie płynąć pod prąd naszych intencji. Liczenie, że naród, że młodzież chodząca do bolszewickiej szkoły, zmuszona do klepania komunistycznych pacierzy, deklamowania przekonań zgodnych z nowym czerwonym katechizmem, że oni wszyscy, pozbawieni kierownic-

twa, wzorów, poradzą sobie z nową sytuacją, to jest myślenie nieuprawnione.

— A co myślą inni, Major na przykład?

— Pan Major? — Zdumiewająca była ta nagła zmiana tematu. — Pan Major — zatrzymał zirytowane słowa, ważył w myślach ich dobór — roi właśnie plany gospodarcze. Chce, zdaje się zostać chłopem, czy właścicielem ziemskim, bez znaczenia te szczegóły.

— Jak to? Co pan powiada?!

— Zwyczajnie. Wszyscy się widać naczytali w dzieciństwie — Janek rzucił wyzywające spojrzenie — o błędnych rycerzach Cervantesa. A proza życia wyłazi spod każdej czapki, nawet jeśli to jest wspaniała rogatywka z orzełkiem w koronie. O czym myślą dziś obrońcy ojczyzny? O jednym tylko, w każdym razie o jednym głównie: jak złożyć broń, jak zakończyć walkę... Tu nie chodzi, o to, żeby cokolwiek wygrać, no, poza losem żołnierzy; nie chodzi o walkę z komunizmem, z którym wygrać się przecież nie da.

Ich uszu dobiegł narastający gwar wielu głosów. Najwyraźniej zbliżała się jakaś grupa. Nie było w tym nic wyjątkowego. Nowa władza bardzo dbała o rozwój oświaty, wychodząc z założenia, że w ten sposób najłatwiej przekona do siebie społeczeństwo. W ten akurat majowy piątek, z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, zorganizowano gimnazjalną wycieczkę krajoznawczą pod patronatem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego „Śladami Piastów”. Grupa nadchodziła od strony Wielkiego Szyszaka. Jej uczestnicy przystanęli na skraju, ciekawie przyglądając się siedzącym na kamieniach mężczyznom.

— No, młodzieży — zagał wyłysiały niemal geograf w średnim wieku, Obuchowski — rzućcie swym młodzieńczym okiem na ten widok. — Zakreślił ręką szeroki łuk w kierunku Szklarskiej. — Czujecie tę przestrzeń przed wami, to niezwykle uczucie przepelniające wam piersi? I pomyślcie sobie teraz — omiótl wzrokiem przeciętnie zainteresowaną grupę — że to wszystko należy do was, do was drogi młody narodzie. Po setkach lat niewoli przepiękna ziemia ta do macierzy wróciła, a dzięki czemu? — Wygestykulował dłonią niemierzalne w swoim ogromie pytanie. — No, Kowalkowski — zwrócił się do niskiego okularnika w pierwszym rzędzie — powiedz nam, panie Kowalkowski, z jakiego powodu możemy dziś stąpać po tej jakże przepięknej, piastowskiej ziemi?

— Formalnie rzecz biorąc, granice naszej odrodzonej ojczyzny... — perorował w rytmie wesołej katarynki świetnie wyszlifowane kwestie, profesorska duma, widać, i nadzieja — ...w szerszym zaś wymiarze, a więc w zgodzie z marksowskim historycznym determinizmem, z oczekiwaniem ludu polskiego...

Obaj panowie z uwagą obserwowali scenę rozgrywającą się w tym niezwykłym miejscu. Wątpliwości, o których rozmawiali ledwie przed momentem, przyszły teraz do nich wprost, ucieleśnione.

— ...cuda natury, które dzisiaj mieliśmy tu, w gronie koleżanek i kolegów, okazję... — towarzystwo za jego plecami z trudem tylko wytrzymało to swoiste, w górach, przedstawienie. Dziewczyna stojąca w jednym z bardziej odległych od Obuchowskiego rzędów, zwana Kitką, o długich szaro-płowych, spadających daleko na plecy włosach, ze śmiesznie zadartym małym noskiem, rozdzielającym parę ruchliwych, ciekawskich oczek, odwróciła się w kierunku stojącej trochę z boku koleżanki z miną zabawną, naprężając brwi w kierunku ciemienia, całkiem jak gdyby emitowane z ust Kowalkowskiego hasła, klepane do znudzenia dzień po dniu już od roku, jakby to wszystko były rewelacje nie z tej ziemi po prostu.

„Tylko wygłupy...” Przemknęło przez Jankowe szare komórki.

„A jednak młodzież potrafi się dystansować...” Dystyngowany pan przyglądał się tej scenie z uznaniem.

— ... dzięki bratniej pomocy związku radzieckiego, bohaterskiej armii czerwonej, genialnemu ojcu całej postępowej...

„I co ta głupia Kicia znów wyprawia?” Adresatka min beztrojskich nie miała ochoty na żarty. Przez tafłę szkieł wypełniających o wiele za duże oprawki przenikały oczy mądre, zirytowane. „Niech to powie ciotce... głupi lizus! Niech jej powie, komu ma być wdzięczna za to, że ją zgwałciło stado czerwonych zwierząt! Niech sobie przypomni, gdzie sam mieszkał w zeszłym roku.”

— Bardzo dobrze Kowalkowski, bardzo dobrze. Gdybyż tak wszyscy wychowankowie naszego gimnazjum, wszyscy obywatele naszej odrodzonej ojczyzny rozumieli, jak ty ją pojmujesz, wagę współczesnych, epokowych zdarzeń, a także to — rozejrzał się z uwagą po twarzach zgromadzonej młodzieży — że jesteśmy otoczeni — wyszło trochę niezgrabnie — przez wiernych przyjaciół naszej ojczyzny. No, riebiata — znowu nie najtaktowniej — macie piętnaście minut wolnego. Możecie sami zorganizować sobie czas. Tylko, proszę was bardzo, nie róbcie głupstw. To, że jesteśmy w górach, nie oznacza wcale, że musicie zaraz wspinać się na każdą skałę. — Z kieszeni spodni wyciągnął chustkę i przetarł upocony kark, nie wiedzieć po co, biorąc pod uwagę, że od dłuższej już chwili, pot zalewał mu plecy wartkimi strumieniami. Młodzież, nie czekając na finał przemowy, rozpierzchła się po dnie kotłów.

— Panienki chodzą do gimnazjum? — Mało zgrabnym zagajeniem Janek postanowił wszcząć rozmowę z przechodzącymi o dwa kroki dziewczynami. — Zważywszy, że od jakiejś chwili Kitka nie spuszczała z niego ciekawskiego oka, nie jest całkiem pewne czy inicjatywa należała istotnie do niego.

— A może i chodzą... — Ta druga, w dużych okularach, nie zamierzała najwyraźniej podjąć rozmowy. — Chodź, no chodźże Halinka... Nie wolno rozmawiać z nieznanymi.

— Bzdury gadasz... — Kitka próbowała protestować.

— Ja, bzdury?

— Jeśli nie wolno rozmawiać z nieznanymi, to by znaczyło, że nigdy nie poznasz nikogo spoza własnego kręgu, a nawet ty, Bernadetto — dlaczegoś przyszło jej do głowy zmyślić imię koleżanki — chciałabyś pewnie kiedyś, może — przeciągała wesoło słowa — kogoś... — spojrzała na Janka zalotnie — poznać.

— Poza tym — Kitka szeptała teraz cichutko prosto w ucho koleżanki, osłaniając usta dłonią — znam go, tego młodszego. To przyjaciel Sławka, wiesz, mojego starszego kuzyna... — urwała w pośpiechu, zawstydzona nietaktem.

— Jaki ja tam nieznanymi, panno Bernadetto? — Żartował Janek. — Taki już gór obyczaj — na szlaku Olbrzymów wszyscy są trochę z jednej rodziny.

— Czyżby? Wszyscy? — Kitka zrobiła nieznaczny ruch brodą w stronę, gdzie stał właśnie Kowalkowski z pocącym się okrutnie Obuchowskim, obaj bardzo zaaferowani jakimś tematem.

— Ano właśnie. Słyszeliśmy, jak tu siedzimy z panem Rubezahlskim, że wdrapujecie się na tę tu górę, to znaczy, w ten kocioł... na coś w rodzaju — uśmiechnął się dziwacznie — patriotycznej akademii?

— Patriotycznej? — Kitka ściągnęła brwi, marszcząc fałdy czoła w nagłym zaskoczeniu. — Czy pan próbuje nas obrazić?!

— Kitka! — Bernadetta szarpnęła ją mocno za rękaw zielonkawe kurtki.

— Kitka! — Krzyknęła trochę za głośno. — Zwariowałaś...

— Ależ panno Bernadetto! — Janek wykrzyknął teatralnie. — Przyszły czasy, gdy szczerść osiąga najwyższą cenę. Dziś nie

stać nas na konwenanse, na tajenie uczuć. Pani Halinka raczyła dać wyraz swojemu świętemu oburzeniu i chwała jej za to. — Wciąż siedząc na kamieniu wykonał głęboki ukłon. Kitka spaśowała. Podniósł głowę, dostrzegł to zmieszanie, udał, że nie widzi. — Zawdzięczając jej odwadze, w jednej chwili pojęliśmy z kim mamy do czynienia, przynajmniej...

— Pozwólcie odrobinę bliżej, moje panny. — Pan „Rubezahlski” wtrącił się do rozmowy tonem mentorskim, przerywając zbyt na jego gust bezpośredni sposób konwersacji. — Chciałbym zamienić z wami słowo. — Podeszły.

— Jeśli dobrze rozumiałem — przyglądał im się z uwagą swoimi jasnymi oczami — jesteście panienki gimnazjalistkami, czy tak? I przyszlście tu wszyscy czcić 3-majową rocznicę? — Potakiwały. — I uczą was w szkole dzień po dniu, że żyjemy w Polsce, w wolnej ojczyźnie, i że komuniści nie są wcale źli? — Mówił głosem dociekliwym. — I wszędzie pewnie o tym słyszycie? — Przytakiwały z narastającą niechęcią, z ociąganiem. — I wy to nie wierzycie, całkiem? A wasi koledzy, koleżanki? — Niezręczne to było, nachalne.

— Nie wiemy dlaczego pan nas wypytuje! — Bernadetta odważyła się przerwać serię pytań. — Wyczuwam, że to ma znaczenie, może duże znaczenie — próbowała wczytać się rezolutnie w regularne rysy twarzy starszego pana — więc odpowiem, postaram się odpowiedzieć najlepiej jak umiem. Jestem dostatecznie dorosła — wyprostowała się odruchowo — żeby wiedzieć coś, co wam pewnie wydaje się oczywiste. To mianowicie, że wszyscy tu, to znaczy cała nasza grupa szkolna, gimnazjalna, jak tu przyszlśmy, wdrapaliśmy się — poprawiła nieprecyzyjne słowo — na tę górę, to znaczy, do tego kotła śnieżnego — zawadziła czubkiem trzewika o bielejącą na tle zieleni skryształizowaną połąć — wszyscy jesteśmy dziećmi jeszcze. Jesteśmy dziećmi — spojrzała ze skupionym wyrzutem w twarz starszego pana — dziećmi! — Powtórzyła z emfazą, wyzywająco. — A dorośli — mówiła szybko — chętnie, tak nam się czasem wydaje,

że chętnie, chcieliby zapomnieć: że mamy po lat naście, że nie dorośliśmy jeszcze do pełnego zrozumienia tego wszystkiego — zrobiła ręką szeroki gest — co się wokół dzieje, a może raczej... nie dzieje?! — Wpatrywała się w twarz Olgierda, jakby rozmawiali tylko w cztery oczy. — Bo czy dzieje się cokolwiek? Gdzie jesteście? — Pytała tonem rozgorączkowanym. — Czy wszyscy mądrzy, szlachetni, siedzicie tu cały czas? Siedzicie i dumacie, i macie pretensje? Do dzieci? — Nie panowała nad głosem. — Że nie są dość odpowiedzialne? Że ulegają temu...

— Kitka, Janka! — Usłyszeli głos Obuchowskiego, który wydarł się niemiłosiernie. Cała grupa czekała grzecznie ustawiona w szeregu. Do kompletu brakowało mu ledwie dwóch panna, które, jak zwykle, musiały się gdzieś zawieruszyć.

— Nerwy brały Obuchowskiego, czasem zupełnie bez powodu. Nerwy i irytacja. Bo i co sobie myślicie? Że Obuchowski człowiekiem nie jest, jak inni? „Boże (bo wierzył przecież w Niego Obuchowski), Boże — tak sobie myślał w tamtej chwili — jak ja tego wszystkiego nie cierpię, ja...”

— No, panny! Długo jeszcze mamy na was czekać? — Nie mieli nawet czasu, żeby się ładnie pożegnać. Po ledwie chwili cała grupa zniknęła za zakrętem ścieżki. W ciszy karkonoskiego popołudnia płynął po niebie ogromny, z zadartymi nieco ku górze ramionami, ptak. Wyrastające spod masywnego tułowia podbarkówki kontrastowały na tle niemal granatowego nieba. Orzeł? Jastrząb? Janek nie miał nigdy dość czasu, żeby zająć się tak dalece odbiegającą od życia dziedziną.

VII

IWONA

Każdemu pewnie zdarza się od czasu do czasu takie przebudzenie. Poczucie, że się wyśniło coś bardzo, bardzo miłego i żal w ciepłej, przytulnej pościeli osadzony, żal, że tamto — sennie — jest stokroć miłsze od przyjemności największych, jakie spotkać nas mogą tu, w życiu. Oczywiście, nikt takich andronów pod kołdrą nie snuje, świadomie; to raczej błyski tylko myśli, ześlizgujące się po krawędzi jaźni. Ledwie się przecież przebudzamy, więc czy pora na myślenie? A fe! A skąd?!

Ach, jakże miłe to rozleniwienie. Sprawy dzieńne jeszcze odległe, żadnego przymusu. Oczy zamknięte, przykryte rzęsami, nie całkiem gotowe na pierwsze figle rozedrganego światła. Jak nam się wydaje, gdzie jesteśmy? Gdzie są drzwi, gdzie okno, biurko, szafa, my? Wiemy — nie wiemy; bez otwierania oczu. Na którym boku leżymy? Czy nie pora przekreścić się na plecy, otworzyć oczy, usiąść na łóżku?

Jeszcze chwilkę, chwilkę, dobrze? Ejże, wracajmy do fabuły!

Iwona leżała na plecach, na wygodnym ciotecznym łóżku w nieco staroświeckim pokoju gościnnym; wszelkie detale umeblowania, które mamy teraz przed oczami, pomijamy, jako znaczenia pozbawione, rozmyślnie. Pozostawiamy podłogę. Choć i ona nie jest jakaś wyjątkowa, ani skrzypiąca, ani kurzem czy świeżą pastą pokryta, całkiem nieinteresująca, gdyby nie...

Otóż to właśnie! Zawsze wplątać się musi jakieś „gdyby”!

Gdyby nie drobny szczegół, ruchliwy, choć zastygły właśnie, wyczekujący w zobojętniałym na losy świata napięciu, przegony i szary, koci mikrus wielce doświadczony, z kocią niewinnością (znamy my już tę niewinność, znamy!) w oczach; wpatrujący się w świeże całkiem, puchate zjawisko na jego przeciwieństwo, osobistym łóżku. Ach, ta kocia ciekawość, zmuszająca grzbiet i ogon, i wszelkie członki do najniepotrzebniejszego nadwężania. Cóż począć z naturą? Nie ma rady. Nie sposób opierać się wrodzonej ciekawości. Elastyczny, zdwojony zamach ogona, minimalny skurcz tylnych, mocnych łapek i skok, i oto cel osiągnięty już, na miętkościach pościeli leżący.

Iwona posłyszała szelest, ślad dźwięku, czyjejś obecności, ledwie, ale z niechybną pewnością. „Gamoń, przyszedł sprawdzić, co za intruz śpi w jego łóżeczku?” Nie chciało jej się otwierać oczu, przemawiać, była taka zmęczona. „Jakie to wszystko dziwne, normalne, nawet zapach jakiś przedwojenny.” Poprzez nos do świadomości przedzierał się uparcie aromat śniadania.

Dziwiła się Iwona normalności, Gamoń tymczasem wytrwale penetrował śnieżne przestrzenie łóżka, nowe zapachy. Poczwała równocześnie trzy bodźce: coś jakby rytmiczny dotyk, poprzez kołdrę, milusich, kocich łapek na wysokości piersi. Po chwili dwa inne: ledwie wyczuwalne muśnięcie wąsów (czy futerka?) w nikłej przestrzeni między nosem i ustami (coż za zuchwłość, istic zwierzęca?) i tchnienie, tchnienie futerkowej

świeżości, niemożliwy do uchwycenia powiew zapachu bez zapachowej treści. Nie dało się dłużej trzymać na oczach tarczy powiek.

Gdy kot zagląda w źrenice z odległości ledwie paru centymetrów nie ma się uczucia niepokoju, raczej podniecenia nowością. Bo choć niemal identycznie zawsze, za każdym kolejnym razem jest trochę inaczej. Kot nie wie co to rutyny. Gdyby nawet znał twarz Iwony od wieków całych, to przecież odkryłby na pewno jakiś nowy, odpowiedni dla kociej medytacji, szczegół.

Szaro-bure pręgi sprężystego, choć nie atletycznego ciała, prezentowały się w perspektywie zasłaniającej horyzont pokoju zaborczo. Rozległy biały krawat zsynchronizowany z bielą skarpet na łapkach nie dawał pola wątpliwościom: najdrobniejsza nawet zmiana ubarwienia byłaby formalną porażką natury. Perfekcja, perfekcja i elegancja, i pewność własnej wartości ześrodkowane były w nikłym kocim organizmie. Wdzierał się w zakamarki Iwoniego ciała ze sprawnością znawcy i odkrywcy. Nie było w tym pasji, ot taka sobie kocia dociekliwość, nie dbająca zupełnie o interes natręta leżącego teraz w jego pościeli.

Po chwili przeważała praktyczna strona życia. Doszedł Gamoń do przekonania, że warto wykorzystać ciepłą przytulność zagłębienia między trójkątem szyi a podbródkiem. Zwinął się w kłębek, położył. Ale ułożenie nie było widać idealne; wstał więc, wyprostował łapki, napiął ponownie łuk grzbietu, przelotnie omiół spojrzeniem twarz intruzki, ułożył się znowu, i tym razem żaden drobiazg nie wywołał kociego dyskomfortu, westchnął.

Było im dobrze, obojgu.

Drzwi do pokoju uchyliły się, wraz z cichym podrapywaniem. W powstałej szczelinie pojawiła się ostrożna głowa cioci.

— Iwonko, kochanie, południe już! — Ciocia sprawiała wrażenie spiętej. — Czekamy na ciebie, to znaczy, przyjechał tata.

— Tata?! — Nie zwróciła uwagi na protesty wstrząśniętego nagłym jej zrywem kociaka.

— Tata? Tu?! — Bosymi stopami szukała kapci po dywanie.
— Nie wiedziałam, że wrócił, nic nie mówiłaś? Wrócił?! — Z trudem utrzymała równowagę, potykając się o stojący przy łóżku taboret.

— Przyjechał dzisiaj rano, z Warszawy. Przypadek. Jakbyście się zmówili, żeby ciotce ciśnienie podskoczyło. Ile to lat was...?

Nie słuchała. Jak stała, w kapciach, w rozwianej koszuli i włosach potarganych wybiegła z pokoju, przez korytarz, do jadalnego.

— Tato! — Zamarły na ustach okrzyk szczęścia poprzedził nagłe oniemienie. Ile ono trwało? Czują, że za chwilę osunie się w nieprzytomność. Nie, teraz nie mogła. Nie mogła zemdleć.

— Tato?! — Kurczowo trzymała się krawędzi przykrytego obrusem stołu; zdumienie zapychało umysł szarą papką skłębionych, poplątanych impulsów.

I cóż takiego ujrzaly oczy lwony?! — Zapyta ostro niejednen z mniej statecznych czytelników.

I na próbę wystawić muszę jego niecierpliwość.

Od czego by tu zacząć? Może tak:

Aż przyszedł dzień, kiedy wylały się chęci poza chcenie. Zachciała chęć stać się czynem. Uderzył głową o mur zapalczywy człowiek — spróbował jego mocy gołą pięścią. To była pierwsza krew.

No dobrze, to by i pasowało nawet do naszej opowieści, do pięknych Młodych Polaków, których byśmy chcieli wyzwolić z więzów *fatalnej fikcji* życia. Czy jednak... nie siejemy w ten sposób rozczarowania tylko?

Nasz, dajmy na to, bohater, ojciec Iwonki, Stefan Jankowski, przeżył — wypada to uczciwie przyznać — swoje życie na bogato. Urodzony jeszcze w dziewiętnastym wieku, w pobliżu Warszawy, w jakimś Sieradzu może, albo i w Łomży, w każdym razie na terenach, które — co może dla współczesnego czytelnika stanowić niejaki zaskoczenie — powszechnie, zatem także przez ludność miejscową, autochtoniczną, polską, uważane były w owym czasie za integralną część rosyjskiego imperium, zaciągnął się był, zaraz po skończeniu gimnazjum, jako ochotnik do armii, oczywiście rosyjskiej. Mozolnie ale i z powodzeniem piął się po szczeblach wojskowej kariery, osiągając rangę sztabkapitana. W roku 18, podobnie jak niemal wszyscy polscy oficerowie służący do tej pory w armii imperialnej rosyjskiej, nie bez niekłamanego entuzjazmu wstąpił do nowo tworzonej, stojącej przed wielkimi dziejowymi zadaniami, Armii Polskiej.

W istocie jednak, w egzystencji młodego jeszcze Stefana zmieniło się niewiele. Przez całe dorosłe swoje życie przyzwyczaił się do służby wojennej, niezależnie od państwowego szyldu, pod którym akurat przyszło mu żyć. W czasie wojny z bolszewikami, jako dowódca batalionu piechoty stacjonował przelotnie w Wilnie, z którego zresztą — w lipcu dwudziestego — musiał czym prędzej uchodzić na czele podległych sobie żołnierzy. W tymże Wilnie nawiązał przelotną jeszcze wówczas znajomość z panną Gabriellą, właściwie — panienką Gabrysią, ledwie osiemnastoletnią, przezorną a poważną, filigranową w ruchach i kształtach młodą damą, której wspomnienie nie mogło mu dla czegoś wywietrzeć z głowy podczas długich jeszcze miesięcy spędzonych na linii wojennego frontu. Może dlatego, że na owym froncie nie działo się już nic, całkiem; może jednak dlatego, że węgielki Gabrysinych oczu potrafiły rozgrzać do stanu wrzenia męski jego krwiobieg? Tego nie dowiemy się nigdy.

W konkury stanął późną wiosną 1921 roku, ślub odbył się na Świętego Szczepana, w drugiej połowie czerwca na świat

przyszło cudo natury, o buraczano-żółtawym odcieniu pomarszczonej skóry — Iwcia, znaczy Iwona. O ile bywał Stefan w życiu zadowolony, a jako człowiek z natury lekki, miał takich okazji sporo, o tyle narodziny córki zawróciły mu w głowie niewyobrażalnie. Nigdy, nigdy nawet w snach najbardziej oderwanych, o jawie nie wspomniawszy, nie wyobrażał sobie, że istnieć może takie szczęście, poza wszelką miarą. Grom, grom prosto z nieba ugodził go radością, gdy wysiadając z dorożki dała mu Gabrysia na moment, do potrzymania, poduchy z niebiańską zawartością. Chwycił zawiniątko lękliwie, choć po ojcowsku pewnie, i poniósł w głąb małżeńskiej sypialni. Położywszy becik z niemowlęciem na rozległej przestrzeni kołdry, wyprostował się i jakby naprężył w sobie z wielkiej radości; nie mógł oderwać oczu od śpiącej spokojnie dziecięcej twarzyczki. Przeżywał najpiękniejszą chwilę życia, nie wiedział jednak o tym. Oszalały rodzicielskim pierwszym doświadczeniem, nie miał sposobności, aby zdobyć się na podobną refleksję. Bo czy człowiek zatopiony w szczęściu ma czas i ochotę na wybieganie gdziekolwiek myślami?

Miłość, miłość nawet bardzo wielka nie jest rękojmą udanego małżeństwa. Z wolna dobiegający czterdziestki, wyłysiały nieco, odrobinę zbyt korpulentny podpułkownik, nie okazał się dostatecznie pociągającym dla młodej jeszcze bardzo Gabrysi partnerem. (Nie układało się im, co tu gadać, w alkowy zaglądać!) Oboje nie dążyli, co prawda, nigdy do zerwania, ale też nie chcieli sztucznego podtrzymywania małżeńskiego żaru. Pani Gabriela wraz z córką, pod pretekstem posiadanej tam kamienicy, mieszkała w Wilnie. Stefan nie postarał się o zmianę armijnego przydziału, który kierował go na drugi kraniec ojczyzny. I tak się potoczyło, aż do kolejnego kataklizmu — przez niewielką stosunkowo chwilę lat siedemnastu. Małżeństwo, nigdy nie poddane próbie kłótni, sprowadzało się właściwie do wymiany listów, wspólnych świąt i wakacyjnych wyjazdów. Tak też

trochę postrzegała tatę dorastająca Iwonka — jako ojca wakacyjnego.

Kolejna wojna zakłóciła nawet i te, rachityczne stosunki. Zajmujący odpowiedzialne stanowisko w wojsku Stefan — teraz już pułkownik — trafił do niemieckiej niewoli. Życie ludzkie to, doprawdy, dziwaczne zjawisko. Stało się bowiem tak, że Stefan jako żołnierz zawodowy, w żadnej z wielkich wojen światowych, w których czasie przeszło jego życie, nie odegrał długotrwałej roli. W 14, ciężko ranny, trafił do obozu jenieckiego, z którego wyszedł po upływie czterech lat. Za drugim razem siedział za kratami całe dwa lata dłużej.

Jako jeniec z doświadczeniem, radził sobie z obozowym życiem trochę może lepiej od innych. Zamknięcie w obrębie kolczastego drutu nie stanowiło dla niego elementu zaskoczenia. Znał to i wiedział, że w gruncie rzeczy, jeśli się potrafi zachować dystans, wegetacja w takim miejscu nie jest nie do zniesienia. Zimno, owszem, bywa; także głodno; niekiedy znieść nie sposób współleżących na obozowych pryzkach kolegów mądrali, filozofów, najbardziej może — ciągłych entuzjastów ucieczek; sił brakuje, żeby ich wszystkich tolerować po prostu; ale na wszystko jest sposób — sposobem Stefana było myślenie nieustanne o ukochanej córce.

Czuł się zmęczony, bardzo, niewymownie. Powoli, a jednak, zbliżał się do końca szóstej swojej dekady. Wszystko co przeżył do tej pory upewniało go w przekonaniu, że nic na tym świecie nie jest stałe i niezmienne; i jeszcze coś — w życiu nie ma nigdy powrotów, do starego. Jedyne co pozostaje, to nie zamykać się na przyszłość, jakakolwiek będzie, jakakolwiek przyjdzie, bo, wiedział jeszcze Stefan dobrze, że to on — beznamiętny los — decyduje o ludzkich sprawach przede wszystkim.

Z każdym kolejnym dniem coraz więcej denerwowały go dyskusje, tromtadrackie deklaracje, wygestykulowane z wigorem fikcyjne czyny, to nieustanne potrząsanie szabelką, choć na dupach dyskutantów spodnie dziurawe wisiały i echo głodu

w kiszkach pobrzmiwało krępująco. Ciągłe to samo. Czy to było w porządku wobec munduru, który się nosiło niejako dla pieniędzy od lat z górą trzydziestu, o tym Juliusz starał się nie myśleć. Czy to była jego wina, że akurat taki zawód życie mu przyniosło? Czy nigdy nie był odważny, czy nie śnił o czynach, bohaterstwie?

Było tak, oczywiście; był przecież i Stefan kiedyś młody. Wiele zmieniło się, gdy jeden pocisk rozszarpał mu wnętrzności. Leżał w błocie galicyjskiego czarnoziemiu, w zgiełku, nie, nie w zgiełku — w rozpaczliwym, wszechobecnym wyciu oszalałych ze strachu setek mężczyzn po obu stronach lokalnego, bez znaczenia, chaosu; leżał, nie czując bólu całkiem, a jedynie, że z mokrego, przy lewym boku, rozdarcia munduru wylewa się życie. „Jakie to wszystko nic niewarte” myślał wtedy. Przez rozjaśnione październikowym słońcem bladawo błękitnawe niebo przepływały obłoczki tajemniczych chmur, z jakiegoś powodu wszystkie w jedną stronę. „Co będzie znaczyło to moje truchło, tu, za chwilę?” Pytał i dziwił się swojemu spokojowi. Tracił przytomność. W takich to okolicznościach — bywa często — zmienia się ludziom światopogląd.

Pewnych życiowych przekonań nie wypada wszakże głosić, co do tego nie miał Stefan wątpliwości. Jako oficer starszy stopniem znał swoje miejsce w obozowym szeregu. Czy mógł po prostu wstać od stołu, zastukać łyżką w metalowy kubek i obwieścić zgromadzonym: „Panowie, nie myślcie więcej o ofierze krwi, bo i komu ona potrzebna, na kimże zrobić miałyby wrażenie? Czy myślicie, że woda z kranu kapać, uprzykrzona, przestanie, zdumiona waszą postawą niezłomną? Wszy pochowane w zakamarkach złachmanionych mundurów, żreć poniekają, zawstydzone, że krew bohaterów wysysają? Obłoki na niebie, zaróżowione, zatrzymają się nad wami w zaskoczeniu swoim?” Tego powiedzieć Stefan nie mógł, ale zastanawiał się, dociekał: „Po iluż tysiącach pałach snują się te same, podobne do moich, myśli?”

Bywało, że komuś nerwy puszczały, i niebezpiecznie zbliżał się do granic niefrasobliwej szczerości; radzono sobie z tym, a przynajmniej starano się zaradzić, przykrywając nieprzyjemny epizod nerwowym rozstrojem. Nikomu nie zależało, nikt nie chciał podobnych dyskusji, choć zdarzały się wyjątki od tej reguły — te ucinano stanowczo nożem dyscypliny. O ucieczkach rozmawiano bez ustanku, ale Stefan nie czuł się tymi rozmowami szczególnie jakoś zagrożony. Jego zdecydowanie poważny wiek, niedomaganie w lewym boku, którego nigdy tak naprawdę się nie pozbył, zwalniały go skutecznie z obowiązku. Poza tym, w naturze Stefana zaszły wówczas dwie poważne zmiany: zobojętnienie na sprawy świata dookoła i skorelowany jakoś przedziwnie z tym pierwszym stanem — absolutny niemal brak strachu.

Brak strachu, nie zaś odwaga, co należy podkreślić wyraźnie, tym więcej, że z jakiegoś przedziwnego powodu obie te preferencje natury bywają mylnie ze sobą utożsamiane. Odwaga to nie tyle brak strachu, co strachu nieustanne przezwyciężanie. Odważny, jak przez całe niemal swoje życie, Stefan i teraz z pewnością nie był, i nie miał o to do siebie najmniejszych pretensji.

Gdy tuż po „zwycięstwie” pojawili się pierwsi berlingowscy kusiele, nie zwlekał. Nie wahał się, bo decyzję podjął znacznie wcześniej. Do obozu docierały informacje; nie były może świeże, ale na ogół ściśle, oczywiście ściśle dla kogoś, kto umie czytać między wierszami wojennej propagandy. Stefan nie był głupi, a lata spędzone w wojsku pozwoliły mu zaobserwować wszelkie możliwe chwytły. Poza tym, jeden rzut oka na mapę Europy, najoględniejszy choćby rachunek sił wojennych mówił wszystko każdemu, kto chciał kojarzyć fakty. Było oczywiste, że sprawy tego świata mogą być rozstrzygnięte w jeden sposób — poprzez przymknięcie oczu na sowieckie bestialstwo.

Dziwiło to nieco nawet, ale tylko do czasu; gdy po raz pierwszy ujrzał Stefan jak Amerykanie witają swoich sowieckich

braci-sojuszników, w lot odkrył istotę zagadki. „Oni nie wiedzą, nie mają pojęcia, kogo obejmują swoją jankeską radością. Czy nie istnieją szczyty skretynienia, powyżej których nie sposób wspiąć się ze swoją głupotą? Czy gdy kanibal przychodzi na obiad, podajesz mu sztucce, dla większej wygody jedzenia, czy raczej trzymasz go na odległość strzału?” Rozumiał oczywiście Stefan bezsens swojego pytania. Bo przecież byli ci jankesi po prostu jak dzieci, dzieci co to, i owszem, mają już co nieco brudu za swoimi pazurkami, a jednak w głębokości małych duszyczek swoich pozostają wciąż nieuświadomieni.

Jakkolwiek frapujące to były obserwacje, jedynie utwierdziły Stefana w wyborze. Inni mogli sobie jeszcze naiwnie wyobrazić, że możliwa jest jakaś nagła zmiana frontów, odwrócenie militarnej i politycznej sytuacji, Stefan wiedział (widział to przecież na własne oczy), że o podobnej wolcie mowy być nie może. „Czy po to tworzy się więź, jakkolwiek bezmyślną, bezwarunkowego braterstwa broni, żeby nazajutrz przekonywać miliony żołnierzy własnych armii, że jest dokładnie odwrotnie?” Klarowność sytuacji była niepodważalna. „Jeśli już ktoś kogoś — myślał — to z całą pewnością nie Amerykanie sowietów.”

A skoro rachunek taki prosty, bezdyskusyjny, trzeba było jedynie zapakować do torby co bardziej wartościowe przedmioty, nie budzić nikogo, nie rozglądać się, nie żegnać, nie obracać za siebie, wyjść ze zbiorowej sali i cicho zamknąć drzwi. „Czy ważne, jak będą komentować moją decyzję?” To, rzecz całkiem zrozumiała, nie mogło mieć dla Stefana istotnego, a w każdym razie decydującego znaczenia.

Teraz liczyło się co innego: co spotka go tam, po bolszewickiej stronie? Czy nie jest to właśnie szczyt głupoty w jego położeniu, z jego wiedzą, doświadczeniem, że idzie oto pan Stefan prosto w bolszewickie łapy, wierząc przy tym, jak smarkacz pierwszy lepszy, w ich fałszywe zapewnienia? „Ależ — tak sobie myślał — po co byłby ten cały ich trud, namowy, przekonywa-

nie, narażanie się na wieczne drwiny, wrogość? Czy nie jest tak, że potrzebują po prostu takich ludzi jak ja? Że chcą rozegrać w ten sposób własną wiarygodność? Zorganizować struktury niby normalnego państwa? Czy ta banda ma jakieś inne wyjście, aniżeli zatrudnianie fachowców?"

Przydział, istotnie, dostał po przyjeździe z łatwością.

— Iwonko, kochana, co tobie? — W pierwszej swojej reakcji nie mógł, nie chciał wiedzieć, jaki może być powód tej nagłej konsternacji. W odruchach Iwony nie było zwykłego w tych okolicznościach wzruszenia. Nie, całkiem nie to, że widzieli się po raz pierwszy po siedmiu długich latach. W jej w na wpół przymkniętych oczach dostrzegał błyski przerażenia, zgrozy przemieszanej ze śmiertelnym zawodem.

— Iwońciu! — Powtórzył. — Co się z tobą dzieje, dziecko? Nie poznajesz swojego ojca? Przecież chyba aż tak bardzo nie zmieniłem się przez te kilka lat? — To ona zmieniła się, bardzo, wydożała.

— Ojca!? — Duką ledwie roztrzęsione słowo.

— Ojca!? — Wzburzenie nie pozwalało jej mówić, ani nawet ustać w jednym miejscu.

— Ojca!? — Powtórzyła po raz trzeci. Jej dłonie, ramiona, głowa, barki, wszystko co było jeszcze Iwoną drżało, trzęsło się, niepowstrzymanie.

— W bolszewickim mundurze?! — Ironia przemogła wzburzenie. — Co to jest, co masz na sobie? Tato?! — To było szyderstwo, rozedrgane w głosie; tak miało zabrzmieć.

Są chwile kiedy odechciewa się wszystkiego, świat wali się na głowę z łomotem. Nie wydaje się ani piękny, ani godny poznania, jest jaki jest, w rzeczywistości, przynajmniej w jej najgorszych momentach. Iwona stała oto przed ścianą największej

zgrozy życia. Nie, na to nie była przygotowana. Przez długie lata wojny wyobrażała sobie jak to będzie, gdy po nią przyjdą, gdy trafi do więzienia, na tortury; gdy pierwszy pocisk wbije się w jej ciało, krew popłynie z ran; jakie będą ostatnie chwile życia? Myślała, czy da sobie radę, czy przemoże strach, zniesie cierpienie, ból? Nie znała odpowiedzi, nie wiedziała, ale nie to było najważniejsze. Nie o to chodziło, nie o ścisłą odpowiedź na pytania, na które nikt, nawet Bóg, nie mógł znać odpowiedzi. To był element świadomego wyboru, rodzaj tarczy, psychicznej ochrony, pewność, że nic jej nie może zaskoczyć. A to?

Do tej chwili nie miał Stefan wątpliwości, prawie. Wszystko co robił, kluczowe decyzje, były w zgodzie z jego osobistą filozofią. Od dawna już nie był typem zdobywcy, ani pyszałkiem, nie pragnął zawojowywać światów. Czego chciał? A czego chcą ludzie na tym świecie? Drobnej przyjemności, braku zmartwień, żeby wszystko jakoś się układało? Miłości odrobiny. Oddania może, sympatii, trochę żeby się innym podobać? Z masowych pragnień ludzkości każdy wybiera coś dla siebie, coś osobistego, szczególnego. Coś co go wyróżnia od innych. Dla Stefana tym czymś była młoda kobieta, stojąca o dwa kroki, z wyrazem zgrozy na twarzy; jego dziecko. Dziecko, które właśnie tracił.

— Widzę Iwonko, że nie spodobał ci się mój strój. — Próbowałem, instynktownie, odnaleźć się w tonie cynicznej wyższości. — Prawdę powiedziawszy — zawiesił głos — myślałem... wyobrażałem sobie inaczej nasze spotkanie. — Grymas na jej twarzy odebrał mu ostatni przebłysk pewności siebie.

— Wiem, wiem — musiał mówić dalej, musiał, choć takie to było trudne — czytam w twoich oczach, czytam sentencję wyroku. Zdrajca, podły zdrajca! Czy nie? I do tego ojciec, czy tak? Nie ma większej ohydy, tragedii większej!? I wiesz, co ci powiem, Iwonko, chociaż już mnie wcale nie kochasz teraz, choć jestem już dzisiaj dla ciebie nie tatusiem, ale obcym zupełnie człowiekiem, szkaradnym potworem, monstrum... powiem ci ja,

choć już nie ja, jako twój były ojciec ci to powiem, że podobasz mi się dziś bardzo.

Zaśmiała się szyderczo, załkała, niepohamowanie, boleśnie, i dla niego, i dla niej samej.

— Nie myśl, że nie rozumiem, że nie wiem. Choć mi pewnie nie uwierzysz teraz... I ja wiem co to ideały. Tak, tak, wiem. Imponderabilia, wiem.

Ostatnie ślady krwi umykały z jej twarzy, drżała, drżała strasznie, łzy kropliły policzki, spływały, omijając usta, po brodzie, płynęły dalej, po eliptycznych, wklęsłych stromiznach szyi.

— Wyobraź sobie Iwonko — mówił normalnie, nie myśląc o przybieraniu jakiegokolwiek tonu — przez ostatnie lata o niczym innym nie słyszałem. I wiesz — czuł, że go nie słucha, że jej myśli wędrują po innych całkiem przestrzeniach, odległych — myślę, że w całej tej paplaninie mało, bardzo mało było szczerości, chęci prawdziwych. I ja to rozumiem. Rozumiem, myślę, że rozumiem także ciebie, to twoje dzisiejsze... zniesmaczenie moim widokiem.

Zachwiała się, upadłaby, gdyby nie ciocia, która w ostatniej chwili chwyciła ją za ramiona i posadziła w krześle o owalnych oparciach. Siedziała bezwładnie, z dłońmi na udach, ze wzrokiem pobiegłym w koronki obrusa; nie zatrzymywał się na żadnym punkcie. Czy słuchała?

— Rozumiem i nawet cieszę się. Cieszę się i jestem dumny. Tak, dumny, dumny z ciebie, mojej córki. W cichości swojego serca chciałem, żebyś była właśnie taka... piękna. Piękna i dobra, i mądra, mądra na swój sposób.

Spojrzała na niego z jakimś anemicznym zaskoczeniem, z tężejącym napięciem. Nie potrafił wytrzymać tego spojrzenia. Przerażała go; była piękna, surowa, idealna. Nigdy w życiu całym nie kochał jej tak bardzo.

— Tak, tak, nie myśl, że ja nic nie rozumiem, albo że jestem z gruntu zły. Wiem co to mądrość, mądrość idealna, ale — bardzo nie chciał brnąć w płyciznę słów — mądrość ma też

swoją stronę praktyczną. Widzisz, Iwonko, ideałami nie można żyć, można tylko umierać, przynajmniej tu i dziś. A czy z tego umierania może być jakiś pożytek? Umierania dla Ojczyzny? Dla Prawdy?

Jej oczy znowu popłynęły w dół, wzdłuż jego twarzy, szyi, poprzez metalowe guziki munduru, zatrzymały się na krawędzi stołu.

— No pomyśl, czy samo umieranie może mieć jakikolwiek sens? Kochasz ojczyznę? Dobrze! Jestem za. I ja ją przecież kocham, choć ty teraz tak bardzo w to wątpisz. Kocham, kocham bardziej może niż ci wszyscy oflagowi bohaterowie, albo ci, pochowani po lasach panowie żołnierze. Czy myślisz, że łatwo jest wdziać coś takiego? — Wykonał ręką gest prezentujący swój strój. — Naprawdę?! — Zapalił się. — Jak ci się zdaje, co czułem, zdejmując mundur oficera, żeby założyć to? Jak myślisz, po co mi była ta potwarz zadana samemu sobie?

Podniosła głowę, jej zamglone oczy nic prawie nie widziały.

— Tak, dokładnie tak. Wybrałem! — Ekscytował się coraz bardziej. — Dobrowolnie wybrałem! Nie musiałem przecież tego robić. Wierz mi. Mógłbym teraz żyć sobie najwygodniej gdzieś, we Włoszech dajmy na to, w Rzymie, we Florencji, albo innej Parmie. Siedzieć sobie przy stoliku, popijać chianti, a w wolnych chwilach zwiedzać te ich marmurowe zabytki. Jak ci się zdaje, dlaczego wybrałem inaczej? Czy myślisz, że może zachciało mi się tu karierę robić? Nie podejrzewasz mnie chyba o równie wielką głupotę. Przecież to oczywiste, że nikogo spoza swojej bandy oni nie dopuszczają, i zresztą, trudno im się przecież dziwić.

Czuła, że nie może dłużej. Czuła, wiedziała, co za chwilę usłyszy. Cały świat już wiedział. „Cały świat, ale czy to prawda? Co to jest prawda? „Jezu! Nie! Czy on się uśmiecha? Do mnie? Taka, taka jestem zmęczona, zmęczona; nie chcę, nie chcę!”

Łatwo się mówi — przemiana. Mówi się, nie zerkając pod podszewkę słowa. A przemiana to nie jest zmiana brudnej bielizny na świeżą; ścięcie długich włosów; pomalowanie na nowo ścian pokoju. Przemiana, ta prawdziwa, zmienia wszystko, wywraca do góry nogami. A przy tym wszystkim, pozostawia resztki, okruchy, nikły ślad starego; i czyni to z szachrajską wręcz premedytacją. Bo, pomyślny, cóż by to była za przemiana i któż by ją za taką miał, gdyby nie pozostawiała w sobie odrobiny tego, co było kiedyś?

Leżała w schludnym, jasnym pokoju na metalowym łóżku. Dwa pozostałe były puste. Była jedyną pacjentką na sali. Wcześniej rano, a już świt budził się do życia, ptaki za oknem powodowały dźwiękowy rozgardiasz. Szpital spał jeszcze, nie dochodziły żadne odgłosy, tylko od czasu do czasu stukot pielęgniarskich chodaków. „Jak zaskakująco życie się układa, zmiennie. Leżę sobie wygodnie na łóżku, w czystej pościeli, prawie wesoła, w każdym razie... Z dała od tego wszystkiego, od koszmaru. Prawie mi wesoło.” Myślenie przychodziło z trudem. Poprawiła uwierającą poduszkę, podniosła ją wyżej, postanowiła nieco się podnieść.

„Czy na pewno? Na pewno wszystko dobrze? Skąd tak nagle? Iwonko — zdobyła się na żart — wnijdź w serduszko swoje, wnijdź. Czemuś szczęśliwa taka, moja panno? Czyś wczoraj jeszcze nie płakała, nie rozpaczała żalem sromotnym?” Poruszyła się niespokojnie, podniosła na łóżku i opuściła gołe stopy na zimną taflę posadzki. Chwyciła pochyloną głowę w obie dłonie i zaczęła targać włosami. „Pigułki. Wiem, to pigułki.” Nie potrafiła przytrzymać na dłużej zwartej myśli. „Murti Binga, czy tak? Tak się nazywały? Nigdy nie lubiłam tej okropnej książki; ale on jednak miał rację, rację, rację...” Próbowiła wstać i podejść do otwartego okna. Podnosiła się z trudem, podciągając się ręką za oparcie łóżka, zachwiała się, niemal upadła.

„A więc tajemnica szczęścia tkwi w pigułkach, to one czynią mnie taką. Jaką, jaką?” Rozpaczliwie próbowała dogonić uciekającą gdzieś myśl. „Leżeć, leżeć i odpoczywać.” Nie miała siły w sobie, żeby ułożyć się wygodnie. Leżała na ukos łóżka, z nogami spuszczone. „Iwonka jest jak pijana, jak po narkotykach.” Myśli rozbiegały się we wszystkich kierunkach. „Iwonka czytała Witkacego, czytała po kryjomu. Ta Iwonka, grzeszna, grzeszna... dziewczynka z warkoczami.”

VIII

TU I TAM

Umysł to złożony mechanizm, nieuchwytny, nie poddający się prostej, ani żadnej innej, definicji. Obiekt równie krnąbrny co swawolny; niby swojski, niby przewidywalny, a przecież zawsze gotowy do największych zaskoczeń i psikusów. Czy ktokolwiek z na świat otwartym spojrzeniem, może z ręką na sercu powiedzieć, że nad swoim umysłem pełnią władzy panuje?

Związany rygiem codziennej rutyny, zawsze znajdzie dla siebie odrobinę choć swobody; ścieżkę niepokorności, wijącą się poprzez zwoje myślowej konwencji; przejście do świata innego, nadnaturalnego uniwersum nie zamkniętej w ciasnych ramach życia imaginacji.

Bywa też po prostu szczerzy, aż do rwącego bólu jaźni. I wtedy, i często nawet, staje się nie do zniesienia wprost. I krzyczy, wyje przeraźliwym swoim głosem. Broni się i napada; krwawi, obumiera; i powraca po ciężkiej chorobie do życia, niekiedy.

„Zdumiewające. Zdumiewające są chwilę jak ta. Jakbym przeszedł do innego świata, wymiaru. Brakuje mi problemów? Czy nie powinny zepchnąć wszystkiego innego w ciemną dziurę? Mnie do wariatowa? Chryste! Chryste?!”

Po szyję zanurzony w mętnej, ciepłej jeszcze wodzie, Juliusz leżał w ogromnej żeliwnej wannie. Dogorywające pod lustrem świece uwalniały rozlewiska płynącej obficie stearyny, z monotonna obojętnością skapującej z półki. Poprzez uchylone, w skosie sufitu osadzone okno, dostrzec można było symptomy budzącego się z niewyspaniem pochmurnego dnia.

„I cóż wygadujesz, głupcze?! Przecież w niego nie wierzysz, zapomniałeś? Gdzie, w jakie światy, z brudnymi swoimi kopytami?” To drugi jego głos, głos wewnętrzny.

„Nie! Nie! Nie! I nie! Odpierdol się, kretynie!” Trzeci.

„Słowa panowie, słowa. Nieee przeklinamy. Trzymamy się form starych, zastygłych.” I czwarty już!

„A ten skąd tu nagle, do cholery?! Ilu facetów siedzi teraz w tej wannie, w mojej głowie siedzi?!”

„Zwariować! Zwariować!” Przychodzi moment, kiedy przestajemy głósy liczyć, i poznawać przestajemy.

„Nie, nie i nie! Nie ma mowy. Żadnych mi tu dyskusji, won. Won, powiedziałem.”

„Jesteś pewien? — Głos myślowego szeptu, wysubtelniony. — Całkiem jesteś pewien, że bez nas sobie poradzisz? Naprawdę? A z kimże będziesz rozmawiał?” Ach! jakże irytujący jest ten głos przymilny, słodki.

„Jezu, Jezu Chryste, oszaleję, nie wytrzymam dłużej!” Szarpał kołtuny mokrych, wyliniałych włosów zaciśniętymi garściami. „Nie potrafię uporać się nawet sam ze sobą, a z resztą?” Rozcapierzonymi palcami obejmował głowę, pocierał twarz; rzucał szyją na wszystkie strony; i znowu pocierał czoło, oczodoły, policzki, usta, brodę; napiął mięśnie, przeciągnął się całym

sobą, intensywnie, po koniuszki ostatnie ścięgien. Ulga. Przez chwilę.

„Żyję z diabłami! Diabłami we mnie, a te diabły jak roztocza, marne robale.”

„Ej, ty! Nie zagalopowuj się nadto, człeczce. Wiedz, kto zarządza twoją psychiczną konstrukcją!”

„A ty co? Imperator sumienia? Ty nic nie znaczysz, gadzie, robaku.”

„Otóż to, panowie. Skończmy żarty. Dajcie pomyśleć logicznie, skupić się. Ot, choćby, na tym pająku, co spaceruje po glazurze.”

Tuż nad wanną, w której leżał teraz zanurzony Juliusz, po białych kaflach ściany z mozołem wspinał się mały, całkiem mały, czarny pajęczek, z niewzruszoną powagą przebierając tycimi nóżkami.

„Dziwna, doprawdy, autoterapia, ale co mi tam. Cóż w tym dziwnego? Czy podglądanie natury nie jest właściwym stanem empiryka? Ten pająk może mi powiedzieć więcej o życiu, niż niejedna rozmowa, a już całkiem pomijając, że rozmawiać nie mam z kim. Jestem sam, zawsze byłem... sam; jestem i pewnie będę sam. Sam. Sam. — Bezgłośnie otwierał usta. — Też mi rewelacja. Co to w gruncie jest samotność? Czy istnieją na świecie istoty niesamotne? Czy jest choć jeden taki, co nie ma własnego świata, poczucia odrębności, samooooistnienia? Choćby jeden, który nigdy nie pomyślał: ja? Największy społecznik świata, największy święty oddany bliźnim, tylko im, najwierniejszy wszechludzkiemu ideałom i on przecie musi być altruistą-egoistą, nie ma rady; i on bez siebie samego, wyrwanego z masy, nie może. A Ty Jezu, Ty, w którego nie wierzę!? Wiem, nie jestem godzien usłyszeć Ciebie, do mnie nie przemówisz. A do Ojca swojego? Pamiętasz? Czy pamiętasz, wtedy, wtedy gdy wyszeptywałeś krzykiem: *Eloi, Eloi, lama sabachthani?!* Pamiętasz? Pewnie, że tak! Wszyscy w duchu swoim pamiętamy najślabsze nasze chwile.” Zanurzył głowę w mętnej od mydła wodzie.

„Co to? Czyżbym... czyżbym rozpoczął dyskusję z Nim samym? Z Bogiem? Nie mogłem wybrać łatwiej? No tak, przecież wybrałem. Łatwiej nie mogłem! Łatwiej?! O ja, kur...”

„Obiecałeś!!!”

„Obiecałem! I co?! Nie widzisz jakim jestem gnojem? Dobry jesteś, doprawdy! Więc mi się nie wplątuj między myśli!” — Jasne?! Czy to jest jasne?! — Poprzez tchawicę, krtań, nagłośnię uchodziła rozpacz.

„Ładny ze mnie bolszewik rodzi się, nie ma co. Bolszewik indywidualny, bolszewik-pięknoduch, nie wierzący w Lenina, wierzący za to w Niego? Cóż! Wybrałem. Taki ze mnie geniusz.”

„Leżę sobie ot, tutaj, w tej wannie, leżę i nie pytam, do kogo należała. Czy ktokolwiek mógł przewidzieć, hen, kiedyś, kiedy, dajmy na to... gdy na świat przychodziłem, ja, pomarszczony, ryczący, bezbronny całkiem skurczybyk, czy ktokolwiek mógł pomyśleć: z tego to dopiero lump będzie? Nie, to chyba nie byłoby możliwe.”

„Nie jest możliwe, żeby ten oto, tu, pająk, po kaflach łączący, wpłynął jakoś istotnie na moje życie. A jednak, leżę teraz tutaj i jestem zmuszony! o nim myśleć.”

„Zmuszony? Nie, nikt mnie do niczego nie przymusza. Nikt zupełnie, nikt. A jednak czuję, że muszę, nie mogę nie opowiedzieć tej historii, przeżyć.”

„Ambicja godna tytanów, zaiste. Jaki charakter, jaka wielka dusza? Kto inny już dawno dałby za wygraną, Syzyf nie Syzyf, Prometeusz nie Prometeusz. Ale nie on, pająk. Pająk! Czy to nie brzmi dumnie? Który raz już włązi na tę gładź przebrzydłą? Był już tu. Był, kto wie, może od początku? Może to On, osobiście, sam go tu przeznaczył? Właściwie, w codziennym odruchu, powinienem był zabić go po prostu i nieodwołalnie. Zginąłby cichutko, bez pretensji do mnie i pretensji do wieczności; byłby przestał być jak tryliony trylionów pajączków przed nim, po nim. Zdecydowałem inaczej.”

„A jużci, uzurpatorze! Ty zdecydowałeś! Trzymajcie mnie, ludzie, bo ogarnia mnie szaf. On (czy wewnętrzne piąte już, czy szóste ja może gestykulować? I w jaki sposób?), on zdecydował! Może, może o własnym smrodzie i bukiecie tegoż, być może; o pajęczku, z całą pewnością, nie!”

„Dość już mam tej wołtyżerki na stu osobowościach! Pająk istnieje. Pajęczek pokonywany. Nieugięty. Niewzruszony. Śledzę go z chorą, rozkojarzoną uwagą, każdy detal jego fizjonomii, każde drgnienie nerwów, chwile zadumy, zawahania. Wam wydaje się może, że taki pająk to nic. A ja pochłaniam w nim cud istnienia, trwania, bycia, oddania wyższej sprawie. Jest już wysoko, naprawdę wysoko, może metr od granicy płytek. Upada w niedostrzegalnym mgnieniu, ale nie dla mojego oka, nie dzisiaj; dzisiaj widzę jasno. Rozbiłby się może śmiertelnie, ratuje go nitka; płynie w dół, łagodnie, zwisa, wiruje dookoła siebie, opada, jest bezpieczny. Ile jeszcze razy powtórzy ten rytuał? Teraz trzyma się kurczowo jednego miejsca, jednego stanu. Zastygł. Ile tak może, ile potrzebuje czasu, żeby podjąć po raz nie wiadomo który tę samą decyzję? Iść. Iść pod górę!? Iść śmiało, iść naprzeciw czemu?”

„Nie znam się na fizjologii tych stworzeń, nie wiem jak funkcjonują, może potrzebuje odpoczynku? Kto wie? Może nie tędy droga, poprzez naturę? Kto wiedzieć może cokolwiek? Ja nie mogę pojąć nawet małego pająka, a roszczę Bóg wie jakie pretensje!”

„Żelazna jest jego wola, członki naprężone, cel określony. Trwa, dumny. Już wiem co będzie za moment, nie, nie; jeszcze nie wiem, przewiduję tylko. Nie, wcale, niczego nie mogę przecież przewidywać. Ot, po prostu, czytam w historii jego zmagają. Tak było poprzednim razem i jeszcze wcześniejszym, i przed nim też. Decyzja zapada w innym wymiarze, niemożliwym do odczytania. Ale przecież nie może to być zwykły impuls nerwów, drgnienie elementarnych cząstek, czy co tam w takim istnieniu decyduje o reakcjach. Wiem, wiem wyuczony do-

świadczaniem; wszystko w tej historii to wielka powtórka, ciąg niemal identycznych zdarzeń, wielka wspinaczka — wielkie spadanie; choć, trzeba to sobie jasno powiedzieć, nie jest to wspinanie bez asekuracji, spadanie na łeb, na szyję. Natura za dbała o bezpieczeństwo pająka, przynajmniej tu i teraz, a o ciebie? O twój byt?”

„Ach, ach, jakiś ty nudny, z tym całym swoim wiecznym ja. Ja i ja, ja, ja. Czy naprawdę myślisz, że dla kogokolwiek będziesz równie interesujący jak ten pająk dla ciebie?”

„O niej myślisz, prawda? Po tym wszystkim, po całej tej parzywej zdradzie, wciąż myślisz?” Głos jakże drażniący.

„Sądziś, że o niej? Że jest takim aż... nieszczęśnikiem? Że co, co sobie wyobraża? Liczy na odmianę, przebaczenie? Nie wierzę!”

„A jednak. Posłuchaj tylko jego myśli i możesz dalej sobie nie wierzyć, droga wolna. Nie ty jeden nie liczysz się z faktami. Należysz do sporego całkiem klubu tu.”

— Poszły, gnomy. Won z mojej świadomości? Co wam się zdaje, kim jesteście? Śmiecie! Śmiecie! To przez was jestem tu, gdzie jestem; wasza zasługa, to przez was tak się zeszmaciłem! Więc od tej pory: ani mi nawet jęknąć, jasne! Jękniesz który, uciszę, jak tu leżę w tej wannie; uciszę i was, i siebie, przy okazji; hurtem, hurtem uporam się ze wszystkimi problemami! Cisza! Cisza do... nędzy! — Pod kątem prostym przyłożył do ucha dłoń rozwartą, palcami skierowaną w sufit, kciukiem przyciskając czuły zakamarek, tuż za małżowiną. W łazienkowym teatrze jednego aktora — jednego widza udawał nasłuchiwanie.

„Nie macie ochoty ryzykować?” Ręką sięgnął poza wannę do stojącej na taborecie butelki, przytknął ją do ust i pił, pił łapczywie, bez miary. „A więc i wy myślicie, że blisko już, że pora? Każda szmata kończy w kiblu, czy nie?”

„Ale oto mój dzielny pajączek, cóż porabia?” Przechylił butelkę raz jeszcze. „I cóż ci przyszło, w marnym twoim życiu?”

Obcować z pijakiem, jak ja, pijakiem? Dobrze sobie. Najbardziej zafajdany pijak to wciąż jeszcze Święty Franciszek przy mnie. Jezu, Jezu! Wybacz, że przywołuję Twoje imię, wybacz mi." Szloch ciała wzburzył miniaturową falą taflę wody. „I taki ten mój dramat. Dramat szmaty. I po co? Żeby to babranie się miało choć wymierny sens. Nie ma nic, poza wstydem, poza kosztowną udręką życia."

„Tak, tak uchlej się świnię, zachlej to całe paskudztwo. Pomyśleć, że w takiej jaźni przyszło mi pomieszkiwać! Fuj! Ohyda! Żebyś choć, małego, konsekwentny był, i z sobą skończył, ale nie! Znów ci się coś roi."

Trzymana w ręce butelka trzasnęła o podłogę.

„A tak, tak, roooi się, roi." Czy same myśli tylko mogą być bełkotliwe? „Ja im wszystkim jeszcze pokażę! Poznacie Pana, poznacie tego, który słuszny niucha, wiatr, wiatr historii..." Głowa bezwładnie zadarła z żelivem wanny.

„Wiatr, wiatr historii!"" Drwina nie ustawała w dzikim tańcu po mózgowych zakamarkach. „Pomyśl głupcze, dokąd ten zefir prowadzi? Czy przynajmniej ma moc, jaką deklaruje? Czy niesie wizję jaką, czy tylko szlam? Pomyśl, skoro ów powiew kreuje takie, wybacz, wybacz chichot mój paskudny, takie lichoty jak ty, człecze? Co może znaczyć?"

„Gównno! Wieczne imper... tencje..." Język myśli kołowaciał. „Ja, wedle was, nie wiem po jakim gruncie stąpam? Ja, Kawecki, jestem życiowym imbecylem?" Poczul nagłą ulgę. „Spójrzcie jełopy za okno, wyrzycicie! I co? Co tam jest waszym zdaniem, oprócz smrodu, zgnilizny powszechnej? Powiem wam, powiem, tępe gnoje: tam jest moc, potęga, wizja; prawo zdobywców, gromicieli świata! Cóż myślicie, dlaczego ja tak się szmacę? Żeby szczać tu teraz z wami do tej wanny!? Nie mogliście wybrać sobie kogoś głupszego na ofiarę?"

„A jednak — aksamit kolejnego głosu był iście szatański — a jednak mój ty słodki, Julku Geniutku, jednak twój rachuneczek

jakiś podejrzany, coś pogubiły się były cyfreczki, może pod stoliczkiem, to jest, *pardon*, pod wanienczką? Teraz to i może, nie ma co przeczyć, mają czerwone chamidła potencję, ale co będzie, co będzie na dłuższą metę? Pomyślałeś i o tym, mój ty przemyślny cwaniaczku?"

„Ha ha ha, ha, hahahahahha, ha, ubawiłeś mnie, po pachy się uśmiełem. Ale o czym ta gadka? O czym mowa? Wiem, wiem! Jak takie prymitywy mogą zawojować świat, w drzazgi rozjechać?! Śmierzące to przecie, rozprute, brudne, i jedynie aroganckie nie z tej ziemi, ale czy arogancją zdobywa się światy? Otóż to! Weźmy pierwszego z brzegu knura politycznego jak Churchill, na przykład. Czy nie stawało, bydlakowi, arogancji? Czy nie chciał dzielić, rządzić, panować? I gdzie teraz jest? Znaczy co dzisiaj w każdym razie? Nic, nic kompletnie. I wiecie dlaczego, czego mu brakło? Aaaaaaaa aaaaa, ha, tha, h... has, ha, ha! Tu was mam! Już widzę jak pazurki przygryzacie, jak trawi was ciekawość?" Poczł pustkę, nagle.

„Powiem! Choć przecie mówię tylko do siebie, czy nie?" Spękana farba sufitu nie podtrzymała rozmowy. „Jego jedyną wadą burżuazyjne rozterki, wątpliwości, kultura. Kultura, która mu pozwalała na Bogu ducha winnych cywilów, na dzieci, kobiety, staruszki zrzucić miliony bomb kruszących, rozrywających, mordujących; kultura, która mu z dezynwolturą sprośnego aroganta — przymiotniki goniły po głowie jak oszalałe — podszeptywała sprzedawać cudze ziemie, cudze narody; ta sama kultura hamowała go przed rozwiązaniem dla każdego rasowego bolszewika oczywistym: jeśli chcesz władzy, chcesz być zdobywcą, kreować imperium, nie można ograniczać się do zabijania obcych; także swoi muszą poznać zapach twojej karzącej pięści, nie zaś — zachłystywał się powietrzem — nie mogą się więcej śmiać, nie zaś... wygrywać z tobą w demookratycznych wyborach! Pomyśleć, że chciał się widzieć równym całej tej bolszewickiej zgrai? I teraz co, jak myślicie, porabia pan wielki polityk, Churchill? Siedzi cicho, ze wstydu zaszyty

w skromności swojej? Nic z tych rzeczy. Pan Churchill ma dzisiaj czelność obwieszczać całemu światu obecność na świecie tym sowieców oraz ich agresywnych planów. Nie ma drugiego takiego kłamcy." Poczł jak wódka wstępuje w ciało z całą mocą. „Nie, nie przegrają nigdy! Nie ma rzeczy, której by nie zrobili; świństwa, przed którym by się wzdrygnęli. Jeśli będzie trzeba, zeżrą samych siebie, władzy nie oddadzą.”

„Mój biedny myślicielu.” Odezwał się ten sam, tkliwy głosik z niedostrzegalną (czyli jaką?) nutą ironii. „Mizerne to twoje myślenie, horyzonty wąziutkie. Wybacz, słodziutki, wybacz mi, że muszę się za ciebie wstydzic, ale z takim uplasowaniem w myślowej przestrzeni to ty wyobraźni nie otworzysz. Nie wzniesiesz się na wysokość, na której dopiero widok rozpościera się szeroko, na której ogarnąć możesz wyżyny, zajrzeć w głąb, tak, zajrzeć tam, gdzie wzrok zwyczajny nie sięga...”

„Nuda!”

„Wiem słodziutki, wiem, denerwujesz się. Ale, zrozum proszę, bywam ponad miarę potoczysty. Nie wiem, skąd mi się to bierze; bo, widzisz, ja w gruncie rzeczy milczkiem jestem. Nie lubię gadać, nie mam takiej potrzeby.”

„Krótka historia mojego sześćdziesiątego czwartego ja? Interesujące! Jak cholera!”

„Denerwujesz się biedaczku, ja rozumiem. Przecież sam dobrze wiesz, że w tym szlamie, w tej szumowinie bolszewickiej długo nie wytrzymasz. A nawet, gdyby... gdybyś jakim cudem, fuj, co ja też wygaduję?! Gdybyś nawet jakim siarczanym kaprysem samego belzebuba rozciął nożem wodę, to przecie wiesz, że takie ścierwo bolszewickie nie może się na świecie długo utrzymać. Na krótki dystans, w perspektywie trzydziestu, niech będzie stu lat, dwustu, zgoda. Mogą, owszem, mogą zawojuować świat, zdobyć resztę Europy, Azję, Afrykę, dobrać się do dupy ciemnym, jak tabaka w rogu, Amerykanom, ale cóż to

znaczy, wobec ich podstawowego problemu, tego ich sparszywienia?!”

„A to dopiero przenikliwiec mi się trafił. Delikacik!”

„Czy szyderstwo jakoś szczególnie cię ekscytuje? Wiesz przecież dobrze o czym mówię. Nie da się, nie uda im się zbudować czegokolwiek trwałego. Żaden z nich tego nie dokona. Bo i z czego? Z ludzkich szumowin? Czy długo można egzystować w oparciu o fałszywe ideologie? Prędzej czy później, nie zostanie z tego nawet smród. I co wtedy, chwycić trzeba będzie za kolejną, i po iluś tam latach, dziesięcioleciach po następną, i tak *da capo*? Jednego nie będą mogli zrobić nigdy. Zdobyc się na szczerłość, stanąć na wielkiej scenie dziejów i objawić światu całemu — *Ecce Bolshevico* — oto ja, wasz Zbawiciel. Przyszedłem objawić wam tajemnicę. Od dziś nie będziecie mieli możliwości wyboru; na klucz zamykam wartości; zapomnijcie o prawdzie, miłości, pięknie; słyszeliście śpiew ptaków o brzasku, widzieliście słońce skąpane w morzu? Wydrę wam z pamięci nawet ich wspomnienie. Oto moje Królestwo! Odtąd będziecie je wielbić! Otóż, tego oni nigdy nie będą mogli zrobić.”

„Pięknoduch, diabli cię nadali. Czy wiesz naiwna pało do jakich obrzydliwości zdolny jest człowiek? Czy wiesz co jeden potrafi zrobić drugiemu? Że spałeś na lekcjach historii, nawet mnie nie dziwi; nie jest to w końcu żaden intelektualny rarytas dla wegetatywnej przeciętności, ale coś ty ślepcze robił przez ostatnie lata? Hibernowałeś się i gdzie, w moim mózgu? Prawda, tak, prawda wygląda właśnie inaczej. Nie można ich pokonać, wytruć, zniszczyć; jedyne co można to jakoś te ich kanciaste mordy powyglądać! Rozsierdził się bolszewik, poklepmy go po plecach, uraczymy wodą, założmy na łapę zegarek. Przestanie od tego śmierdzieć? Nie! Ale przynajmniej stąpimy mu nieco kły. Gdy zalewa nas gówno, nie trzeba zaraz tonąć, po bohatersku zachłystywać się ekskrementami, ale utrzymać się na powierzchni jak długo się da, i ratować co się da.”

„I dlatego właśnie — ten myślowy przybłąda był szczególnie niewygodny — i dlatego ją zdradziłeś? Zdradziłeś i zdradzać będziesz dalej?! Teraz dopiero przydałaby się wódka, co, nie? Nie trzeba było trzaskać flachą o podłogę, biedny wykolejeńcu.”

— Przestań, przestań jęczeć! Wiesz dobrze jak było. Wiesz, nie tak miało to wyglądać. — Jeśli chodzi o wódkę w cichości ducha, utajonego głębiej jeszcze, przyznawał mu rację. „Nie taka była umowa. Nie tak miało być. Miałem działać powoli, z taktem, umiarem; dopiero z czasem zacząć przekonywać, że ta cała ich walka, ta dziecinada, to rozplaszczanie się na ofiarnym krzyżu nie ma sensu, celu, przyszłości. Że przede wszystkim — zrobiło mu się nagle potwornie, okrutnie zimno — trzeba żyć, żyć i chronić co się da. Umieranie, ofiara, to tylko gruba warstwa piachu na martwym ciele w dole bezimiennym. Czy nie mam racji? Tylko tym wszawym bolszewikom wydaje się, że wóz albo przewóz, albo jesteś z nami, albo giń. Głupcy! Głupcy, nie rozumieją, że w ten sposób wzmoże się tylko opór!”

Zamroczona dryfującą po krwiobiegu wódką głowa po raz drugi wystawiła na próbę żeliwną substancję wanny. Julek i wszystkie jego cienie zapadli w mrok.

„Tylko być, być. Nie muszę nic robić. Przecież tak powiedział, prawda? — Nie musi pani nic robić, nic co sprawiłoby pani przykrość, było nieprzyjemne. Ja przecież rozumiem, jakie to dla ciebie trudne, jaka trudna ta cała sytuacja. — Tak mówił.”

Siedziała w swoim azylu, malutkiej kuchni na poddaszu, na białawym, pokrytym żółtymi popękaniem, wykoślawionym taborecie; siedziała pod zwisającym ze skosu ściany płatem zmęczonej farby.

„Czy rzeczywiście to takie proste, zerwać z samą sobą, z całym dawnym światem, z tym wszystkim co przez lata trzy-

mało nas przy życiu? Nie, nie, nie chcę, Boże, dlaczego...?"
Plątała się w myślach całkiem nieprzydatnych. Bo i co Bóg miał do tego? „Nie będę w tej kuchni, na tym tu zydłu, siedzieć całą noc. Nie mam siły, jeszcze jedna taka noc, a rozpadnę się na milion...”

Wstała, obiegła oczyma zmęczone kuchenne wnętrze. „Dlaczego ja się tak miotam? Czy cokolwiek zależy od mojej decyzji? Zdrada? A czym jest zdrada w takich czasach?”

— Poza tym — mówiła bardzo, bardzo cicho, prawie nie wydając dźwięku, do siebie — czy ja mam prawo, prawo narażania ich?

Przez uchylony lufcik kuchennego okna dobiegły ją ciche, spokojne kroki. Musiało być już bardzo późno, bliżej świtu niż wieczoru. Kroki niespodziewanie ucichły, tuż, pod jej dokładnie oknem; tak jej się zdawało.

— Boże — wyszeptwała. Skurcz serca, mocne uderzenie, bolesne; rozdygotane nagle nogi z trudem utrzymywały jej wiotkie ciało.

Przemogła się, przekroczyła cienką linię strachu. Podbiegła do ściany przy drzwiach, przekręciła wyłącznik światła. Było szarawo. Uchyliła szerzej lufcik, wyjrzała, ostrożnie. Na chodniku stał on, wpatrzony w okno, to okno w którym przed momentem zgasło światło. Wychyliła głowę, uśmiechnął się do niej smutno, krzywo jakoś układając fałdy skóry na szarawej twarzy. Poczuła nagłą radość i zakłopotanie. W istocie liczyła właśnie na to, na znak z jego strony, inicjatywę, ułatwienie. Gestem poprosił żeby zeszała.

Drzwi do kamienicy skrzyknęły. Wybiegła, zrobiła krok już na chodniku i zatrzymała się. Z włosami w nieładzie, bez makiżu, szminki na ustach, wyglądała... wyglądała... Była piękna. Spojrzał w jej zasmucone oczy, były jak otwarta księga; wiedział, wiedział, że czekała właśnie na niego, odmienionego może.

Sama siebie nie poznawała. Zaglądała mu w oczy nachalnie, bez dawnego skrępowania. Chciała wiedzieć już, zaraz. Życie,

nie tylko ten moment, ale życie w ogóle, i to które miała poza sobą już, i to co... być może, było przed nią jeszcze, zdało jej się w tym momencie taśmą filmową, zgrywaną poza nią, z boku gdzieś; na ścianę przeciwległego budynku padały wysokie cienie. Stała o trzy kroki oddalona i patrzyła, patrzyła jak ktoś odgrywa jej życie za nią. Ono nie było jej, nie czuła się związana.

Dotknął jej opuszczonej wzdłuż sukienki dłoni, poczuła miękkie ciepło, nieśmiałe. Milczenie między nimi trwało, nie było sztuczne, bez wyrazu...

— Wycofaj się. — Usłyszał cichy szept. Czy powinien czuć się zaskoczony? Czy w gruncie rzeczy nie po to przyszedł? Po nakaz prostej, zwykłej przyzwoitości? Zawahał się, wzdrygnął. Liczył na więcej? Na kompromis, układ, cień uległości?

— Wycofaj... — powtórzyła z gasnącym przekonaniem. — Nie warto, nie warto marnować życia, siebie...

Była taka piękna.

— Natałko, słonko... — zaczął niezdarnie, potykając język o kolejne frazy — życie to nie jest bajka, przecież wiesz, rozrywka tania. Nie jesteś już małą, niewinną dziewczynką, pensjonarką, harcerką, panienką z dobrego domu. — Stopniowo, powoli, bardzo powoli jego słowa nabierały werwy. — Nie jesteśmy zawieszani w próżni, w kosmicznej podróży, choć może... bardzo byśmy tego chcieli. — Mówił łagodnie, bardzo spokojnie, w lekko przymkniętej dłoni czuł ciepło jej palców.

— Nie możemy tak po prostu ignorować świata. — Bardzo chciałby mówić coś innego. — Należymy do niego, czy podoba nam się czy nie, jesteśmy jego częścią. A nasz świat, każdy zresztą świat, jest osadzony w swojej własnej przestrzeni i czasie, w swojej osobistej tylko epoce. Tego my, ani ja, ani ty nawet, ani ów z rozbujanym *ego* Janeczek, w którego tak bardzo jesteś zapatrzona... żadne z nas tego nie zmieni. Nie ma mowy, nie ma mocy, woli, siły. — Narasta czasem w człowieku wrażenie, że to

zupełnie nie to, nie to się mówi, co chce się powiedzieć, że to ślepa uliczka tylko, pułapka.

— A wybór? — Cała nadzieja odpływała, daleko. — Przecież każdy z nas ma prawo, ma przywilej wyboru?

— Zgadza się, wybór, prawo wyboru, wolna wola i temu podobne ważne kwestie są, a raczej były, wpisane, przypisane do naszego tu i teraz, zgoda. Tyle że... — tak bardzo chciałby ją przytulić, objąć, poczuć jej ciepło przy sobie — świat, w którym wyrosliśmy, który nas ukształtował, w którym byliśmy szczęśliwi, nieszczęśliwi, mądrzy i głupi, ten nasz świat skończył się, przestał być. Nie ma nic, pustynia, a na tej pustyni... — spróbował się uśmiechnąć, wyszedł grymas — ty i ja, i żadnego wyboru.

— A jednak...

— Wiem, wiem — przerwał jej pośpiesznie — zawsze jakiś jest, czy nie? Otóż...

— Otóż ona... nowa moralność Pana Juliusza? — Kpina w jej oku, w tonie jej słów błysnęła tylko na moment, wystarczyło.

Wzajemna sympatia odpływała z ich ciał powoli, z ociąganiem. Nie po to była ta rozmowa, żeby wszczynać wojnę. Obojgu zależało na porozumieniu, bardzo.

— Więc nie dasz się przekonać? — Nie chciała, nie mogła ustąpić.

— Do czego?

— Wiesz, wiesz dobrze...

— Nie rozumiem... — w jego głosie wyczuć było można wzmagającą się gwałtownie irytację.

— Mówisz, że świat już umarł. A może jest całkiem inaczej? Może umiera właśnie tu, w tej chwili, a my jesteśmy jego ostatnią nadzieją?

— Śmieszne!

- Co takiego?! — Czuła, że dłużej nie zniesie napięcia.
- Śmieszne jest myśleć, że my możemy jeszcze coś znaczyć.
- Dlaczego to twoim zdaniem śmieszne jest akurat?
- Ale kochana... — mimowolnie uwolnił jej dłoń spod swoich palców, zagarniając ramionami spory kawałek przestrzeni wokół — spójrz na mnie tylko, i spójrz też na siebie. Jak ci się zdaje, czy równie szare postacie mogłyby dostąpić podobnego zaszczytu? Ubiegać się o tytuł zbawicieli świata? Kogo ci przypominam? Zbawiciela czy Judasza? — Zrobił przerwę, jakby dając jej szansę na odpowiedź. — Spójrz na siebie? Wybacz grubiaństwo, ale... Dziewicą Orleańską to ty już z pewnością nie będziesz. — Spojrzała na niego smutno.
- Czy, czy... — zająknęła się. — Jesteś podły, wiesz!
- Jestem, wiem, że jestem, ale to nie ja, nie ja tym razem.
- A kto?
- Życie, los, przeklęty układ gwiazd na niebie, czy ja wiem?! — Wykonał ruch jakby chciał pogłodzić ją po włosach. Zatrzymał rękę w pół gestu. — Kiedyś, wiesz, był taki czas, gdy myślałem, że mogę, wszystko mogę. I cóż dziś z tego mam? Nic, kompletnie nic, tylko pogardę. Ale czy wolno rezygnować z życia, tak po prostu? Jesteś piękna, mądra, dobra, wiem, że nie wszystko da się naprawić, że nie tak wyobrażałaś sobie własne istnienie, ale przecież możemy sobie poukładać wszystko razem. Chcesz, zerwę z nimi, zerwę z nimi jak tylko się da... i ciebie będę chronić, i twoją mamę, siostrę.
- Zerwiesz? Jak tylko się da...? Julku, co znaczą te cztery ostatnie słowa?
- Nic, ja tylko... nic nie znaczą.
- Mam ci wierzyć?
- Z trudem wytrzymał jej spojrzenie, opuścił wzrok.
- Wierz, albo i nie! Ja już nie mogę, rozumiesz? Nie mogę.

— Chciałabym ci wierzyć, chcę — podniosła dłonie do twarzy — chcę i będę ci wierzyć, tylko...

— Dobrej nocy Natałko. — Poczuł nagle, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Czy miał o to do niej pretensje? Jeśli już do kogoś, to chyba tylko do siebie. Jeszcze raz spojrzął w jej smutne teraz oczy. — Nie martw się, bądź zdrowa.

— Dobranoc Julku. Dobrze, że przyszedłeś.

To nie była dobra rozmowa. Wiedziała. Próbowwała, a jednak tyle pozostało rzeczy niedopowiedzianych. Miała poczucie czegoś złego, bardzo złego i choć nie starała się świadomie niczego zamaskować, ukryć, w tle jej napiętych nerwów snuło się nieustannie jakieś koszmarne wrażenie.

Wchodziła po schodach powoli, z nieprzyjemnym ciężarem. Jak najciszej otwierała drzwi do mieszkania, lekko tylko skrzypnęły. W półmroku korytarza natrafiła na wzrok mamy.

— Natałko! — Usłyszała jej cichy głos. — Natałko nie rób nic, nie rób niczego, za co musiałabyś wstydzić się kiedyś. Pamiętaj.

— Ale mamoo... — To na pewno nie był dobry moment na słuchanie rodzicielskich porad. — Wszystko wiem i rozumiem, i jestem już dużą dziewczynką, pamiętasz? — Przytuliła jej posiwiałą głowę.

— Kto to był ten chłopiec, na dole? — Spytała po matczynemu. — Dlaczego przychodzi do ciebie przed świtaniem tuż, Romeo może? — Skąd nagle przyszedł jej do głowy żart?

— Kolega... mamoo! — Udawała złość, ale w gruncie rzeczy cieszyła się teraz z obecności kogoś bliskiego. — Kooolega — śmiesznie przeciągnęła. — Nie przyszedł mnie porwać, nie przyszedł pożyczyć zeszytu. Przyszedł, przyszedł... — „Po co on właściwie do mnie przyszedł?” Myślała na drugim planie. — Normalnie, to znaczy poflirtować przyszedł.

— Dziecko drogie, myślisz, że stara matka niczego nie rozumie, nie wie gdzie i kiedy żyje? — Nie ma dobrego momentu na pewnego gatunku rozmowy. — Ale wiem, więcej wiem niż tobie się zdaje. I jedno ci tylko powiem: nigdy nie rób niczego... o czym wiesz z pewnością, rozumiesz... że kiedyś, choćby za dwadzieścia lat, za trzydzieści będziesz tego żałować.

— Słyszałaś?

— Nie rób... — Przygarnęła jej głowę do siebie, mocno.

IX

Nie ma na świecie dwóch spraw identycznych. Każda żyje sobie, swoim bytem indywidualnym, egoistycznym, w zobojętnieniu na wszystkie inne; trwa, nieogarnięta, w poszukiwaniu nieustannym, niezaspokojonym, beznadziejnym; w pyszałkowatym często przekonaniu, że jest tą właśnie, nie jedyną może, ale za to najważniejszą.

I każda wreszcie przyjąć musi prawdę oczywistą — nie ma na świecie spraw bezwzględnie ważnych, obiektywnie, które by wyraźnie forowane być mogły przed szereg innych; nawet jeśli zaiskrzy która na moment bardziej jakoś jaskrawo, rychło traci swój blask niezwykły, przelatuje, zatracą wyrazistość konturów, opływa w cienie i smugi, przestaje znaczyć cokolwiek.

Taka już spraw ludzkich natura. Te mądrzejsze (a wiele ich na świecie nie ma) wiedzą (a w każdym razie tak im się zdaje), że jedyny dla nich ratunek tkwi w spuszczeniu z tonu, w relacji, w wyzbyciu się swojego, jakże cennego, ja, w pełni osobistego. Wiedzą, że szansy na istnienie trwałe, przetrwanie przez więcej

niż mgnienie, można poszukiwać w kontakcie tylko, w splocie wzajemnym spraw wielorakich.

Dzięki nim, tym właśnie, bardziej rozgarniętym sprawom, rzadko, ale jednak, przychodzi do przesilenia. Świat nabiera barw, tonów, zapachów i smaków, i nawet... z siermiężnego, lichawego wątku spraw pojedynczych rodzi się niekiedy akcja, fabuła.

— I co to jest do... nędzy, obywatelu towarzyszu?! Co? — Wyryczał pełnią swojego bolszewickiego gardła, ale jakby bez wewnętrznej emocji. — Co, do świętej naszej sprawy? — Przekleństwa wypadające z jego ust nie działały zgodnie z przeznaczeniem, podkreślania poruszanej akurat kwestii, a przeciwnie, utwierdzały monolog w jego monotonii. — Gdzie oni się podzieli wszyscy, aaa?! — Juliusz stał przed nowym swoim pryncypałem na baczność, ze spuszczonego w kierunku desek podłogi obliczem.

— Ja wam powiem gdzie, towarzyszu białopolaku. W czarnej duuszy waszej — szyderczo przeciągał wypowiedane słowa — nowobolszewickiej znaleźć ich nie możecie. A jeśli w tej wasze wielkopańskiej, zasranej duszyczce wy ich nawet nie myślicie szukać, nie dziwota, że śladu po nich nie znajdujecie i na ulicy. — Jajowata jego nalana twarz przyjęła wyraz nieprawdopodobnej dobroci. — Nie znajdujecie — powtórzył miękko, łagodnie niemal.

— Ależ... — Juliusz zdobył się na odwagę, żeby wydukać słowo.

— Ależ? Aliści? I któż tu dobrze wychowany? — Bolszewik nie porzucił ironicznego tonu. — Nie uczyli w domu pana szlachcica, żeby starszynie nie przerywać? — Zaplątywało mu się czasem jakieś przekręcone słowo. — Co wy sobie o nas w ogóle myślicie? — Wykonał niecierpliwy gest ręką, jakoby

powstrzymujący przed odpowiedzią stojącego przed nim wciąż na baczność Juliusza.

— Zdaje się wam, że wszyscy my, bolszewicy, to jakieś tatarskie plemię, dzicz, gotowa mordować, gwałcić, grabić. Że jesteśmy jakimiś hordami z Krymu czy innej Mongolii. I dlatego tylko mordujecie nas, chcecie koniecznie nas mordować, choćby w myślach, a przecież — spojrzał na stojącego przed sobą przerażonego człowieka z nagłym rozbawieniem — przecież, po prawdzie, nie strachacie się naszej urzędowej skrupulatności, dokładnie jak nie baliście się tej całej faszystowskiej hołoty, ale — przybrał z nagłą ton domorosłego kaznodziei — boicie się czegoś całkiem innego! Naszego racjonalnego spojrzenia. — Rzucił na Juliusza triumfalne spojrzenie. — Tak, właśnie jego — mówił dalej — naszego geniuszu widzenia spraw z całkiem innej, nowej strony. Tego boicie się najbardziej. Uczciwej dyskusji, dyskusji o pryncypiach, tego się lękacie, i tego jeszcze, że w grzyby obrócimy cały ten wasz staroświecki świat, waszą pozał się Boże filozofię, i religię, i wyobrażenia społeczne; że obnażymy, rozbierzemy do wstydlivej nagości cały ten wasz dobry smak. — Z rozbawieniem spozierał w oczy Julka.

Stukanie do drzwi.

— Wejść!

— Towarzyszu pułkowniku? — Wysoki, szczupły mężczyzna w cywilnym ubraniu mówił szybko, z respektem należnym randze. — Melduję...

— Dość! Co wam strzeliło do głowy? Ładne tu widzę panują stosunki! Żadnych procedur, za to regulamin w dupie, co?! — Łagodny wciąż wyraz twarzy zdawał się wskazywać, że nie traktuje swojego gniewu całkiem poważnie.

— Czy nie widzicie, że rozmawiam z postronną osobą, nie z waszego wydziału? — Uśmiech zgasł na jego twarzy.

— A może, może wicie lepiej? Może towarzysz porucznik — wskazał ręką Juliusza — pracuje w waszej grupie operacyj-

nej, co? Jak wam się zdaje, towarzysze? — Wpatrywał się w obu. — Co to jest?! — Nawet ten niby wybuch gniewu zdawał się monotony. — Burdel nie urząd!? I co tu się dziwić, że jakiś tam „Lufa”, jakiś tam „Żelazny” czy inny „Kosmito” robią wam koło dupy notorycznie. Wjeżdżają do komisariatu, biorą gołymi rękami bez jednego strzału, rozsiadają się i mają nawet czas na dłubanie w nosie, a jak już się znudzą demonstrowaniem tej swojej sprawności, tej czystej siły, tak panowie białopolaki, czystej siły, to wtedy rozstrzeliwują naszych najlepszych... — Spojrzał w ich wystraszone twarze. „Poczekajcie, ptaki-Polaki, już my...”

— A więc — zwrócił się do Juliusza — macie czterdzieści osiem godzin na realizację wiadomego zadania. Odmaszerować!

Juliusz poczuł gramolące się na czoło kropelki potu. „Muszę, muszę!” Myślał z odrazą, zaciskając pięści.

— I proszę tylko towarzyszu poruczniku starannie zamykać drzwi za sobą! — Usłyszał głos rozbawionej ironii.

— Natałka! Natałka? — Po draperii wyschniętej skóry łyzy spływały do ust wilgotną solą smutku. Iwona wydawała się dzisiaj niemiłosiernie zmęczona, zbrzydła, obca jakaś.

„Jakie to okropne?” Pomyślała. Bała się, bała bardzo, że Iwona coś spostrzeże. — Oczywiście, że Natałka, a ty, krówko...? — Jak trudno czasem wydobyć z siebie prosty żart.

— Wiesz... — Iwona nie miała siły mówić. — Wczoraj był tu Julek. Nie wiem skąd. Skąd wiedział, gdzie mnie szukać? Julek, czy Julek... — umęczonymi oczyma wpatrywała się w Natalię — czy on jest... — zawahała się — czy jest uczciwy teraz?

Natalia pogładziła Iwonę po włosach. Nie wiedziała co powiedzieć, co myśleć.

— Był i pytał, i opowiadał. Mówił, że wy...

— Spotkałam go, raz czy dwa w Toruniu. Pracuje w jakimś urzędzie, nie wiem dokładnie. — Nie mogła przecież powiedzieć wszystkiego; nie teraz, nie dziś, nie lwonce.

— Nie masz pojęcia... — lwonce trzęsły się paluszki, dygotała, nie mogła tego powstrzymać. — Zawsze chciałam być silna, zawsze się bałam, tak bardzo, bardzo bałam. — Zamilkła. Milczały chwilę obie.

— Julek, wiesz, wiesz Natałko... był u mnie, chyba wczoraj, wiesz? — Nie panowała nad pamięcią prostych zdarzeń.

„Co ja mam robić?” Myślała z rozpaczą. lwonka musiała tu dostać ogromne ilości wyciszających leków. „Nic ich nie obchodzi, że z każdą chwilą, z każdym dniem kolejnym ucieka z niej energia, chęć, że gaśnie.” Znowu pogładziła lwonę po głowie, przytuliła.

„Spokój! O, ten ma dla nich wartość! — Czuła, czuła że nie wolno jej się złościć, irytować nierozsądnie. — Co mam robić?” Myślała gorączkowo, z zawieszoną w pustej przestrzeni bez oparcia bezsilnością.

lwonka gasła, zapadała się wewnątrz siebie samej, oczy błędziły bez celu po suficie. „Muszę, muszę.. zawiadomić Janka, odszukać. On już będzie wiedział!” Uczepiła się tej myśli.

— Wiem, wiem, mówiłaś już słodziutka. Był Julek, rozpytywał, nie przejmuj się tym.

— Ale — kolejne dwa strumyki żalu popłynęły ustalonym wcześniej nurtem — ja nie pamiętam. Nie pamiętam o co pytał, co mówił, co sama mówiłam. Boję się, wiesz, boję się.

Ile to już razy był w akcji, choćby w ciągu ostatnich trzech miesięcy? Nikt przed nim, nikt po nim, nie wykonał tylu zadań w tak krótkim czasie.

Dziwna zrobiła się nagle cisza. Zapada taka w letnie popołudnie bez wyraźnego powodu; bywa, że zwiastuje odmianę;

deszcz tylko, niekiedy burzę, skradający się podstępnie los. Leśny żołnierz nie przejmuje się takimi zagadkami, potrafi zaradzić niespodziankom — jest gotowy. A jednak, gdy siada na tarasie pięknego niegdyś dworu przy stole zastawionym prostym wiejskim jedzeniem, wówczas żołnierz taki traci może część przyrodzonego instynktu? Bo czy można naprężyć nerwy zawsze i wszędzie, każdego dnia?

Słyszy ją teraz — ciszę, ale ignoruje.

Chwilę później podbiega młoda dziewczyna, z folwarku. — Wojsko! — Krzyczy jęklwym strachem. — Jakiś oddział podchodzi do majątku, otaczają! — Z jej zdyszanych słów wyczytać można grozę.

Nie ma chwili. Zrywają się ze „Stachem”, trzeba wiać. „Pech?!“ Czyżby szczęśliwe gwiazdy opuściły swojego żołnierza. Nie minęły przecież nawet trzy tygodnie od postrzału, ciężkiego. Kula przeszła tuż, pod prawą łopatką, na wylot, ominęła płuco. A dziś?

„Nie myśleć o głupstwach tylko.” Nie ma czasu. Rana już prawie nie boli, świerzbi okrutnie. Chwyta za automat i przeskakuje wraz ze „Stachem” przez murowaną balustradę tarasu, do ogrodu. Kilka ledwie metrów; dziko rosnące teraz krzaki, wysokie świerki nieopodal. Można się skryć. Ale co robić? Nie czuje strachu, nie czuje, jak zwykle podczas akcji.

Przyjaciel wybiera swoją drogę; postanawia doskoczyć do przygotowanej bryczki, stojącej na podjeździe po drugiej stronie pałacowej bryły. Trafiają „Stacha”, dopadają. Widzi to wszystko, widzi masakrowanego kolegę, przerażająco realistyczny film, który nie płynie po płaskim ekranie kina; ogląda żywy obraz; taśma z życia wdziera się głęboko; w ból i w jęki, w beziłę widza. Wzniesiona wysoko kolba pepeszy opada.

Nie panikować, utrzymać nerwy, to najważniejsze. „Czy wiedzą, że tu jestem? A może to przypadek?” Zimno analizuje sytuację. „Ilu mogli przysłać po mnie? Pluton? Kompanię? Batalion?” Te pytania mogłyby wprawić w dobry humor na-

szego bohatera, ale nie ma na to czasu. Nie wolno czekać. Czuje, że nie wolno. Pierścień okrążenia zaciska się z każdą kolejną chwilą. Jedyńm jego atutem może być atak, atak z zaskoczenia. Przemiana ze zwierza w myśliwego. „Zanim mnie otoczą, jeśli.” Myśli rwą się na strzępy — takich właśnie potrzeba do działania.

Odbezpiecza bergmanna i nisko schylony biegnie w kierunku parkowej alei. Może się udać. Nie każdy pocisk trafia. Czuje bardziej niż słyszy pęd w bezzwzględności swojej obojętnych kul, blisko; odwraca się i ładuje krótką serię w skuloną postać. Nie trafia. Biegnie, przygarbiony. „Co to?” Wilgotne ciepło rozgrzewa nogę, tuż nad kolanem; przewraca się; nie czuje, nie ma na to czasu. Trzeba wstać, wstać i biec, ratować, uciekać przed...; w bok, o metr-półtora frunie coś; ciężki, niezdarne ptak, bez skrzydeł. Przelatuje i upada, i ginie w wysokiej trawie. Dlaczego właśnie tu? Chwila; nadzieja; huk, straszny. Wyrwana gruda twarzy, krew — nie ma nic; przez moment; ani życia, ani śmierci, ani głosów, światła, zapachu.

Rozpostarte, w niekoszonej trawie, leży ciało człowieka.

W ciszy wczesnego popołudnia, samotnie, ginął najskuteczniejszy dowódca oddziału zbrojnego w historii polskiej partyzantki, Zdzisław Badocha „Żelazny”.

— Obawiam się, że nie masz wyjścia.

— Zawsze jakieś jest! — Odpowiedziała ze śmiałością, której się po niej nie spodziewał.

— Czyżby? — Próbował rzucić ironiczne spojrzenie, ale nagle poczuł jak zjedzony przed godziną najniepotrzebniej obiad cofa się niebezpiecznie. „Rzygać mi się chce, rzygać na swoje...” Nie dokończył aż nazbyt jasnej myśli. „Jeden na świecie swinią i bydlakiem?” Myśli przebiegały bez składu i ładu, naturalne, jak zwykle, gdy nie staramy się ich na siłę poskramiać. Nie był z nich zadowolony, nie były zgrabne. Nie miał

dość czasu, żeby zawstydzić się ich kanciastością. Był zajęty, bardzo, chciał być.

Była swobodna, zalotna, uśmiechnięta, harda. Całkiem jakby między nimi nie zaszły w przeszłości wszystkie te potworne rzeczy. „Czy nie nabawiłem się aby paranoi?”

— Coś taki zmarkotniały? — Był prawie pewien teraz, że kpi. — Przecież zgodziłam się, pamiętasz, zgodziłam. — Wyszepiała prosto w jego ucho. — Teraz jestem twoją, no wiesz... dziewczynką jestem, do specjalnych poruczeń dziewczynką. — Stała w teatralnej pozie, na baczność, wypinając do przodu kuszące piersi. — Co pan rozkaże, suka zrobi! — Próbowała niezgrabnie salutować.

Wzbudzali zainteresowanie przechodniów.

— Traciła panowanie nad sobą, czuł wyraźnie. „Co z nią?” Dziwne to wszystko było. „A może...? Może mnie zdradziła? Może?” — Przestań! Co w ciebie wstąpiło? — Nagle, w przypływie irytacji, zdała mu się jedynie głupawą dziewczuchą. — Wykonał gest jakby chciał ją chwycić za łokieć, wstrzymał rękę.

— Po prostu, po prostu nieswojo się czuję w tej... roli. Widzisz, nigdy nie chciałam być święta, ale teraz może lepiej rozumiem takie zjawiska jak Iwonka na przykład. — Wspomnienie Iwony pomogło. „Muszę, muszę ciągnąć dalej tę grę, nie dla siebie, dla niej.” Nigdy by Iwona tego nie pochwaliła, wiedziała przecież dobrze.

— I co teraz rozkaże mój pan?!

— Wysoko wznieść skrzydła marzeń... — próbował jeszcze żartować. Jeszcze usiłował strząsnąć przemożne wrażenie, że jest przedmiotem wielkiej kpiny, prowokacji może.

— Czy tylko ja, ja mam się wznosić ponad? — Oczywiście potrafią sięgnąć naprawdę głęboko; i wtedy, choć nie zawsze, obraz jaki zdejmują z obiektu swojej dociekliwości odbija się konterfaktem w źrenicach. Czy wolno ulec pokusie zajrzenia w ich głębie? Co zobaczył?

— Twoja rezolutna zalotność coraz bardziej mnie niepokoi, moja miła. Może wpadam w paranoję? Zdaje mi się tylko, że rozgrywasz ze mną jakąś grę?

— A czy nie wszyscy jesteśmy graczami, aktorami? Pamiętasz? Jak u Gumiliewa? Tak pięknie deklamowałaś kiedyś:

*Wszyscyśmy, i święci i złodzieje,
Od ołtarza czy z ostroga,
Wszyscyśmy — śmieszni aktorzy,
W teatrze Pana Boga...*

— Z talentem, pasją mówiłaś. Pokochałam cię wtedy, prawie. Byłaś taki piękny, prawdziwy, poeta.

Jakże bardzo chciał jej teraz ufać.

— I czy nie miał racji biedny człowiek? — Mówiła dalej. — Czy całe to nasze życie, takie, siakie, tu czy gdzie indziej, w samotności czy w bliskości drugiej osoby, czy nie zawsze jest tylko rodzajem gry, sposobem na maskowanie samego siebie, uczuć?

— Bywa, że taka gra staje się bardzo niebezpieczna.

— Groźba? Kolejna?

— Raczej tylko konkluzja, osadzona w czasie i w przestrzeni.

— A jednak i ty grasz, prawda? Grasz, odgrywasz, i może intensywniej niż ktokolwiek inny. I może tak się już w tej grze zatraciłeś, że nie bardzo już pamiętasz, kiedy stoisz na deskach teatru, kiedy na ruchomym piasku życia?

— Dlaczego, powiedz proszę, dlaczego ludziom wydaje się, że mogą wciąż tylko oskarżać innych, usprawiedliwiać siebie? Czy my tak bardzo aż różnimy się, ty i ja? Czy nie jesteśmy w tym co robimy podobni do wszystkich innych ludzi na świecie? — Czuł, wiedział, że to niezbyt uczciwe. A jednak! „W co ona ze mną gra?” Ta jedna myśl przemogła w tej chwili wszystkie inne.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Na to nie był przygotowany. Przytuliła się mocno, poczuł ją całym ciałem; jej ciepło, nieokieł-

znane, miękkość, zapach, ledwie wyczuwalne muśnięcie włosów, usta tuż przy jego ustach, oczy figlarne teraz — zapowiedź nie śnionych rozkoszy.

Czy mógł się opierać? Bronić przed napływem żądz; mimo narastającej świadomości, że to wszystko blaga, fałsz, oszustwo? Czy nie jest tak, że grzech (a może tylko zawarta w nim niepiękna głupota) wypływa na powierzchnię, staje się, urzeczywistnia, zawsze wbrew; na przekór zaszytemu w najtajniejszych fałdach świadomości przeciwnowi?

A jednak całkiem nie stracił orientacji. Zobaczył kątem oka postać mężczyzny po drugiej stronie ulicy. I choć nie miał odwagi spojrzeć wprost w tamtym kierunku, był prawie pewien, że człowiek wpatruje się w niego ostentacyjnie. „Zamach? Tu? W pełnym słońcu, na najszerszej ulicy miasta?”

— Chodźmy! — Odsunął Natalię na moment, ale zaraz gestem ręki zagarnął jej kibić i przygarnął do swojego boku. Za późno, za późno na wszystko.

— Panu się dokądś spieszy? — Usłyszał miękki, wyraźny, dobrze sobie znany głos. Nie było to właściwie pytanie, a jedynie stwierdzenie prostego faktu.

— Ty?

— I w ludzkiej postaci, daj wiarę!

— Cześć Janeczku. — Nigdy jeszcze Natalka nie cieszyła się tak na jego widok.

— Widziałś? — Janek kiwnął z rozbawieniem głową w kierunku Julka. — Myśli, że ducha...

— Jestem śledzony, szybko! — Złapał Janka za łokieć i usiłował odwrócić go w kierunku, w którym zamierzał iść z Natalią.

— Spokojnie, spokojnie, panie Juliuszu. Widać, że się dawno nie chadzało ulicami. Za wiele przy biurkach siedzicie, w tym waszym urzędzie. — Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

— A jednak, nalegam. Tu nie jesteśmy bezpieczni.

— Czyżby, naprawdę? Może wiesz coś, o czym zapomniałeś nas powiadomić. Na przykład o tym, w jakim to właściwie biurze teraz pracujesz? Urząd, pewnie wiesz, urzędowi nierówny. W jednym się ludziom pomaga, przynajmniej w teorii, w innym już tylko morduje. No, w pewnym sensie, w pewnych szczególnych wypadkach to może istotnie... pomoc.

— Nikogo... — czuł jak wilgotny strach gramoli się poprzez pory skóry — nikogo nie zamordowałem.

— I ulga wielka spłynęła oto na nas wszystkich. Julek, czy nie wspaniała to doprawdy nowina, nie jest bolszewickim katem. Słyszycie, ludzie! Julek nie morduje patriotów! — Udawał, że obwieszcza informację wszem i wobec. — Nie morduje kolegów, nie męczy koleżanek, nie wybija im zębów, nie wrywa paznokci. — Ze smutkiem spojrzał na dawnego przyjaciela.

— Pan Jan zawsze taki sam! — Zabrzmiało głupawo, Juliusz spłoszył się jeszcze bardziej, zająknął, nie panował nad drżeniem wyłażących z krtani słów. — Wszyscy nie mogą być bohaterami, czy nie rozumiesz tej oto, prostej życiowej reguły?

— Wszyscy, wszyscy. A od kiedy to pan Juliusz identyfikuje się z masami? Męczy mnie taka dyskusja. Albo albo, jak mawiają mądrzy ludzie. Albo rozmawiamy poważnie, albo w ogóle.

— Czego chcesz?

— Dobrze, to jest przynajmniej konkretne postawienie sprawy.

— Inaczej nie potrafię, nie chcę.

— I lepiej. Sprawa jest niezmiernie prosta, krótka. Jedno życzenie właściwie. Będziesz dla nas pracować.

— Co?

— Nie żartuję, nie prowadzę żadnej gry, nie odpowiadam na głupie pytania. Podaję tylko cenę, cenę życia, twojego. Zgadzasz się, bardzo będę rad. Nie zechcesz, cóż, to będzie tylko kolejny krzyż; niosę ich już wiele, wierz mi, przyjacielu.

— Czego chcesz, konkretnie?

— Pomocy, informacji, masz dostęp, wiem, że masz. Na początek pomożesz nam wydostać Iwonę z wojskowego szpitala, w którym umieścić ją szanowny rodzic, i gdzie faszerują ją jakimiś świństwami. Zrobiłbym to sam, ale to zbyt niebezpieczne, trudne. Zbyt wielu niewinnych ludzi et cetera, rozumiesz. To dla ciebie będzie drobiazg, panie urzędniku ludowy. Wystarczy, że ułatwisz mi wejście tam. I po drugie, i to będzie zdecydowanie mniej przyjemna prośba. — Zawiesił głos. — Zapomnisz dzisiaj o Natalce, zapomnisz, że kiedykolwiek istniała, nie tylko w twoim życiu, w ogóle. Nie ma takiej na świecie! Rozumiesz?

Spojrzał na nią. Nie umknęła przed tym spojrzeniem, nie spuściła oczu.

Stali na Szerokiej, nieopodal rozwidlenia na Jadwigi i Garbary. Wokół robiło się coraz tłoczniej. W afekcie rozmowy nie zwrócił Janek uwagi na znajomą twarz młodej kobiety, która wpatrywała się w niego o ułamek chwili za długo. Co to było? Brak koncentracji, usprawiedliwiony napiętymi nerwami? Tylko?

Normalnie wiedziałby, co znaczy takie spojrzenie, choć twarzy nie mógł przecież pamiętać. Ona wiedziała, pamiętała, pamiętała doskonale. W obrazach jej wzrokowej pamięci Jankowy portret zajmował poczesne miejsce. Na rogu Szerokiej i Przedzamcza stał sobie oto spokojnie niedawny bankowy bandyta, prześladowca, miły nawet, przystojny (ach! jakże przystojny), a jednak; przerażał ją śmiertelnie. Wahała się, ale jedną chwilę tylko. Urząd nie był daleko. Wiedziała gdzie, bardzo dobrze wiedziała. Po całym tym zdarzeniu, po napadzie, wzywano ją tam kilka razy. Bała się, bała strasznie, ludzi, miejsca, tamtejszego gwaru, niepokoju zawieszzonego w powietrzu, zapachów, tego co opowiadali o tym miejscu szeptem inni. Za każdym razem, gdy wchodziła za strażnikiem na drugie piętro,

zimny pot nieprzyjemnie zalewał jej czoło, bluzka lepiała się do pleców, czuła swój ciepły zapach. I z tym nie było jej miło. Robiła się wtedy taka mała, bardzo mała. Sama tylko myśl, że ma tam pójść po raz kolejny, z własnej woli, nieprzymuszana żadnym nakazem, wydała jej się szczególnie odpychająca. Ale, czy wolno postąpić jej było inaczej? Zataić tak ważne zdarzenie przed tymi ludźmi? A co, jeśli się dowiedzą; wyczytają z jej pamięci? Wzdrygnęła się, dreszcz przeszedł przez całe jej ciało. Nie mogła inaczej, wiedziała. Czy robiła coś złego? Przecież nie. To bandyta, przestępca; nie powinien uniknąć kary. A oni, tam, to władza, sprawiedliwość.

I znowu gmach, schody, strażnik z przez ramię przewieszonym automatycznym pistoletem, echa kroków, zatraskiwanych drzwi, strach. „Powie im, powiem wszystko.”

Ulga.

W jednej chwili pojęli, co ta koszmarna szara kobieta, wysuszona, spływająca wilgocią strachu, do nich mówi. Takiej gratce nie wolno było przepuścić. W parę chwil ledwie zorganizowali grupę, cztery samochody, piętnastu ludzi, dwóch młodszych oficerów; dowódca zacierał ręce.

Starszyna (tak o nim, między sobą i tylko wielkim szeptem, mówili) był więcej niż zadowolony. Z trudem tuszował ukontentowanie wypełzające na tłustawe oblicze. Odprawa, już przy autach, trwała ledwie kilka chwil.

Według kobiety, bandyta przebywał aktualnie w rejonie ulic Szerokiej, Strumykowej, Przedzamcza, Garbar i Królowej Jadwigi. Nie była to dobra informacja. Wziąwszy pod rozwagę spryt i doświadczenie bandyty, topografię, prawdopodobny ruch ludności na tych właśnie ulicach, grupa wyznaczona do złapania przestępca mogła okazać się nie dość liczna. Nie sposób było podjechać na samo to miejsce autami. Sam dźwięk maszyn mógł przepłoszyć groźnego bandytę. Także ubiór funkcjonariuszy był daleki od ideału. Wprawdzie cała zebrana grupa miała ubrania cywilne, nie dało się jednak zauważyć nieja-

kiej uniformizacji tych cywilnych strojów. Brązowe buty, czarne spodnie i marynarki, białe (nominalnie) koszule, niechlujnie (o tej już porze dnia) zwisające krawaty, wszystko to powodowało, że choć nie umundurowani, wyglądali na grupę, bezsprzecznie.

Nie było czasu do stracenia.

Zanim pierwszy ubek pojawił się na horyzoncie zdarzeń, do uszu Janka dotarło wrażenie nagłego wyciszenia gwaru, ulica przestała oddychać; pojedynczo, po kilku, ludzie znikali w bramach, w drzwiach nielicznych sklepów. Coś wisiało w powietrzu. U wylotu Strumykowej dostrzegł grupkę źle ubranych turystów. „Pewnie wschodni bracia przyjechali do Torunia pooddychać. Nie, no absurd przecież! Janek!” Opamiętał się w jednej chwili.

— Jazda! — Powiedział o ton za głośno. — Zmykamy, ale bez paniki, naturalnie. — Skierował ich w kierunku ruin zamku. Miał nadzieję, że jeśli to zorganizowana obława, łapsy nie zdolali obstawić wszystkich możliwych kierunków odwrotu. Ruiny były obiecujące, niełatwe do ogarnięcia przez sporą nawet liczbę ludzi. Kierunek też był odpowiedni — łatwiej można się było tędy przedrzeć do meliny, o której pomyślał.

Teren znał; lata spędzone w konspiracji nauczyły go metodyczności pracy, dbałości o szczegóły, wynajdywania najlepszych, optymalnych rozwiązań. Dlatego już w pierwszych dniach pobytu w Toruniu dokładnie spenetrował okolice starożytnego miasta; ulice które zamierzał wykorzystywać w pracy. Poznał każdą bramę, piwnicę, klatkę schodową, mniej lub bardziej zakryte tajemne przejścia, podwórza, płoty, parkany, drobne szczegóły, które stanowić mogły o przetrwaniu.

Po przejściu ledwie kilkunastu kroków w kierunku ruin i rzeki, zmienił zdanie — otworzył bramę po prawej. Teatralnym gestem zaprosił Natalię i Julka do środka. (Że mu się jeszcze

żartować zachciało!?! Ech!) Nie mieli wątpliwości, że Janek wie, co robi; zawsze wiedział. Poszli za gestem jego ręki bez zbytecznego zawahania. Nie mieli pojęcia, co ich czeka.

Czy to była tylko pamięć, może instynkt, trudno ustalić. Janek poruszał się po toruńskim labiryncie zakamarków, jak gdyby nigdy w życiu nie robił nic innego. Oboje, Natalia i Julek, gonili za nim wytrwale i z wywieszonymi, jak to się niepięknie mówi, językami; już dawno przestali dbać o własną orientację. Nie mieli pojęcia, gdzie są, jak długo to trwa, ile czasu zajmie. Jeszcze tylko jedna brama i kolejna, płotek, ogrodzenie, jakaś kupa żelastwa, po której trzeba było przebiec, rozchybotana, drzwi, ciemny, śmierdzący kocimi szczynami korytarz, betonowe schody w dół, kałuża i woda spływająca po ścianie grubymi kroplami, kolejne drzwi i jeszcze jedno, mniejsze; niespodziewanie dla dwojga biegnących za Jankiem, znaleźli się na obszernej, luksusowej kiedyś, klatce schodowej. Uspokajali głośnie zadyszenie, z głowami nisko pochylonymi. Janek przyglądał im się z nikłym uśmiechem.

Poszli za nim w górę, drewnianymi schodami. Na drugim piętrze zapukał w szerokie, mocno wytarte z farby drzwi.

Otworzyły się natychmiast, całkiem jakby akurat oczekiwano ich wizyty. Wysoki, szczupły mężczyzna, dobrze po pięćdziesiątce, posiwiały, o włosach przydługich, rzadkich już, z niejaką skłonnością do nieładu, wyglądał na kogoś kto niełatwo wpada w popłoch. W uśmiechu powitania ujawnił dwa rzędy idealnie białych zębów. Ręką wykonał gest zapraszający do środka.

— Lokal spalony! Prowadzę na ciebie ubeków! Jeśli tu nawet nie trafią teraz, z pewnością będą węszyć całymi tygodniami. Poza wszystkim, jednego prowadzę ze sobą, omalże zapomniałem. — Skonfundowany Janek wskazał głową Julka,

którego twarz przybrała w jednej chwili odcień obranego ze skóry buraka.

Mężczyzna machnął niedbale ręką, jak gdyby palenie lokali i goszczenie w domu ubeków było codziennością.

— Aresztowali Danusię! — Powiedział, siląc się na spokojny ton.

Od razu wiedzieli o kogo chodzi. Znali ją z oddziału. Miłą, zawsze uśmiechniętą, gotową do największych wyrzeczeń, poświęceń. Młodziutka była, bardzo. Janek nie pamiętał dokładnie ile mogła mieć lat, ale chyba nie więcej jak siedemnaście.

— Przed godziną Zbyszek telefonował z Gdańska. Wzięli ją nad ranem z domu. Nic więcej nie wiadomo. Jeszcze.

Stali w korytarzu, milczeli. Przez głowy nie przechodziło nawet zaskoczenie jak bardzo ich to dotknęło; przecież strata, od wyspy po aresztowanie, tortury, aż po śmierć stała się przez te lata czymś wpisanym w codzienność; czymś do czego trzeba przywyknąć, inaczej nie sposób, i rzeczywiście, po czasie — można się przyzwyczać. Aż tu nagle, pojawia się ktoś i mówi, że Danusia aresztowana. Czy to nie dziwne? Czy możliwe?

Los wojny bardzo ją dotknął; ojca wzięli w roku 1940, mężczyli strasznie. Wywieźli go do kopalni złota gdzieś, tam, na drugi kraniec świata. Schorowany, wycieńczony, zmarł w Teheranie, w 1943. Matkę, żołnierza Armii Krajowej, po strasznych torturach zamordowali Niemcy w tym samym, 1943 roku. Została z babcią, z dwiema młodszymi siostrami. Mimo doświadczeń, Danusia potrafiła wykształcić w sobie to coś, pogodę ducha — mówi się, ale to tylko puste słowa; nie oddające istoty rzeczy; wyświechtane. W jej duchowej urodzie było więcej niż tylko nie schodzący z twarzy miły zawsze uśmiech, chęć dzielenia się, dawania. Miała w sobie coś nie z tego tylko świata. Była dobrem i czyniła dobro, dla niego samego. Zło ignorowała, ot tak.

— Proszę mi tu nie wymachiwać szabelką, młody człowieku. — Zażywny, sześćdziesięcioletni mniej więcej mężczyzna, o smukłej, proporcjonalnej twarzy, byстрым spojrzeniu na ogół łagodnych oczu, ubrany w oficerki, mundur, nałożony na niego biały lekarski kitel, siedząc za solidnym biurkiem, w czterech ścianach gabinetu wpatrywał się w Janka ironicznie, i bez strachu.

— Jestem lekarzem i znam swoje obowiązki. I proszę mi łaskawie nie prawić kazań, za stary jestem na to, a pan nie ma, i proszę z góry o wybaczenie, w moich oczach odpowiedniego, powiedzmy... — myślał chwilę nad doborem słowa — mandatu, tak, mandatu i autorytetu. — Dlaczegoś złagodził nieco ironię swojego uśmiechu. — Bardzo mi oczywiście imponuje pana obecność tutaj, dziś, w tym miejscu, pomimo tych wszystkich straży wokół, no, grubego, co tu będziemy udawać, niebezpieczeństwa i... ta pańska śmiałość, brawura, aby nie powiedzieć grubiej...

— Proszę się nie krępować. Nie jestem lekkoduchem, nie obrażę się z byle powodu. Nie będę też prawić morałów. Jest pan lekarzem, a że leczy pan na ogół bardzo podejrzane towarzysztwo — wyskandował sylaba po sylabie — to nie ma tu nic do rzeczy. Opieka medyczna należy się wszystkim, nawet wrogom, i wrogom wszelkiego życia też. Mam do załatwienia tu tylko jedną sprawę i załatwię ją, z pewnością.

— I nawet jeśli załatwienie tej jednej sprawy pociągnie za sobą ostrą rozróbę, strzelaninę? Jeśli zginą niewinni ludzie?

— Swoje łaskawe morały proszę schować do szuflady, o, w tym biurku właśnie — Janek mówił nieco bez sensu. — Dlatego właśnie moja propozycja, żeby uniknąć zamieszania. Przygotuje pan papiery, karetkę, poinstruuje personel i jeśli nawet nie pożegnamy się w zgodzie, to przynajmniej nie wywołamy awantury. Proszę decydować. Moi żołnierze czekają tylko na...

— Zgoda. Męczy mnie już ta rozmowa. Wydam stosowne polecenia. Proszę jedynie nie zapominać, że pańska koleżanka, narzeczona czy kim ona dla pana jest, nie trafiła do naszego ośrodka bez przyczyny, bez medycznych powodów.

— Czy, zdaniem pana profesora — zmienił ton — jej stan jest bardzo poważny?

— To, widzi pan, w mojej dziedzinie, a uczę się jej przeszło trzydzieści lat, nigdy nie jest łatwa kwestia. — Zamyślił się na dłuższą chwilę. — Może to zabrzmie dziwacznie, ale osobiście mam następujące przekonanie: żaden umysł, czy to będą pacjenci naszego oddziału, czy ja, czy pan, czy najtęższy nawet Mózg znanego świata, żaden nie jest całkiem i zupełnie zdrowy. Powiem inaczej, gdyby nawet taki przypadek zaistniał, nie byłaby to na pewno dobra informacja dla jego bliskich, dla jego otoczenia także. Byłby to człowiek całkowicie wyzbyty ludzkich uczuć, reakcji. Robot, antropoid.

— Bolszewik!?

— Niech będzie. — Profesor uśmiechnął się po raz pierwszy. — Ale wracając... Panna Iwona nie jest w mojej ocenie poważnie chora, ma może tylko wyraźne oznaki zaawansowanej nerwicy, tyle że pewne okoliczności, okoliczności rodzinne, pan pewnie wie... odebrały jej jasność widzenia, odebrały jej chęć dalszego aktywnego życia. — Uśmiech już dawno zgasł na jego twarzy. — Żyjemy gdzie żyjemy, żyjemy jak żyjemy, i kto wie, może wszyscy winniśmy położyć się do łóżek tego szpitala.

Wstał zza biurka i podszedł do Janka wyciągając dłoń.

— Teraz, kawalerze, proszę łaskawie udać się do swojej narzeczonej. Wszystkim się zajmę, proszę się nie obawiać. — Odprowadził Janka do drzwi. — I... — położył mu rękę na ramieniu — zapamiętaj jedno! Nie wiem kim jesteś dokładnie, nie wiem co myślisz, co robisz, ale, ale... życzę ci powodzenia, najlepszego, z serca, z serca i z umysłu.

— Sama już nie wiem. To znaczy, oczywiście, powinnam być wdzięczna i zadowolona, i na każdym kroku wyrażać szacunek dla tego co zrobiliście, ale...

Rozmawiali w białej, niewielkiej przestrzeni grubych klasztornych murów. Nad drzwiami wisiał krzyż, obok stała wąska, wysoka szafka z ciemnego drewna. Taboret, dwa krzesła przy stole, łóżko i mały stolik, niewielkie wąskie okno z wpadającymi przez nie podługowatymi blaskami słońca, panoszącego się ze swobodą stałego bywalca na surowej, zimnej jeszcze posadce. Janek siedział na krawędzi łóżka, wpatrywał się w bladą, siną prawie, zmęczoną twarz.

— Nagle, wtedy — słowa wyływały ociężale spoza spieczonych warg — gdy zobaczyłam ojca, przy tym stole, w jadalni, w tym mundurze... uświadomiłam sobie... nie, nie uświadomiłam... doznałam olśnienia, takiego, wiesz, uderzenia myśli, że nie! Rozumiesz? — Wykonała ruch głową jakby ją chciała podnieść z poduszki. — Nie! I nie! Nie! Nie mogę dalej, nie mogę, nie dla mnie to, za dużo. — Wyrzucała słowa jakby bez związku.

— Wściekłam się, może pierwszy raz. Wściekłam się na niego, ale nie, nie tylko, nie... wcale nie na niego, Boże! — Ścisnęła mocno Janka dłoń. Ścisnęła i puściła.

— Uderzyło mnie, olśniło... szkarada świata, jaka wielka jest jego brzydota. To wszystko nieprawda; patrzysz, widzisz, kwiaty, niebo, słyszysz szum wiatru, liście na wietrze, ptaszki jakieś śpiewają, słońce świeci wesoło, albo leje, leje ciepły deszczyk, mokniesz i pachnie ziemia; i jesteś taki, taki szczęśliwy. — Urwała. Oddychała ciężko przez moment. — Wszystko kłamstwo, fałsz, obłuda! — Nigdy nie widział w jej spojrzeniu tyle naraz skumulowanej, zropanzonej złości. — Fałsz! Tak! Obłudna woalka prawdy. Nie ma, rozumiesz? Nie ma żadnego w tym porządku, boskiego prawa. To nie jest Jego dzieło. — Powiekami przykryła zmęczone oczy. I znowu poszukała pal-

cami leżącej na pościeli dłoni Janka. Oddychała, ciężko oddychała, ale już spokojniej.

— Ja wiem, nie powinnam się użalać. Powinnam wstać i dalej robić swoje, walczyć. Tylu dobrych ludzi ryzykowało dla mnie, ale... Nie wiem czy chciałam stamtąd wyjść, uciec, ze szpitala. Dałam się porwać, ale tam było dobrze. Spokojnie, spokojnie i obojętnie, bez myśli, złych. — Próbowwała się uśmiechnąć.

— Może pozwolą mi tu zostać. Siostry Wincentyńki są bardzo dobre. Wiesz, że opiekują się córką prezydenta? Zapomniałam tylko którego. Może i ty zostaniesz kiedyś prezydentem — uśmiechnęła się — będą wtedy opiekować się jego niedoszłą żoną. — Łzy popłynęły po policzkach.

Chciał coś powiedzieć. Nie potrafił. Nie mógł. Bywa, że najtrafniejsze myśli, jakie można w sobie wyszukać, układają się w kadencję z milczenia.

X

INKA

Co to takiego śmierć? Co to takiego życie? Może to lepiej, że podczas naszego istnienia tu, nie mamy zbyt wiele prozaicznego czasu, aby te kwestie rozważyć? Może to lepiej, a może nie? A jeśli jest wręcz odmiennie niż popularne w odniesieniu do tych spraw wyobrażenia? I ucieczka od rzeczy ostatecznych wcale nie przybliży nas do tak zwanego życia, w którym zwykliśmy taplać się, z lubością?

— Danuta S.! — Usłyszała nieprzyjemny, kobiecy, nieco jakby piskliwy wrzask, choć nie był, przynajmniej w jej słuchowej pamięci, poprzedzony chrzęstem otwieranych stalowych drzwi.

Myśli biegły, odbiegały w dal, jak kropelki wody po spoczonej upałem lamperii ściany. „Dłaczego jedna dogania drugą?

Dlaczego tak zgodnie płyną razem, połączone, nieznacznie tylko przyspieszając? Czy one są z tego samego świata? Czy istnieją naprawdę? A może...”

— Wstawaj z pryczy, już! — Głos strażniczki z trudem przebijał się przez świadomość. Odwracała się powoli, boleśnie, bólem każdego, pojedynczego skrawka ciała; powoli, bardzo powoli powracała z innego wymiaru; jeszcze nie czując, nie słysząc dobrze, nie zdając sobie sprawy gdzie jest, nie przeczuwając, co za chwilę...

Do celi weszły jakieś panie; nieśmiało, niezdecydowanie; przystały przy samych drzwiach; skupiły się w grupie, skuliły, ukryły, jedna za drugą; żadna z nich nie chciała być pierwsza w szeregu, przed innymi. Ile ich było? Pięć, sześć, siedem może?

„Po co one tu przyszły? Kim są? Dlaczego patrzą tak jakoś, okropnie? Czego chcą? Nie znam...”. Nie bała się, nie bała prawie wcale, a jednak gdzieś, wewnątrz zagnieżdżał się, rozrastał pod skórą niepokój.

Milczenie trwało długo, bardzo długo. Przez ledwie uchylone stalowe drzwi co kilka, kilkanaście sekund zaglądała czyjaś głowa. Wciąż nie padło jeszcze jedno słowo; stały i patrzyły. I ona stała teraz naprzeciw.

Przez ostatnie dni dowiedziała się bardzo wielu nowych rzeczy. Może przede wszystkim tego, że świat w znikomej nawet części nie jest taki, jak sobie to zawsze wyobrażała.

A niby wiedziała wszystko, co potrzeba: wiedziała, że jest dobro, wiedziała, że jest zło; wiedziała również dobrze, że życie to jest służba, że służyć należy Bogu, ale też i ludziom, Ojczyźnie, i jeśli zostanie tej woli służenia jeszcze odrobina — także sobie, swojej duszy. Nie mogła zrozumieć do tej pory w pełni jednego: bo jeśli powinność służby jest taka oczywista, dlaczego ludzie, wielu bardzo ludzi, zachowuje się tak, jakby tego nie wiedzieli?

„Jak to możliwe?” Pytała nieraz zafrasowana. „Po co marnują sobie życie?” Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

A zło istniało i było go bardzo wiele. I choć wcześniej nie miała wielu okazji do bezpośredniego z nim obcowania, nie umiała o nim myśleć bez wzburzenia. Zła się nie bała, chyba, ale nie mogła myśleć bez przerażenia i smutku o ludziach przez zło opanowanych. Kim byli, są, dlaczego dokonują takiego wyboru? Nie знаła odpowiedzi i bała się. Bała się tej tajemnicy, swojej niewiedzy. I czuła, przeczuciwała wewnętrznym impulsem, że to ją czeka, że nie ucieknie przed jej prawdą; że chowa się gdzieś, kryje, czai, w najmniej spodziewanym zakamarku życia, które jeszcze przed nią.

Przyglądały jej się, ciągle jeszcze milcząco. A jednak w stęchłym, ciężkim powietrzu celi wyczuć można było okropne napięcie. Przyglądały się; powoli, bardzo powoli zbliżały się, zacieśniając krąg; ich obecność stała się dotykalna.

„Co one chcą? Kim one...”. Nie potrafiła przerwać chaosu myśli narzucających swoją obecność, niecierpliwych, natrętnych, przeszkadzających. Jeszcze nie wiedziała, nie znała odpowiedzi, czuła tylko, że obecność tych kobiet ma jakieś znaczenie. „Zło. Zło, gdy przyjdzie, jakie będzie, jak się objawi, czy powiedzie mnie na pokuszenie, jakie przybierze oblicze?”

Czy to był ten moment właśnie?

„Po co o nich myśleć, odgrodzić się, upokorzyć pogardą.” Poczwała złość i zaraz, za ułamek chwili, strach, wielki strach gdzieś na dnie; strach i żal. „Jezu, Boże mój. Przebacz, przebacz mnie grzesznej. Wybacz.” Modlitwa pomoże, zawsze pomagała. A jednak, jak trudno jest przemóc złe, niegodziwe, napędzane nienawiścią myśli. „Przecież te kobiety nie przyszły bez powodu. Przyszły, żeby mnie skrzywdzić. Chyba. Czy przyszły z własnej woli? Kim są?”

— Patrzcie ją, jaka harda? Nie boi się! Boga się nie boi. — Wreszcie zaczęła jedna z nich, przemogła się, odważyła. Wysoka, postawna, ubrana w granatowy żakiet, ołówkową spódnicę tuż za kolana, i w białą bluzkę z dopiętą w wycięciu dekoltu broszą z czarnej emalii. Miała okropne zęby, pożółkłe, chwiejące się niby na boki, przesadnie poczerwienione pomadą wydatne usta, ciemny, siny makijaż wokół oczu. Sprawiała wrażenie ważnej.

„Jest pewnie hersztem całej tej... bandy.” Przebiegła przez głowę myśl raczej obojętna.

— Morderczyni, suka bandycka! — Dziwnie nie pasowały te słowa do filigranowej, zgrabnej blondynki o wyraźnie zarysowanych, miękkich, kobiecych kształtach, ubranej w pstrokato-wesołą letnią sukienkę. Na jej młodziutkiej, niewinnej twarzy gniew rysował się nienaturalnie, paskudnie.

— Suka podła! Co się tak świętoszkowato gapisz na nas świnio obleśna?! Zdziwiona?! — Trzecia z kolei była najbardziej agresywna. Niska, przysadzista, ubrana w starą, spraną okropnie kraciastą koszulę. Czuć ją było niemytym ciałem. — Co się takiej dziwić, że wymordowała nam mężów?!

— I co lafiryndo przebrzydła?! — Obelgi sływały w jej kierunku gęstym potokiem pomyj. Wszystkie te kobiety krzyczały teraz, jedna przez drugą, gestykulowały, wygrażały, jeszcze nie ważyły się jej dotykać; były blisko, bardzo.

Zrozumiała. Powoli zaczynała rozumieć całą tę dziwną sytuację. Obecność tych kobiet tu. To była kolejna odsłona dramatu; raczej tragedii podszytej farsą. Minęło ledwie kilka dni od tamtego zdumienia. Od tamtej rozmowy, gdy została oskarżona pierwszy raz.

Śledczy zaczął mówić. Początkowo całkiem nie mogła zrozumieć, co mówił. Dopiero gdy z wyraźną już irytacją powtórzył pytanie po raz trzeci i czwarty, zrozumiała; pojęła o co jest

pytana; w każdym razie, starała się pojąć. W swoim niewinnym, krótkim życiu nie miała do czynienia z czymś, co zwykliśmy określać jako podłość, wyrachowaną chęć czynienia komuś świństwa, wielkiej krzywdy. To było po raz pierwszy. Oniemiała.

Na nic były wrzaski, groźby, wyzwiska, uderzenie w twarz, i jeszcze jedno, i kolejne. Jeśli przyjąć, że odruchy przedstawiciela ludowej władzy miały jakiś wpływ, to tylko przeciwny do zamiarów oprawcy. Uczyła się, uczyła pilnie, choć w nieustającym zdumieniu, błyskawicznie, nowych dla siebie pojęć; odkrywała nieznane płaszczyzny życia; przyglądała im się, obserwowwała z dystansem; nie, nie; niełatwo było jej przyjąć tę myśl: że nie orbituje wokół tych strasznych nowych rzeczy w jakimś nierzeczywistym, kosmicznym oddaleniu; że przeciwnie, tkwi w centrum, że właśnie wszystko, to inne, rozgrywa się wokół niej, wiruje w rozszalałym, dzikim, niepohamowanym pędzie.

„Czy oni mogą mnie oskarżyć tak kłamliwie? O to, że wydałam rozkazy rozstrzelania? Że osobiście... osobiście dobijałam rannych z pistoletu? Czy to nie jest zwykły, koszmarny tylko sen?” Nie była przygotowana. Choćby nie wiadomo jak bardzo wyteęzała szare komórki, nie była w stanie ogarnąć myślami rozmiarów tej podłości. Czego właściwie?

Człowiek, który wypowiedział wszystkie te kłamliwe oskarżenia, siedział teraz spokojnie po drugiej stronie biurka, uśmiechnięty, niemal grzeczny, tak jak gdyby przed ledwie momentem nie wydarzyło się nic drastycznego. Czy możliwe, że został ukształtowany przez te same zasady? Czy on jest z tego samego miejsca we wszechświecie, co ona? Jeśli tak, jeśli w gruncie rzeczy nie ma tu żadnej niezwyklej sytuacji, czy wina braku zrozumienia, braku komunikacji nie leży po jej stronie?

„Czego nie wiem? Dlaczego tak bardzo mnie to wszystko zaskakuje? Czy nie powinnam spodziewać się właśnie tego? Zła, bezwstydu, perfidii. Czy to, co mówi ten straszny człowiek, jest dla mnie nowe, nieznane? Czy ja uciekam, czy się boję? Czy

nie na tym polega walka, na stawianiu czoła własnemu strachowi? Nie mogę się cofnąć. Nie teraz, nie dziś.”

— No, Danuśka, przestań się mazać. Mamy jeszcze dużo roboty przed sobą. Za chwilę przyjdzie pierwszy świadek. Skonfrontujemy sobie was, sprawdzimy tę twoją niepamięć.

Tak, to było kiedyś, dawno, dawno temu, choć czasu nie minęło wiele. Dziś wie, wie o wiele więcej. Zło nie jest już tylko mglistym pojęciem. Wie, że wiązać je można zazwyczaj z nikłością, karłowatością duszy.

W zamęcie nagłego osłupienia patrzyła na ludzi, zeznających przeciwko niej. W zdumieniu wsłuchiwała się w ich kłamstwa. Nigdy do tej pory nie była tak blisko haniebnego procederu. Tego dnia mogła, miała okazję patrzeć złu prosto w jego małe, ruchliwe, niewyraźne ślepie.

Nie bała się, nie brzydziła nawet; nie miała prawa; ale wciąż, nieodmiennie, dziwiła się. Jakież to było szkaradne, skołtunione, wylękłe. „Czy tak wygląda każda jego odmiana?” Pytała w pomieszeniu, w konsternacji nieugiętych, nie myślących o ucieczce starych pojęć, myśli. Żal jej było tych biednych ludzi.

„Jakże coś takiego rządzić może ludzkim losem?” Pytania tłoczyły się, jedno przez drugie. „Jak walczyć z czymś, co zasługuje jedynie na naszą litość? Czy nie dzięki temu właśnie wygrywa?”

— Widzieliście kiedy taką dumną szmatę?! Patrzcie, patrzcie jak bezczelnie się na nas gapi! Że taka chodzi po ludzkiej ziemi. Boże, Boże sprawiedliwy jakże możesz na to pozwolić?
— Nie mogła, nie mogła oglądać tych wszystkich twarzy, wdychać ich wyziewów, słuchać głosów; napierały w jej kierunku, nieustannie.

— Dobrze ci było suko, kiedy dobijałaś mojego męża? — Poczuła palący, ciągnący się ból w okolicach potylicy; tuż, odrobinę wyżej. Oszałała z nienawiści kobieta, o smukłej, młodej jeszcze, wykrzywionej teraz grymasem twarzy, szarpała ją z całych sił, ciągnęła za włosy. — Jak to było z moim?! — Charczała zdyszczanym szeptem do jej ucha.

To rozjuszyło pozostałe. Szarpały i drapały, darły na niej ubranie. Z bełtadu krzyków wokół mogła wyczytać nienawiść, nienawiść i pasję upokarzania. Kolejny cios poczuła z lewej strony, w okolicy nerki. „Boże... znowu... znowu ból!”

Jeszcze kilka ledwie dni temu nie miała wyobrażenia, że może być aż taki. Ból okrutny, nielitościwy, ból wykręconych stawów; rozbijanych na czarno mięśni. Poczuła jak leci w dół, upada. „Co one?” Gdy przekroczy swoją granicę, ból nie ma jednego miejsca, imienia; jest nie bólem, a rozpaczą.

Leżąc na betonowej podłodze, próbując osłonić się choć trochę przed zadawanymi razami, poczuła napływ smutku, bezsilności. Jakże bardzo żał się jej zrobiło tych biednych, owładniętych szałem nienawiści, kobiet.

„Nie wiedzą, Jezus...” modliła się pokornie. Kolejne kopnięcie zatrzymało biegnące w myślach słowa. Nie mogła, nie mogła więcej.

— Nie wolno! Nie wolno bić! Odstąpcie suki! — Chropowaty, gruby, kobiecy głos nie pozostawiał przestrzeni na sprzeciw. Zapamiętała w nienawiści, ośmielone bezkarnością ciała jej prześladowczyń w jednej chwili jakby skuliły się, przygasty, odskoczyły. Już po chwili w ich oczach można było dostrzec marne tylko ślady niedawnej zapalczowości.

Wychodziły z celi zgrzane, rozdygotane ferworem nierównej walki, z poczuciem nie do końca zaspokojonej mściwej żądz.

XI

EREM

— I przyjdzie chwila, gdy Boga nie będzie, nie będzie go w ludzkich sercach.

— Bluźnisz! Bluźnisz! Czy ty nie boisz się boskiej kary, nie boisz się stanąć przed Jego obliczem w nieczystości swojej?!

— Pozwól, Jeremiaszu...

— Ach! Ja i rozmawiać się z tobą lękam — stęknął ciężko, stęknął doświadczeniem ośmiu dziesiątek lat życia — lękam bo i zupełnie ciebie nie rozumiem. Jak człowiek taki jak ty, człowiek święty, może być, być... jednocześnie tak niefrasobliwy, żeby...

— Ależ, pozwól, w imię Jego, pozwól, że myśl swoją chociaż zacznę. — Z tonu jego dobrodusznego głosu można było wyczytać niezwykłą, jakby ponad sprawami doczesnymi ukształtowaną moc. — Chcesz być dobrym chrześcijaninem, czy nie? Dobrze służyć Bogu Jedynemu? W całej swojej wierze i bojaźni, i przywiązaniu bezgranicznym?

Położył dłoń na prostym, wiejskim stole, wykonanym wiele dziesiątków lat wcześniej z desek wyciosanych z oliwnego drzewa. Słońce na pogodnym jak zawsze niebie ledwie wstało, zaspane, ale pora ich rozmowy nie była wcale dziwna. Od wielu lat już wspólnie, na modlitwie i na kontemplacjach, odbywanych w eremie, przyzwyczaili się często nie spać prawie w nocy, ani też nie kłaść o świtaniu. W bezlitosnym upale górnego Egiptu ciało samo kloni się do snu w południe i tak też na ogół czynili, przesypiając w cieniu i chłodzie eremickiej swojej wspólnej celi największą spiekotę codziennego dnia.

— Zatem Jeremiaszu, musisz rozpocząć dziś nowy dzień; musisz stworzyć w sobie nowe, masz być Nowym Człowiekiem. Nie bój się, nade wszystko nie bój się i nie lękaj, niczego się nie lękaj. To nie jest wbrew Niemu, a właśnie w zgodzie z Jego postanowieniem.

— Jakże możesz mówić takiego rzeczy. Skąd ty, zwykły śmiertelnik, bogobojny, ale śmiertelnik, miałbyś znać Jego zamiary, Jego plany. Kim ty jesteś przy Nim, jeśli nie mizernym robakiem tylko?

— A prosiłem — mówił do Jeremiasza z wielką serdecznością — prosiłem, żebyś mi kochany mój pustelniku nie przerywał wciąż mojej kruchej, starczej myśli. Widzisz, postaram się, w miarę możliwości, rozwiać twoje wątpliwości, albo przynajmniej skłonić je w interesującym jakimś kierunku. — Sięgnął po drewniany kubek wypełniony chłodną o tej porze wodą. Pił przez długą chwilę, przełykając powoli. Jeremiasz wpatrywał się mimowolnie w jego regularnie drgającą krtkań.

— Sprawy mają się tak — rozpoczął, wycierając dłonią wilgotne od wody usta — po pierwsze, nasze istnienie. Po cóż, wedle ciebie, istniejemy na tym ziemskim padole? Nie, nie — wykonał ręką powstrzymujący Jeremiasza gest — nie mów, proszę. Otóż, co jest przecież oczywiste dla każdego chrześcijanina, istniejemy tu z jednego powodu głównie — dla próby. Próbę stanowi nasze życie, próbę stanowi każdy kolejny dzień.

A zatem, co dzień, bez wytchnienia, odpoczynku, marnowania czasu, który został nam dany, musimy wciąż stawać na nowo przed wyzwaniem życia, tak dokładnie jak On nam to nakazał.

Jeremiasz słuchał, już nie próbował przerywać. Jego rozmówca wstał od stołu i przechadzał się po oszczędnej przestrzeni celi. Dzień budził się na dobre podczas tej rozmowy.

— Jak to należy rozumieć? Dlaczego owych prób jest aż tak niebywale dużo? Dużo przynajmniej dla takich starców jak my, którzy dlaczegoś żyją na tym świecie siódmy czy też ósmy dziesiątek lat. Jeśli przyjmiemy — przystanął na moment, wznosząc ku górze wskazujący palec — że nowa próba rozpoczyna się dla nas choćby każdego kolejnego dnia tylko, wówczas wyjdzie nam tych prób ile? Tysiące, zapewne. Czy myślałeś kiedy, dlaczego? Nie, nie Jeremiaszu. — Wykonał gest jak gdyby chciał go powstrzymać, choć ten ani myślał mówić cokolwiek. Słuchał, z natężoną uwagą. — Pozwól, że to ja spróbuję znaleźć odpowiedź za nas obu. — Kontynuował wędrówkę.

— Otóż, nasze życie takie długie, z tyłu dni złożone, bowiem On chce, życzy sobie, żebyśmy sprawdzali się nie w jednej, a w tysięcznych próbach, w tysiącach dni, świtów, zdarzeń, mniej lub bardziej istotnych. I po co? I po co to Jemu? Tak, słusznie — rozmawiał teraz już tylko ze sobą — to jest źle postawione pytanie. Oczywiście, masz rację. — Przystanął przed ścianą celi, jak gdyby w tym właśnie miejscu znajdował się jego rozmówca.

„Z kim on rozmawia?” Pomyślał Jeremiasz z przejęciem.

— Oczywiście, że Jemu wszystkie te próby, którym jesteśmy poddawani, nie są zupełnie, ale to zupełnie do niczego potrzebne. Czy nie wie wszystkiego o nas, nie wie z góry, z wielkim wyprzedzeniem? Po co zatem?

— Ależ tak, oczywiście! Próby są dla nas samych. Po to, abyśmy mieli szansę poznać samych siebie, poznać nasze myśli, uczynki, pragnienia; w konsekwencji, abyśmy mogli poznać

także Jego, który jest obecny w każdym z nas. — Nie przestawał chodzić, ale przez dłuższą chwilę robił to w milczeniu.

— Wiele jest pytań, nieskończenie wiele. Przenigdy człowiek swoim mizernym, ludzkim rozumem nie ogarnie nawet ich drobnej części. Nie ogarnie, ale też nigdy nie wolno mu ustępować przed niemożliwym, poddawać się; zawsze powinien mieć odwagę. Tak, myślę, że z cnót najbardziej Jemu miłych odwaga jest pierwsza, przed wszystkimi innymi. Odwaga poszukiwania prawdy, odwaga dążenia do dobra, odwaga odnajdywania piękna; nade wszystko, odwaga bycia, pokonywania naszego własnego strachu. I pamiętaj! Zawsze, zawsze i wszędzie chodzi o jedno przed innymi, o prawdę! Bez ceny, bez targów. — Stań tuż przy stole, rozłóżwszy dłonie w geście sugerującym pewność dojścia do najślusniejszego wniosku.

— Gdyby wszyscy byli przeciw; gdyby mówili co dnia i w godzinie śmierci twojej nawet: patrzcie, wypowiadał się ze wszystkich innych grzechów, oprócz owego jednego, który przemilczał, tego natręctwa swojego, ułudy goniącego za rzekomą prawdą, wątpienia we wszystko, co nauka bezsprzecznie ustaliła, tobie nie wolno poddać się, a iść zawsze za głosem sumienia, za głosem rozumu. Nie dbając o konsekwencje. „Przyjąwszy przeto sakrament, w Jego oczach pozostać grzesznikiem.” Tak, być może, będą o tobie mówić bracia twoi i bliźni; i z wielkim uczczeniem (bo jakże inaczej) chować cię będą, ale niejeden pomyśli: „Jakże to z jego ciałem będzie? Czy ziemia przyjmie go w swoje łono? Może on, taki pobożny i za życia godny, a jednak w piekle cierpieć będzie, póki Bóg Bogiem? Bo czy nie upadł on w nieczyste pragnienie, za które nigdy, przenigdy pokuty prawdziwej nie uczynił, i dlatego teraz wrzuconym będzie w płomień pałający, bez nadziei, a jego cielsko nieczyste nie w ziemi świętej, a w gnoju tylko złożone spokój odzyska? Czy ten, który prawił, że przez życie prostą, a nieugiętą ścieżką iść trzeba, nie bacząc na inne, tylko na swoją wolę, czy ten zasługuje w swej pysze na lepszy los?”

— I widzisz, i tak będą mówić, a jeszcze więcej, w obawie twojej bogobojności. Na tych zważać nie możesz. Nie przystoi człowiekowi korzyć się przed małością, bo nie do małości został powołany.

— Ja przecież stary — łzy spływały po Jeremiaszowej brodzie — jakże ja, w moim wieku.

— Wiem, wiem przecież, żeś stary — położył dobrotliwą swoją dłoń na ramieniu Jeremiasza — jako i ja, ale...

Odległy jeszcze stukot końskich kopyt po ubitym gruncie przerwał ich rozmowę.

— Ojczy, ojczy ukochany — młoda, wiotka dziewczyna w białej zwiewnej tunice zeskoczyła z zaprzęzonego w parę koni wozu i biegła w kierunku starców, którzy ukazali się w odrzwiach celi — tak bardzo ciesząc się na twój widok, ojczy! — Zawahała się, zwolniła ledwie kilka metrów przed nimi, i teraz szła w ich kierunku już statecznie, niemal.

— Co za radość dla mych starych oczów! Bądź błogosławiona miłości moja. Czy przyjechałyście z matką? — Spojrzała w kierunku wozu mrużąc oczy. — Mam nadzieję, że z matką... aż z Aleksandrii, do mnie, do starego przyjaciela?

— Ech, co tam podróż, wiesz przecież ojczy drogi, a Nil jest zawsze taki piękny, dostojny, spokojny. Całkiem jak ty, ojczy. Przyjechałyśmy, bo, bo... dzieje się coś ważnego!

Bardzo była wzruszona.

— Widzę, widzę — próbował odganiać się od jej frenetyczności trochę jak od uprzykrzonego owada — pozwól, że przywitam najpierw twoją szanowną mamusię.

Erem leżał na skraju wielkiej pustyni, w cieniu nielicznych, rachitycznych cyprysów i figowców. Nie było to miejsce bardzo

przyjazne człowiekowi, ale nadzwyczajnej urody. O ileż łatwiej chwalić w takiej scenerii Jego Dzieło, czuć Jego bliskość, obecność.

„Czy przystoi w takim miejscu wieść życie zakonne?” Myślał o tym po wielokroć. „Skąd u ludzi ta wieczna skłonność do wygody, pogoń za sprawami doczesnymi?”

Nawet on, wielki jak mawiano, asceta, nie potrafił uchronić siebie przed płochością świata. Od rzeki powiało orzeźwiająca wilgocią. Mimo woli wchłonął ją w nozdrza, łapczywie. „Czy po to stworzył Bóg przyjemność, abyśmy mieli wystrzegać się jej zażywania?” Tego rodzaju niemądre, przekorne myśli nawiedzały go ostatnio nieustannie.

— Zatem — siedzieli w cieniu rozwieszonoego pomiędzy trzema palmami baldachimu — chcesz usłyszeć co myślę o twoim postanowieniu? — Skinęła głową.

„Dlaczego On to robi? Dlaczego? Po cóż istnieje to piękno? Czy gdyby siedziała teraz przede mną dziewczyna mniej śliczna, mniej inteligentna, a może tylko nie tak ładnie ubrana, pachnąca, czy rozmawiałbym z nią z równie wielką ochotą?” Pod warstwą szczerego uśmiechu, przemknął spóźniony cień myśli poprzedniej, drażniący.

— Jakże wielki jest skarb, który wypełnia nasze dusze, a którego spożytkować nie potrafimy.

— Nawet ty ojczy?

— Co znaczy „nawet”? — Uśmiechnął się. — Pamiętaj, że wobec Niego wszyscy jesteśmy tylko dziećmi. Małymi. — Zamyślił się.

— Musisz mi z góry wybaczyć jedno. — Po dłuższej dopiero chwili wrócił do przerwanej nagle rozmowy.

— Tak? — Zabawnie przechyliła główkę niby już młodej bardzo kobiety, a jednak dziewczęcia jeszcze.

— Bo widzisz, chcę dzisiaj, właściwie nie bardzo wiem dlaczego, ale — skupiona, choć wciąż uroczo uśmiechnięta, nie

spuszczając wzrok z jego twarzy — chcę dzisiaj rozmawiać z tobą jak...

— Jak z dorosłą? — Nie mogła się powstrzymać, choć wiedziała przecież, że zaraz spłynie na nią jedno z wielu karcących spojrzeń.

— Masz ledwie piętnaście...

— Prawie szesnaście...

— ...lat i jesteś jeszcze właściwie dzieckiem, więc powinienem z tobą rozmawiać jak z dzieckiem właśnie. Nie! Co ja wygaduję. Wcale nie to chciałem. Nie przerywaj mi, ur-wi-sie — wysylabizował, choć nie powiedziała nic, wcale — mnie staremu. Otóż, bynajmniej nie chodzi o twój, dziecko, wiek. Gdyby nasze pojmowanie świata i rzeczy na nim istniejących było uzależnione od ilości wiosen, jakie na tymże świecie przeżyliśmy, byłabyś już — spojrzał błyskiem żartu — dość leciwą damą, moja droga. Tym niemniej, nie jestem pewien czy nie ukrzywdzę cię tą rozmową. Nie wiem. — Opadły go wątpliwości.

— Ojczy, ojczy drogi — spojrzała z prośbą — nie bój się o mnie. Przecież wiem, że jestem na początku ledwie drogi prawdziwego poznania. Ale chcę, pragnę całą duszą. — Wiedział już, że ulegnie.

— Powinienem ci, moje dziecko, opowiedzieć wiele. Wybór, jakiego dokonujesz, odrzucenia małżeństwa i pozostania w błogosławionym stanie dziewictwa, jest i miły bardzo Bogu, i wymagający świadomej refleksji. Powinienem zatem nieustępliwie dążyć do wyjaśnienia ci, drogie dziecko, w czym tkwi piękno i powaga drogi, jaką sobie w porywie czystego swojego serca obrałaś. Winienem ci wiele słów, doprawdy. Choćby o powodach, dla których pozostanie w czystości dziewictwa miłsze jest i bardziej cenne, i na większą nagrodę zasługujące aniżeli małżeństwo, i z owym związane rodzicielstwo także. Powinienem to wszystko mówić i wiele innych rzeczy jeszcze, słusznych i mądrych, głębokich i wzbogacających twoją czystą naturę; winienem to wszystko mówić, ale nie wiem po

co; nie ma we mnie przekonania. To by właśnie było jakbym do dziecka mówił, nie do ukształtowanej już w pełni osoby. — Skłonił głowę i zatopił się w myślach.

Nie przerywała mu, czekała, cierpliwie; długo czekała.

— Co dzień wstaję rano, klękam przed krzyżem mojego Pana i próbuję na nowo przeniknąć Jego intencje. I to jest może najpiękniejszy moment dnia każdego. Być przed Nim i zagłębiać się w poszukiwaniu odpowiedzi, w łaknieniu prawdy. Prawda to piękno, ale nie o nią chodzi. Nie o samą prawdę, a o drogę do niej prowadzącą. O jej odkrywanie, poszukiwanie. — Wpatrywał się z napięciem myśli w jej zasłuchaną twarz.

— Widzisz dziecko, gdy tak wpatruję się w Jego mękę, dręczy mnie zawsze jedna myśl. Czy Jego nakazy, przykazania to jedyne co do mnie mówi. Czy nie oczekuje ode mnie czegoś więcej, znacznie więcej?

— Nie chcesz — mówiła cicho, bardzo — nie chcesz być po prostu nagrodzony? Nie wystarcza ci to? — Odważyła się dotknąć jego leżących na stole, splecionych dłoni. — Czy to jest właśnie pycha rozumu?

— Pycha, tak. Niewątpliwie. Pięknie to powiedziałaś. Widzę, że wiesz o czym mówię.

— I ja myślałam wiele. Kara, nagroda to narzędzia wychowania. Ale czy wychowanie nie odnosi się głównie do dzieci, a więc do tych, którzy jeszcze nie dorośli. I dlatego jakże często mówi się nam dzisiaj: wszyscyśmy dziećmi jednego Boga, Ojca naszego. I to jest oczywiście prawda, ale...

— Ale przecież nie dotyczy nas wszystkich, czy nie? — Wszedł w jej słowa mimowolnie, nie zdając sobie sprawy z tego co robi. Był urzeczony, zachwycony mądrością płynącą z ust tej jakże niedorośleń wciąż jeszcze niewinności.

— Dokładnie, dokładnie. — Poczul palce zaciskające się na jego starczych dłoniach. — Bo czy dążenie do prawdy i do zawartego w niej piękna samo tylko, samo w sobie nie wystarczy

do naszego spełnienia? Skoro niepotrzebne są kary, niepotrzebne są nagrody, gdzie sięgać może człowiek? Ile może? — Mówiła żywiolowo, z pasją; zamilkła, spłoszona.

Uśmiechnął się, uśmiechnął do jej płochości jeszcze i jej przestrachu teraz. Chciałby bardzo pogłodzić ją po tej mądrej, pełnej roztropności główce, przytulić, okazać jak bliska jest jego sercu, ukochana.

— Trapisz się tym, czuję to w sercu. — Przemówił swoim łagodnym, spokojnym głosem. — Boisz się, boisz moje dziecko, że odkrywając w sobie potęgę, wolę wyzbytą wszelkich więzów, możliwość samodzielnego odkrywania prawdy, piękna, że utracisz to, co jest w tobie najdroższe, że utracisz Jego. Ale nie bój się moje dziecko, nie lękaj się stanąć przed Jego obliczem z podniesionym wysoko noskiem i powiedzieć: oto ja.

— A jeśli...?

— A jeśli boisz się pychy swojej, tego że za jej sprawą wyda ci się On może niepotrzebny w twoich ziemskich sprawach, zbyt odległy, obcy; może nawet... — urwał — pamiętaj o jednym, pamiętaj po jakiej ziemi stąpasz i rozglądnij się po prostu wokół, a wówczas korność rychło wróci do twojego spłoszonego serca. — Rozpostarł ręce, zakreślając nimi szeroki krąg. — Jeśli zwątpisz, kiedykolwiek, jeśli choćby cząstkę tylko wiary swojej utracisz, nie martw się, nie lękaj, a przystań na moment, rozejrzyj się wokół, wnikiwaj w niepoznawalne, w cud wszechwieczny tajemnicy, która zewsząd nas otacza.

— W tajemnicę?

— Tak, droga moja, właśnie w nią. Jeśli kiedykolwiek wydasz się sobie zbyt wielka, zbyt mądra, i przez to osamotniona; gdy zapragniesz, gdy łaknąć będziesz powrotu do malleńkości swojej, wówczas spójrz na cyprysy i na palmy, tam, na wzgórzu, i na piętrzący się z tamtej strony wydmami aż po horyzont piasek, uprzykrzony ten dar natury, co mówić czasem nie pozwala i nawet oddychać; i wzbij oczy swoje młode w górę, lub oczy swoje stare doświadczeniem, gdy czas jaki upłynie,

i wejrzyj na lazur jasny, wesoły, słońcem rozpalony; i spójrz na nieboskłon mroczny, ożywiony miriadami diamentów, obiecujący, kuszący, przeraźliwy mocą swoją niezgłębioną, a jednak dający w potęgde swojej nadzieję. I wtedy, już jako pyłek miły, poczujesz ciepło w sercu i bliskość Jego, obecność, i wspomnisz moje słowa, może.

— Czytasz w mojej duszy!? Widzisz! Widzisz to wszystko, cały mrok w niej zapisany, strach; a jednak ty nie boisz się, nie lękasz fałszywych ścieżek? Czy tak można, czy znajdę dość siły?

— Nie bój się, bądź mężna, bo On tego właśnie od ciebie, od nas wszystkich oczekuje.

— Wszystkich?

— Ach, nie łap za słowa. Wiesz dobrze, co mam na myśli. W niezgłębionej swojej mądrości ma wobec nas plan; niewyobrażalnie wielkie zadanie.

— A więc jest cel, cel tego wszystkiego, nie tylko... zbawienie?

— I kto tu w czyjej duszy czyta? — Zamilkł na krótką chwilę, na jego twarzy pojawił się nieznaczny skurcz. — Widzisz moja droga, jesteśmy niczym ziarnko piasku porwane falą wzburzonego oceanu, i tym tylko od owego ziarnka różnimy się, że mamy, mamy, choć ona bardzo wątła, umiejętność wnikania w sprawy tego świata. Myślimy, czujemy, czasem nawet wydaje nam się, że wiemy. Mówię to wszystko dla jednego: aby zaznaczyć nikłość tych wysiłków, omyłność. Nie wiemy przecież prawie nic, a chcemy zgłębić największe tajemnice.

— Więc nigdy nie będziemy prawdziwie mądrzy?

— Tego, dziecko moje, nie wiem. Wiem za to, wydaje mi się przynajmniej, że plan, w którego wykonanie zostaliśmy wpisani, plan Boży, nie rozgrywa się na jednej płaszczyźnie materii. Czy mi się zdawało, że skłonna jesteś bagatelizować akt zbawienia? Słysząc, wybaczyć, w twoich słowach lekkomyślność. Nie myśl tak, proszę. Nasze tu i teraz, i cel naszego istnienia na ziemskich łez

padole to sprawdzian naszego człowieczeństwa, naszego ja. O tym nie wolno zapominać, nigdy. A jednak, masz trochę racji, moje dziecko. On postawił przed nami o wiele większe zadanie jeszcze, choć nie wiemy jakie.

— Apokalipsa? Czy do niej powinniśmy się przygotowywać? Do walki ostatecznej?

„Kim ona jest?” Myślał. „Czy jej obecność tu, jej pytania, słowa, nie są po prostu danym mi znakiem?”

— Czasem dziwnie układa się rozmowa. — Odezwał się po chwili. — Od jednej, wątłej dziewicy i jej kruchego, czystego sumienia, dochodzimy oto właśnie do spraw wielkiego świata. Cóż to? Megalomania? Pycha rozbudzona nieprzyzwoicie? Jeśli się zastanowić, pochylić na tych sprawach, okaże się rychło, że jedna od drugiej, obie pospołu, wcale nie są od siebie tak znowu odległe. Walka ze złem, walka z szatanem, czy walczymy o jedno czy o milion istnień, zawsze jest tym samym. A jednak Apokalipsa...

— Jest zapowiedzią czegoś wyjątkowego, czegoś co wykracza poza nasze wyobrażenie zła?

Patrzył na nią z tkliwością. Wpatrywał się w jej młodą, skupioną twarz; chciał, pragnął przekazać jej swoimi starymi oczami to, czego w żaden sposób nie wypowiedzą słowa.

— Przyjdzie, przyjdzie czas — mówił mocnym głosem — że wymazana zostanie z ludzkiej pamięci, z ludzkiego serca, umysłu, duszy, idea Boga; nie wiara w Niego, nie pokora wobec Jego woli, ale Jego istnienie zostanie wymazane. Przestanie być. I mało tego. Także sprawca, przywódca do wszelkiego zła, szatan, lucyfer we własnej swojej szkaradnej postaci, skłoni ludzi, żeby przestali o nim mówić, żeby nie tylko powątpiewali, ale też sztychili z wiary w jego, szatana, istnienie.

— I Jezus na nowo wydrwiony, umęczony? Świat bez Boga?

— I Boga i szatana, dobra i zła. Bez pamięci Zbawiciela. Bez zasad żadnych, poza jedną tylko: wszystko wolno! Świat pozoru.

Wydał jej się w tej chwili bardzo zmęczony, stary, słaby, bezsilny prawie. I nagle w tej steranej troską twarzy ujrzała młodeńczy blask.

— Mam takie wizje straszne, nieprzystojne. Radość, śmiech, zabawę, na wysokiej wieży, a pod nią śmierć, trupy, rozkładające się ciała, odór, smród rozkładu. I ci ludzie, straszni, mówią do mnie: Dlaczego się nie cieszysz, nie radujesz? Przecież jesteśmy wolni, wolni! Rozumiesz, starcze? A może jesteś wrogiem, przeciwnikiem naszej wolności? Tak mówią, i nawet szarpią, złorzeczą, plują. A z ust ich przemawia ten, którego rzekomo nie ma już, nie będzie. I w takim świecie przyjdzie żyć ludziom, ludziom może takim ja my dwoje, siedzący dziś przy tym skromnym stole. Wiem jedno, musimy budować, wciąż budować od nowa fundament naszej wiary. Musimy przygotować świat.

— Co zatem mamy czynić? — Ujrzał w jej oczach wiarę i oddanie, i moc.

— Jedno tylko — trwać! Co dzień dawać świadectwo, mieć śmiałość w sobie i szczerłość, i prawdę. Nie bać się.

— Przysłuchiwałem się dzisiaj waszej rozmowie. — Leżeli na drewnianych pryzkach, ustawionych pod przeciwległymi ścianami ich skromnej celi. Głos Jeremiasza, właściwie ledwie słyszalny szept, niósł w sobie cień wyrzutu.

— Słuchałem i słuchałem, z narastającym zdziwieniem. Nie, nie; z przerażeniem. — Podniósł się na swoim legowisku, ale całkiem nie usiadł. — Jak ty możesz? Jak mogłeś rozmawiać tak z tą dziewczyną, przecież... — Usiadł, dotykając klepiska gołymi stopami. — Przecież to było, to jest tak, jak gdybyś... — bał się powiedzieć zbyt wiele, nie był pewien. Nie był pewien czy tak wolno, czy ma rację.

— Jeremiaszu, kochany mój. — Jego brat i towarzysz hipnotyzował, jak zwykle, dobrocią mądrego słowa. — Życie jest nieustającą wędrówką, pociągającą, przykuwającą nas może zbyt do spraw doczesnych, a jednak, tym właśnie prostym naszym życiem, możemy przygotować fundament, skałę prawdziwą, na której, kto wie, wesprze się w przyszłości może świat, może jeden tylko człowiek.

— Nic znowu nie wiem. Dlaczego zawsze tak błądzę? — Wyszepiał z rezygnacją.

— Zdaje ci się tylko. A może nadmierna jest twoja pokora. Zdziwisz się pewnie tymi słowami, ale nie wiesz szczególnie mniej, i szczególnie więcej od innych. I ja przecież błądzę.

— I ty? Krynica mądrości? I ty nie potrafisz znaleźć odpowiedzi?

— Nie nazbyt. Może tyle tylko, co zapisano w Piśmie dla umiających czytać. A zapisano słowa straszne. — *Przyjdą dnie ucisku, jakie nie były od początku stworzenia, powstanie naród przeciw narodowi, królestwo przeciw królestwu, nastąpi obrzydliwość spustoszenia i ludzie schnąć będą ze strachu.* — Znasz słowa Pisma. Znasz i może nawet — spojrzął znowu swoimi łagodnymi oczami — rozumiesz. Ale — zawahał się na krótki moment — czy na pewno wiesz co znaczą? O czym tu mowa? O wielkim spustoszeniu, klęsce, cierpieniu? Ależ tak, i o tym. Wiesz jednak, co jest ważniejsze od tego opisu? — Spojrzął na Jeremiasza łagodnymi oczami. — To perspektywa. Czasowy dystans. Pismo mówi do nas, przemawia: przygotujcie się! Czas jest dany, rozumiesz? Dany nie po to, żeby zamartwiać się z wyprzedzeniem, ale żeby już dziś budować przyszłe szańce. — Zamilkł. Zamyślił się. — Teraz już postaraj się zasnąć, śpij. Musisz dobrze wypocząć przed jutrzejszym.

— A co przyniesie jutro?

— Dzień, po prostu, kolejny, dany nam dzień.

XII

LITWIN

Pewnie każdy (tak myślę, że każdy) ma czasem taki sen; sen wyjątkowy, całkiem do innych niepodobny; właściwie — nie sen, a jakby jawę, tylko po drugiej stronie, w innym wymiarze. Sen, który zdaje się być nam bliższy, bliższy naszemu... naszym sprawom wszystkim, aniżeli najoczywistsza nawet rzeczywistość, gdziekolwiek taka istnieje. Gdy już pojawi się w naszym śnie taki sen, nie odchodzi po prostu, jak inne, wraz z przebudzeniem, zostaje. Przestaje być snem; i staje się jawą, choćby od życia najodleglejszą.

Czy to był sen tylko? Czy istotnie?

Po zapachu poznał, że to inna ziemia, inny ląd. Nie jakieś tam, bez aromatu kaszubskie, wielkopolskie, mazowieckie so-

snowo-świerkowe, mchem doprawione, rachityczne zapachy. Oaza życia, natura własna, do której wraca się zawsze, choć nie zawsze własną swoją fizycznością, ma w sobie coś, czego nie powtórzy żadne, w szerokim świecie osiągalne, sensualne wrażenie. Zapachowej pamięci nie oszukasz. I nie musisz nawet otwierać oczu. Bo i po co? Czy przyjemność nie większa jest, gdy skupimy się na jednym wrażeniu, jednego użyjemy zmysłu. A zapach sam? Wiemy dobrze — w życiu bywa smrodem tylko, a jednak czasem przeradza się w coś naprawdę cennego — do czego chce się wracać, choćby nie wiem co, choćby za nami goniło tysiące spraw pobocznych, zwłoki nie cierpiących; chce się i już.

Śmiało szedł przez uroczysko, stąpał jak wytrawny, doświadczony mieszkaniec pośród drzew. Trzy lata spędził w tej kniei, dzień i noc, w spiekotę, słotę, w rzeźkość porannego przy-mrozka, i wówczas, gdy pierwsze płaty śniegu pokrywały nie-udolnie przykryte, nagie stopy; w mróz trzaskający, pękający drzewami, w sztukaterii z mchu obrastającego starożytne konary zmurszałych powalonych drzew — zdołał się przez ten czas z lasem, on — skończony przecie mieszczuch, jaśnie pani-czyk — zaznajomić.

Cisza nigdy nie jest ciszą. Szczególnie w lesie, w nocy nie jest. Przystawał co paręnaście, parędziesiąt kroków — nasłuchi-wał. Nie, nie z obawy. A z przezorności tropiciela, który w każdej chwili może stać się zwierzyną. Las, ten właśnie las — dom le-śnych żołnierzy, kiedyś walczących o swoje sprawy, stał się nie azylem, a miejscem kaźni. Po lesie grasowały niezliczone bandy poubierane w sowieckie mundury, tropiące najdrobniejsze choćby odruchy oporu; nie, nie oporu tylko, a braku szczerego entuzjazmu; radości z powrotu na łono sowieckiej władzy; tego, że znów mogą być okradani, mordowani, gwałceni; że się ich z dnia na dzień pocznie przekształcać w bezduszną, zmechani-zowaną, bezkształtną masę.

I nie to było najgorsze, ale ta ich swojacka przebiegłość; ten nie schodzący prawie z mordy grymas uśmiechu, gdy zabierają wszystko, krępują ręce, usta; gdy każą schodzić do piwnicy, w ostatnią ziemską drogę; albo gdy oddzierają pasy w lesie z żywego jeszcze ciała.

Dla resztek wojska, leśnego wojska, wojska zagubionego w wojennej przestrzeni, które nigdy na dobrą sprawę nie dowiedziało się do kogóż, w pierwszej kolejności, wypada strzelać, dla tych resztek najgorsza była prowokacja; prowokacja powszechna. Wróg powołał na tym terenie dziesiątki, setki może, poprzebieranych niby partyzantów — leśne oddziały pretendujące jakoby do walki z bolszewikami. W rozpacz braku nadziei, czyjegokolwiek wsparcia, w nienawiści przemieszanej z poczuciem bezsilności, gdy z niedostatku zwykłych środków łączności, ryzykuje się o wiele bardziej niż zwykle się to robić podczas „normalnej” wojny, prowokacja zbierała żałobne żniwo. Ginęli żołnierze, ginęli ludzie dający im schronienie; trupy pomordowanych gniły wystawione na widok publiczny, ku przestrodze mieszkańców; nierzadko zbrodni dokonywali nieznani sprawcy, a szczątki ludzkie pozbawiane były głowy, i te głowy znajdowane były później, czasem znacznie później, gdzieś w lesie, na skraju wsi niekiedy.

Najniepotrzebniejsza nadprodukcja horroru. Bo czy można bardziej przestraszyć kogoś, kogo już dawno ogarnęło przerażenie bez miary?

Nie, nie całkiem przyjemnie było w tej Ojczyźnie. Czy zresztą była to wciąż jeszcze jego ojczyzna? A może trafniej byłoby powiedzieć, że jego ojczyzna przestała istnieć? Bo czy mogło nią być to miejsce jeszcze, ten czas?

Jakże tak mógł pomyśleć?! Cóż za afront? Ojczyzna, prawdziwa ojczyzna nie wybacza zawahania, zwątpienia, braku wierności! Nie stać jej na marnotrawienie miłosierdzia dla dusz błędzących, w cynizmie niepohamowanych.

Powoli zbliżał się do celu, do własnego w lesie domu; właściwie nie domu, a letniej dachy pobudowanej przez kogoś na skraju lasu, przy ruchliwej czasem drodze, w miejscowości, którą dłaczegoś zaczęto przed wojną uznawać za lotnisko. Zatrzymał się tuż przy furtce, nasłuchiwał. Nie było nikogo w tym domu tak niegdyś gwarnym, wesołym, w którym życie toczyło się w całkiem innym wymiarze. Furtka skrzyknęła jęklonie, jak każda niemal furtka na świecie; lekki dygot serca, przelotne zawahanie. Nie, nie wypłoszył żadnych strachów. Żaden też mądry kruk nie wzbił się na przywitanie w powietrze, nie usiadł na ramieniu.

Postanowił zejść od tyłu, zawsze tak robił. Tuż za węglem stawał się inny świat. Niewielkie, skromne podwórko, między drewnianym piętrowym domkiem i ni to stajnią, ni budynkiem gospodarczym porastała bujna trawa. Był u siebie, w swoim doczesnym raju; w blasku księżyca widział wszystkie przedmioty z nieziemską dokładnością, w poświęceniu.

Jakże niewiele trzeba.

Usiadł na skromnej, pod drewnianą ścianą domu przymocowanej ławeczce i odetchnął nieprzyzwoitą radością. Był w centrum świata najintymniejszego. Plecami opierał się o dom własny, przed sobą widział zieleń, dziczące krzaki wiśni po prawej, obudowaną drewnianymi belami studnię, nawinięty na kołowrót zardzewiały łańcuch. Wszystko. Prawie.

Gdybyż tak jeszcze przybiegł Niutek, jego pies. Mógłby pogłodzić go po lśniącej sierści, ująć w dłonie pysk ufny, spojrzeć w najwierniejsze oczy, nakarmić tym, co w domu do zjedzenia pozostało. Zamerdałby Niutek ogonkiem jak dawniej. Oparłby drżące szczęściem łapki na kolanach pana.

Ocknął się z odrętwienia wspomnień. Przeszłość, idealizowana, bywa nie do zniesienia. Poza wszystkim, nie nostalgia przygnała go w te strony. Furtka zaskrzypiała po raz drugi już tego wieczora, cikliwie. Miał gościa. Rozradowany, młody, niewysoki mężczyzna szedł śmiało w jego stronę.

— Oczom nie mogłem uwierzyć, gdy zobaczyłem twoją wiadomość. (Znak jakiś, na rozstaju. Czy ważne?!)

— Witaj, niewierny... — Uścisnęli sobie dłonie. — Widzisz, jak nas życie potrafi zaskakiwać. Myślałeś, że co? Żem maślak i do własnego domu przybłąkać się nie potrafię? Dobrze posłuchać czasem starego przyjaciela.

— Ale czemu, czyżby coś się w końcu ruszało? — Sławek spojrział na Janka z nadzieją, naiwną. Siwe na czubku głowy włosy połyskiwały w błękitnawej iluminacji księżyca. Było coś magicznego w tej scenerii.

— Wyłącz nadzieję. — Janek nie silił się na ironię, ale tak jakoś samo wyszło. — Nadzieja w ogóle jest do dupy, a dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Nie przyjechałem z żadnymi pieprzonymi rozkazami, nie łudź... to może i lepiej — zmiłogował nieco napięcie nerwów — bo widzisz, dzisiaj jedyny rozkaz jaki można usłyszeć, to rozkaz kapitulacji. Nie, nie kapitulacji — poprawił się — nie kapitulacji, a zdjęcia gaci i wypięcia dupy na cały kosmos, na wszystko. To się, mój drogi, nazywa próba powrotu do normalności! Skurwiały świat. A ja, widzisz, nie chcę, żeby mi przeciąg historii jaja wyziębili. Pass! Nie chcę, słyszysz?

— Wiele popłynęło wody w naszej Wilejce, wiele. — Sławek przyglądał się Jankowi z udanym zadziwieniem. — Usłyszeć to od ciebie? Nie, nie słowa, ale ich formę? Nie potrzebujesz wiele więcej tłumaczyć, ale... widzisz — swoimi drobnymi, dziecinnymi prawie dłońmi zagarnął do tyłu przydługawe włosy — nie chodzi o klęskę; nie ona pierwsza, ani jedyna. Idzie o to z gruntu skretyniałe założenie, że to koniec, absolutny, nieodwracalny. Wiem, nikt ci tego w twarz nie powie, przeciwnie. Będą opowiadać do znudzenia, o szansach, perspektywach, horyzontach, że tam jaki Naród nie pozwoli, naród, widzisz, koniecznie z dużego „N”. Idiotyzmy. Wszyscy wiedzą, że mrzonki, wszyscy, a naród? Naród tymczasem będzie sobie gnił, gnił i przeradzał się w zarazę, a w przyszłości, któż wie, stanie się być może tej zarazy forpocztą.

— Co zamierzasz? — Janek próbował zawrócić rozmowę na drogę konkretnie, naiwnie.

— Żałuj, żałuj, że nie widziałeś na własne oczy. Całego tego cyrku, w pełnym słońcu. Żałuj, że nie byłeś wtedy z nami. A zresztą, wybacz. Źle mówię. Wcale mnie nie cieszy, że nie spotkała ciebie ta przyjemność niewybredna braterstwa broni z sowiciarzami. A może to głupota była tylko? — Myśli wędrowały po głowie bez wyraźnego ze sobą związku. — Wyobraź sobie, dajmy na to, Kraków w roku 1241. Widzisz, że pod twoje miasto, święte miasto wróg straszny podchodzi, może najstraszniejszy w dziejach całych; chce je zdobyć. Czy nie oczywiste, że dla siebie? I co robisz? Czy pomagasz mu, czy raczej bronisz siebie, mieszkańców, kobiet, dzieci?

— Jak tu jest teraz?

— Czasem pytać nie jest dobrze, niedobrze. Nie chcesz wiedzieć. Nie chcesz, a ja nie mam w sobie dość okrucieństwa, chociaż... — zachwiał się głęboko, aż zajęczała ławka pod nimi. — Może chcesz się przespacerować dzisiaj, teraz, do naszego ukochanego..., wybacz, trochę piłem... piję teraz czasem, to odpręża.

— Czasy się zmieniają i ludzie też. — Nie wiedzieć skąd przyszedł mu ten banał. Może był zły na Sławka, może bardziej na siebie.

Po drugiej stronie pola, którego skraj rozpoczynał się ledwie kilka metrów za studnią, zamajaczyły jakieś postacie. Było późno, zbyt późno na gospodarską krzątanie. Wyjątkowa wizyta? Ruch przy sąsiedzkim obejściu intrygował Janka, należało działać, to jasne. Sławek powstrzymał go ruchem ręki.

— Daj spokój. Nie ma po co. Twoi sąsiedzi uciekli, jeszcze onegdaj, wiem nawet dokąd, jeśli ci na tym zależy. Znasz Szwedzkie Groby? To w tym lesie, za Dusiniętami. Czemu uciekli, nawet nie pytaj. Może to przez twoją sławę, leśnego watażki, a może po prostu milicja, czy nkwid tam jakie, w dusze im zajrzało niedyskretnie? Ci tam — głową wykonał nieznaczący gest

— to przebierańcy, sowiecka banda, nawet nie tutejsza, udają naszych, a jakże. Miałem ich wcześniej sprzątnąć, ale jakoś nie nawinęli się do tej pory. Spokojnie, idzie ledwie kilku w naszą stronę. Nie musisz nawet wyciągać swojego colta, kowboju. — Mówił teraz spokojnie, niedbale cedząc słowa.

Zbliżało się, istotnie, czterech, w rogatywkach z orzełkiem, orzełki w koronach, na lewym przedramieniu biało-czerwone opaski, przez ramiona przewieszzone automaty, lufami w dół, niemieckie.

— Ale ja... — Janek poczuł się odrobinę niepewnie — ja nie mam przy sobie nawet pistoletu. — Szeptał. — Czy to na pewno? — Czterech zbliżało się, człapiąc chwiejnie poprzez pole porośnięte kapustą i chwastem.

— Na pewno, na pewno. Pokażę ci jak tu się teraz walczy... — nie dokończył. Pierwszy, z szerokim uśmiechem na dziarskiej twarzy, przechodził obok studni. Strachu nie było po nim widać, raczej pewność siebie, pewność przyczajoną, gotową do skoku w każdym potrzebnym momencie.

Drugi z intruzów stanął nieco z boku, pozostali dwa kroki z tyłu, odrobinę w lewo. Napięcie ich ruchów zdradzało tajone nerwy. Z armadą gwiazd ponad głowami, w z lekka niebieskawej poświacie księżycy, tuż przy tej studni nadgryzionej wojennym czasem, wyglądali jak postacie z mrocznej legendy. Pierwszy z nich postanowił się odezwać.

— Cześć chłopcy! — Zagaił, nie znając własnego przeznaczenia. — Macie może...

Tego co się dalej działo Janek nie zarejestrował swoimi zmysłami precyzyjnie. Przyjaciel, dokładnie jak przed chwilą, siedział niby wciąż, niedbale, na swoim skrawku ławki, z lewą dłońią na cholewie buta opartego na udzie w sposób — trzeba przyznać — z gimnastycznego punktu widzenia, niezwykle. Jego prawej dłoni, schowanej w kieszeni obszernej skórzanej kurtki, nie widział Janek wcale. Usłyszał i poczuł huk pierwszego wystrzału, błysk, szarpnięcie; odruchowo złapał dłońmi równo-

wagę na krawędzi ławki. Błysnęło przez myśl, że Sławek siedzi dokładnie tak jak siedział przed ułamkiem chwili. Drugie szarpnięcie, huk, i kolejne, i jeszcze jedno w odstępach mniejszych, znacznie mniejszych niż sekunda. Stojący, ledwie przed momentem w pozach niemal nonszalanckich czterej młodzi ludzie, skręcali się teraz, poruszali w epileptycznym rozedrganiu, każdy w indywidualnym swoim przedśmiertnym odruchu. Skręcali się i padali, na przeznaczonym sobie skrawku unurzanej w chabrowym blasku trawy. W ogłuszeniu wystrzałami nie słycać było jęków. Sławek podniósł się z ławki elastyczno-stalowym ruchem, wyszarpując z kieszeni kurtki rewolwer o długiej lufie. Kolejno podchodził do każdego z czterech fałszywych żołnierzy i wystrzałem w głowę pieczętował wydany przez siebie wyrok. Przy ostatnim doładował bęben nagana.

Janek zastygł w niemym paraliżu postronnego tylko obserwatora. Nie wiedział czym zdumiewać się bardziej: sceną, która rozgrywała się jeszcze przed jego oczami czy własnym zaskoczeniem. „Czy nie na tym to właśnie polega? Czy nie musimy być właśnie równie stanowczy w działaniu? Czy to nas nie upodabnia do tych zwierząt?” Krew wypływająca z wciąż drgających trupów wsiąkała w ziemię. Widział to wszystko, widział wytrzeszczonymi szokiem oczyma. Wewnątrz czuł wciąż napięcie zaskoczeniem. Nie był pewien czy to prawda. Sławek podszedł na odległość kroku.

— Tak to wygląda dzisiaj. — Mówił ze smutną rezygnacją. — Mordujemy naszych wrogów, jak to się kiedyś pięknie mówiło, bez pardonu. My ich mordujemy, kiedy tylko nadarzy się okazja, oni nas zarzynają, to znaczy nas, nasze rodziny, znajomych, wszystkich. Zarzynają, katują, co wolisz. Mielą to później wszystko w maszynce do mięsa ludowej propagandy. Nie tylko ciała. — Chciał przysiąc na ławce, ale rozmyślił się.

— Widzisz, jak tu teraz stoimy przy tej bolszewickiej padlinie, ty i ja, powie kto może i pewnie słusznie powie... a jednak chyba ludzie, którzy, było kiedyś... rościli pretensje do niejakiego

zrozumienia... — Poczłł nagle ogromną słabość, podjęta myśl uciekała, krnąbrna. — Co nam po tym wszystkim? Co nam z tych wszystkich wydumanych mądrości. — Zwiesił głos.

Janek patrzył przez moment na jego pochyloną teraz głowę. Znali się od tylu lat. Nie było dnia niemal bez rozmowy, bez załatwiania wspólnie jakiejś sprawy, kiedyś — aż po klęskę. Poróżniła ich dopiero operacja Ostra Brama. Obaj obstawali przy swoim.

Sławek upierał się, że jako żołnierze, nie mają prawa łamać wydanych rozkazów, choćby najbardziej niedorzecznych politycznie. Wojsko — mówił — nie może istnieć bez hierarchii, subordynacji, inaczej przestaje być wojskiem, to jasne. Istnieje jeszcze wierność; a wierność to nie cofanie zaufania! Czy Janek to rozumie? Czy Janek chce — tak pytał — żeby wojsko nie słuchoło rozkazów, przestało istnieć? Tego przecież nie może pragnąć żaden patriota. — Potrafił argumentować, celnie.

Ale wówczas wydał się Jankowi tylko naiwny. Mówił przecież same głupstwa. Żołnierz winien bezwzględnie wykonywać rozkazy, oczywiście; nie wolno mu jednak tego czynić w sytuacji jawnej zdrady. W lipcu 1944 zdrada była faktem, niepodważalnym. Czym innym jak nie zdradą właśnie było atakowanie wówczas Wilna? Wyzwalaniem? Ręka w rękę z bolszewikami?! To coś nawet więcej niż zwykła zdrada, bo zdrada wyrodzona z absurdu, z bezbożnego optymizmu, z podszeptu belzebuba.

— Nie ma takiej mocy na tej ziemi, nie ma takiej mocy w piekle ani w Niebie — Janek liczył chyba, że przekona w ostatniej chwili Sławka — która zmusiłaby mnie do tej potworności. Gdyby nawet Matka Boska — mówił — powstała ze swojego miejsca w świętej wileńskiej kaplicy i powiedziała: Idź! Wyzwalaj Wilno dla bolszewickiej idei! Odwróć się plecami, odejdę.

To było dawno, dawno już temu.

Spotkali się ledwie tydzień później w miejscu wcześniej umówionym, nieopodal drogi na Jaszuny, nad obojętnym nurtem Czernicy, między Słobódką a Korzyścią. Od rana miał

Janek dlaczegoś przecucie, że Sławek przyjdzie tego właśnie dnia. Klęska ostrobramska, jak zazwyczaj w przypadku tragicznych informacji, rozlała się już swoim trupim wyziewem po całej okolicy. Pogoda była cudna. Zaraz po śniadaniu postanowił posiedzieć nad spokojnym ruczajem. Siedział na skraju i w lodowatej wodzie moczył nogi, obmyślając dowcip jakim mógłby przywitać znękanego Sławka.

— Widzisz, przyjacielu — tak chciał zagaić wysokim tonem niby wyższości — nadchodzisz od strony Słobódki, a ta oznacza czasową tylko ulgę od płacenia zobowiązań. Dostrzegasz analogię? Przed sobą za to, a za moimi obecnie plecami, masz Korzyść i korzyść zyskujesz z każdym kolejnym swoim krokiem, korzyść mądrości. — „Cienkie i za bardzo wydumane” pomyślał z nikłym cieniem rezygnacji.

Z chaszczy porastających drugi brzeg wyłonił się przyjaciel. Usiadł ciężko po tamtej stronie płynącej strugi. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, patrzyli poprzez przesuwającą się statecznie taflę wody. Spadła dlaczegoś świeża gałązka olchy z jednym, sterczącym w górę liściem, z uporem próbowała nie poddać się wążłemu nurtowi, zahaczając co i rusz o poszarpany brzeg. Nie miało sensu o nic pytać, nie miało sensu rozmawiać.

— Nie łowisz? — Wypowiedział Sławek, jakby chciał zaznaczyć, że wciąż jeszcze dysponuje organem mowy.

— A jakże, łowię. Śnięte dusze łowię i braci marnotrawnych.

Od tamtego dnia zmieniło się bardzo wiele, a najbardziej Sławek. Zawsze wierny, zawsze twardy, ale i wyrozumiały dla prostych ludzkich słabości, stał się jakby bardziej jeszcze konsekwentny, chropowaty, nieomal fanatyczny. Gdy wczesną wiosną następnego roku stanęła kwestia stopniowej ewakuacji Okręgu, nie mógł poskromić napływającej wściekłości.

— Co za tępy chuj to wymyślił?! — Bluzgał teraz okropnie przy byle okazji.

— Janek z Iwonką patrzyli na niego w milczeniu — oni zdecydowali od razu.

— Wiecie co mnie wkur... — zmitygował się w końcu obecnością Iwonki — irytuje najwięcej?! Całe to cukierkowate opakowanie hańby. To poklepywanie się wzajemne po plecach z niby tam jakim zrozumieniem, poklepywanie dłońmi unurzaniem... — przymknął powieki i jakby zastygł na moment nad stołem, o który opierał dłonie. — A przecież każde dziecko, gdy rozwinie ten papierek, zobaczy z dziecinną swoją łatwością, że w środku nie landrynka żadna, a śmierdząca...

Po raz pierwszy tego popołudnia uśmiechnął się do Iwonki. Kochał ją, kochał ją tak bardzo. Najbardziej szczerą miłością, braterską, jako przyjaciel. Od zawsze, od kiedy pamiętali, była dla nich trzech: Sławka, Julka, Janka, była dla nich kimś wyjątkowym, jedynym.

— Milczycie? — Patrzył na nich bez gniewu, ze smutkiem.

— Mnie się zdaje — w głosie Janka pobrzmiwała ostrożność — że formy nie mogą odgrywać w tym przypadku decydującej roli. Choćbyśmy nie wiem jak bardzo starali się, takiej hańby, jak ta, nie ukryje żaden papierek. Nie ma co pochyłać się nad tym smrodem.

— Już wszystko wiem, widzę, dziękuję. — Sławek usiadł na krześle. Przez uchylone ledwie story do pokoju docierało niewiele światła. Siedzieli w ciemności, bladej. — Nie musicie mnie już bardziej oświecać. Wiem, co teraz zostanie powiedziane. — Nastrój powoli wypływał poza przestrzeń przyjacielskiej tylko dyskusji. — Teraz przejdziemy do dziedziny strategii, jak dorośli, koniecznie jak dorośli właśnie, jak odpowiedzialni żołnierze. — Do czoła przystawił dwa palce, jakby chciał salutować. — A może lepiej tak? — Przytknął palce prostopadłe do skroni. — Nie, nie i nie! — Z zawahaniem, ale jednak, uderzył zaciśniętą

pięścią prostopadle, w blat stołu, z całą siłą; poczuł ból; ból i ulgę.

— Dawniej nie byłeś taki. — Nie powiedziała tego z wyrzutem, przykrywając swoją dłonią jego obolałe kostki.

— Masz rację — uśmiechnął się do niej po dawnemu, spoważniał — zmieniłem się, bardzo. Może bardziej niż wam się wydaje.

— Zatem, powiadasz wodzu — skierował wzrok powyżej Jankowej głowy — że trzeba się przegrupować. Spakować manatki i wio koniku? A co każesz poupychać w sakwy podrózne?! Górę Zamkową, czy może sam zamek tylko? Albo wiem, zapakujmy do tornistra parę klasycznych pozycji. Juliusza? Czy nie za drażniący będzie, uwierający, nasz absolwent Wydziału Praw Moralnych i Politycznych? Adama? A pewnie, weźmy Adama. Co jeszcze by tu... — zaczął rozglądać się po ciemnym pokoju. Wiem! — Podniósł się raptownie z krzesła. — Spacer, ostatni spacer ulicami rajy naszego... — mówił głosem podniesionym, prawie krzyczał — może nas w naszym mieście nikt nie zaaresztuje, nie zabije?! Wybaczcie, drodzy — przygaś nagle — ja nigdzie stąd... Rozumiecie, nigdy nie porzucę tego miejsca.

Wyjechali razem. Późną wiosną 1945. A jednak Sławek nie dał się przekonać na dobre. Po roku ledwie wrócił do jedyne­go miejsca na świecie, do domu, na Litwę.

— Wejdziemy do środka? Chłodno jakoś. — Sławek zadrżał cały. — A może łapie mnie jakaś influenza? ...kropnie się czuję. — Drgały mu wargi, dygotał.

Janek, powoli powracający do stanu względnej normalności, spojrział na niego z uwagą, na jaką było go teraz stać. Nie mieściło mu się w głowie, że człowiek, który przed momentem zabił czterech ludzi, ledwie trzyma się teraz na nogach.

— Wejźmy! — Prosił Janka.

— A tamci? Przed domem? Nie będą ich szukać?

— Nie ma obawy. Było ich tylko czterech. Wszystkich... —
Sławek nie miał siły mówić.

— Nastrugam drewna, rozpalę ogień pod blachą, przyniosę ze studni... — Janek zawahał się przy ostatnim słowie. — Poszukam w piwnicy czegoś do zjedzenia.

Sławek trząsł się. Nie mógł ustać. Janek położył go na kanapie, za stołem. Przykrył go wszystkim, co przypominało kołdrę lub koc, a co znalazł w zrujnowanym domu. Sławek zasnął w jednej chwili, ale pocił się nadal, bardzo. Pot spływał mu spod włosów, zalewał czoło, powieki, usta, całą twarz, szyję; atakował niepohamowaną nawałnicą przyczajonej długo choroby.

Janek chwycił duży cynowy dzban i wyszedł na podwórze. Ostrożnie, nie patrząc, przekroczył ponad leżącym w poprzek trupem. Chwycił za uchwyt kołowrota i powoli spuścił wiadro. Opór. Opuścił ostrożnie jeszcze trochę, poczuł ciężar wypełniającej wiadro wody. „Jak złodziej, jak zbrodniarz jakiś stoję przy własnej swojej studni. Chyłkiem. I dlaczego? Czy dlatego, że tu mieszkam?!” Wściekłe myśli wirowały po głowie.

Ocknął się nie wiadomo jak, gdzie, o nieznaną godzinie. Było jasno. Na kanapie, za stołem siedział Sławek ubrany w starą, wypłowiałą, zieloną bluzę. Siedział i palcami obu dłoni przeczesywał włosy. W lewym kąciku ust tlił mu się papieros.

— Dobrze spałeś?

— Jak kamień, bez kontroli. — Janek wyciągnął skrzyżowane w nadgarstkach dłonie ponad głowę, naciągając przyjemnie stawy. — Jak się teraz czujesz? Lepiej? Gorączkę miałeś wieczorem. Napij się herbaty, wczorajsza, zimna. — Podał Sławkowi kubek. — Ugotowałem kartofle. Zjedzmy.

— Czy nie dziwne? — Sławek wypił łąpczywie kilka haustów. — Siedzimy sobie tu, po dobrze przespanej nocy, w twoim

domu rodzinnym. Za chwilę zjemy może śniadanie, popijemy. I całkiem jakby nie było tego wszystkiego. Tysięcy goniących za nami łapsów, zdrady, śmierci wokół, bólu, cierpienia, straty, ciągle tylko... straty, czterech trupów przy studni. Czy nie dziwne?

— A jak Litwini teraz? — Janek chciał zmienić temat rozmowy. — Rozmawiałem na ten temat z naszymi w Ełku, to znaczy, miałem spotkanie z tamtejszym dowódcą, „Oraczem”.

— Tak, tak. Coś słyszałem. Podobno interesujący człowiek. — Sławek mamrotał jakby mimochodem, niechętnie.

— Nie uwierzysz, wreszcie facet, który nie buja w obłokach notorycznie. Nie wypatruje iii wojny, niczym zmiłowania Pańskiego, jak wszyscy inni, nawet Pułkownik. „Oracz” stawia sprawę jasno, konkretnie. Przede wszystkim, tak mówi, nie skomleć, nie uzalać się na sobą i swoim losem. To pierwsze. Drugie, nie liczyć, że się ktoś, na całym tym zobojętniałym świecie, że się ktoś pojawi i za nas, własnymi swoimi rękami załatwi nasze sprawy. Trzecie, nigdy nie ma sytuacji bez wyjścia, zawsze jakieś jest. Chcą nas zniszczyć! Chcą i nie cofną się przed żadnym chwytem?! Tak? Oczywiście, tak! I czy trudno w takim układzie spraw wykoncypować odpowiedź, jedyną możliwą ripostę? Walka, tylko walka! Nieważne jak, nieważne jakimi środkami. Pamiętać trzeba o jednym, to bolszewicy! Nie można, nie wolno im ufać, nie można wdawać się z nimi w dyskusję, tak do mnie mówił. I nie tylko to. — Sławek milczał, był jakby zajęty własnymi myślami. Janek nie zwracał na to uwagi.

— Z głów ludzi, mówił mi jeszcze, trzeba wykorzenić najmniejszą choćby wątpliwość, że ci co tu przyszli pozwolą nam istnieć, być, że uda się jakoś przetrwać. Szaleństwo! Z nami czy bez nas, gdy tu nastanie bolszewizm, nie będzie miejsca na nic więcej. Z nimi nie może być kompromisu, bo oni żadnego kompromisu nie uznają, nie chcą. Walcząc, nie mamy szansy żadnej, prawie. Kapitulując, przestajemy istnieć jako wolni ludzie, suwerenni w swoich decyzjach, myśleniu. Proste.

— Ciekawy facet. — Sławek zabierał się właśnie do ugotowanych kartofli.

— I wiesz, dużo mówił o Litwinach. Mówił, że powinni być dla nas wzorem konsekwencji w myśleniu, w działaniu, w organizacji. W przeciwieństwie do nas, do tych naszych resztek podziemnych oddziałów, zdezorientowanych grupek błądzących po lasach bez jasnego celu, planu, Litwini to prawdziwa siła dzisiaj, moc. Mają armię, prawdziwą antysowiecką armię, wyekwipowaną, uzbrojoną po zęby; armię, którą przygotowywali świadomie przez całą niemiecką okupację. I najważniejsze, tak jeszcze mówił, najważniejsze, że wiedzą po co istnieją.

— Czy rzeczywiście — w roztargnieniu myśli nie widział Janek jak bardzo to wszystko co mówi, Sławka nie obchodzi — to wszystko tak wygląda? Czy ci Litwini tu... — zawiesił głos, teraz dostrzegając dopiero zobojętnienie rozmówcy.

— Bezspzecznie. Cholernie... — Sławek wkładał właśnie ćwiartkę kartofla do ust, nadgryzł, spojrzał na Janka z aureolą uśmiechu wokół zamkniętych ust. — Kucharz pierwsza klasa z ciebie — mówił, całkiem odbiegając od tematu — pierwsza klasa, bez dwóch zdań. Kartofel wspaniale podgotowany, nie za miękki, nie za twardy, ale... czy nie pasowałaby do potrawy tak wykwintej odrobina soli? — Oczami szukał na stole solniczki.

— Nie ma, nie znalazłem.

— Nie ma, nie znalazłem... — przedrzeźniał — trzeba było w popiele upiec, wtedy da się jakoś, a tak?

— Podobno zorganizowali się, w potęgę. — Janek nie zważał na to marudzenie bez znaczenia.

— Nie mamy pełnej wiedzy. Okręg w rozsypce, praktycznie. Poza tym jestem tu ledwie trzy miesiące. Nie zdążyłem się jeszcze dobrze rozejrzeć, nawiązać kontaktów. Ale, tak. To co słyszałeś o Litwinach, to prawda. Zorganizowani są wspaniale. Mają wszystko: ludzi, broń, obozy, bunkry pobudowane w lasach. Chwalą się, że pod bronią stoi teraz dziesięć tysięcy

ludzi, dasz wiarę? Będą mieli z nimi kłopot sowieciarze. Litwini tanio skóry nie sprzedadzą? Choć przecież i oni szans nie mają, żadnych. A my? — Smutno spojrzął na Janka. — Zero, dno! Nawet nie kompromitacja, bo w ogóle nic. Dlaczego? I pytać nie chcę. Nie chcę! Ze wstydu nie chcę.

— Wybacz, wybacz — mówił dalej z zimnym, lodowatym napięciem w głosie — ale chce mi się głównie kłać... kłać i mordować. I — zawiesił głos na dłuższą chwilę — czasem wydaje mi się, że nie wiem, nie jestem całkiem pewien, kogo w pierwszej kolejności chciałbym mordować.

Janek milczał. Wpatrywał się w Sławka ze smutną powagą. Wiedział, dobrze wiedział o czym mówi jego przyjaciel.

— Nie wiem czy znasz tę historię. — Sławek podniósł spuszczoną na moment nisko głowę. — To było w grudniu czterdziestego trzeciego. Byłeś wtedy gdzie indziej, pod Nowogródkiem, zdaje się. — Janek kiwnął głową na potwierdzenie.

— Pilnowaliśmy akurat drogi, tu — machnął dłonią w bliżej nieokreślonym kierunku — nawet niedaleko. Siedzimy na skraju i nagle widzimy jakiś dziwaczny pochód idzie, sami młodzi, no, nie tylko może młodzi ludzie, mężczyźni w cywilnych ubraniach, bez broni; widać, najpewniej miejscowi. I to było jakieś takie, wiesz, niespodziewane, dziwaczne. Bo skąd nagle, w takiej grupie dużej idą? No, było ich ze dwudziestu pewnie. Ciemno, dwie godziny po zachodzie. Ki diabeł, myślimy? Nas było ledwie pięciu, sześciu może, ale przecież nie puścimy ich bez rozpoznania, wyjaśnienia kto zacz. Więc wychodzimy przed nimi, z bronią, chcemy zagadać, no wiesz, po rosyjsku.

— Po rosyjsku? Jak to po rosyjsku, czemu? — Janek był zaskoczony. — Czemu akurat po rosyjsku?

— No po rosyjsku, bo wiesz, komuś tam w tym Okręgu naszym, przyszła genialna myśl do głowy. Mianowicie, nie dawać Niemcom pretekstu do represjonowania ludności cywilnej, podwileńskiej. Więc, dlatego właśnie po rosyjsku kazali nam

mówić. Po rosyjsku, czyli, że to sowiecka, a nie polska partyzantka. *Pania!*

— Nigdy o tym nie słyszałem, ciekawe. Ciekawa historia. Istotnie. I co, co dalej?

— No więc, pytamy, to znaczy, chcemy ich zatrzymać, wypytać, a widzimy jeszcze, że bardzo ich nasze wyjście na drogę spłoszyło, że boją się. Aż raz, usłyszeli ten nasz rosyjski i jakby uspokoili się trochę. I nie uwierzysz co powiedzieli.

— No?

— Że wracają właśnie z pracy, z roboty w kompanii robotniczej, sowieckiej. Okazało się... — urwał i potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Naprawdę, naprawdę nigdy ci tego nie mówiłem? Nie opowiadałem?

— Mów dalej. Robi się ciekawie, naprawdę ciekawie.

— Więc, posłuchaj. — Nagle zachciało się Sławkowi mówić. — Na początku grudnia, grudnia czterdziestego trzeciego przyszli do ich wsi sowieccy partyzanci i... — zawiesił głos na moment — rzeczywiście tego nie znasz?! — Machnął ręką. — Powiedzieli tak: wszyscy mieszkańcy wsi są obywatelami związku socjalistycznych republik sowieckich i jako takich obowiązują ich prawa tego państwa. W związku z czym, na wszystkich mężczyzn zostaje nałożony obowiązek służby wojskowej, i wszyscy podlegają mobilizacji. Dasz wiarę?

— I słyszałeś to na własne swoje uszy?

— Własne. Dano im do wyboru dwie możliwości. Służbę z bronią w oddziale partyzanckim, albo pracę w specjalnej robotniczej kompanii. Na sołtysów nałożono obowiązek dopilnowania, żeby zarządzenie było wykonywane. Rozumiesz?

— Rozumiem. Co tu jest do nierozumienia?

— Ale, nie, nie chodzi o samą sytuację. — Sławek zapalił się nagle do dyskusji. — Czy rozumiesz dysproporcję w stosowaniu środków? My udajemy kogo bądź, żeby się przypadkiem jakiej wiejskiej babie krzywda nie stała, a oni? Oni po prostu, przycho-

dzą i biorą. Co chcą, biorą! I nie ma dla nich żadnych granic, niemożliwego. Rozumiesz, żadnych. Więc jakie dzisiaj może mieć znaczenie, co tam kapitan „Oracz” mądrego powie, albo że się dziś Litwini dobrze z sowietami rozprawiają. Żal tylko.

— Zawsze jest... — Janek próbował coś wtrącić.

— Bo, zobacz! — Sławek słyszał tylko swoje słowa, myśli. Nakłuty na widelec kolejny kawałek kartofla, wycelowany wprost w Janka, podskakiwał w rozedrganej dłoni. — Przez pięć lat, pięć lat, mniej więcej, nic, żadnego porozumienia, same tylko bzdury, oskarżenia. Wy nam to, a my... wam... Dziecinada!

— No, już by ci nasi patrioci dali dziecinadę tę.

— I wiesz, gdzie mam? Wiesz?! I dopiero, całe to ścierwo przyjść musiało i...

— Zgoda z Litwinami?!

— Zgoda, uwierz, prawie idealna. Żadnych bzdur, żadnych. Dogadujemy się nareszcie w tej naszej ojczyźnie litewskiej.

— Czyli, dobrze bolszewik oddziałuje?

— Jak diabli! Tylko jakby ciut za późno, nie myślisz? — Nie czekał na odpowiedź.

— Chodź. — Odrzucił widelec z niedojedzonym kartoflem, wstał. — Musimy stąd uchodzić, wiesz, trupy, no i... — zrobił pauzę — zjeść co warto by. Zabieram cię, do miasta.

— Nie, Sławku. Nie pójde tam.

— Do Wilna?

— Do Wilna.

XIII

WINY

Szczęście to kaprys losu, krnąbrny, trzpiotowaty. Zwykle wydaje nam się, że mało go, za mało w życiu — nic bardziej omylnego. Szczęścia każdy ma w bród, choć, po prawdzie, nikt prawie o tym nie wie i szczęścia wciąż szuka, jak szukają wszyscy inni. Przyczyna tego paradoksu jest raczej banalna. Otóż, szukają źle; szukają wysoko zadarłszy głowę, w obłokach, w wielkich jakichś liczbach, w nieśmiertelnych uczuciach; szukają, bywa, przez całe długie życie. Tymczasem szczęście przemyka niepostrzeżenie, w nieznacznych dawkach, w apetycznych kąskach; wystarczy sięgnąć. Jest tuż, na wyciągnięcie ręki, ochocze, wszędobylskie i pewnie dlatego tak trudne do uchwycenia. Nie zna reguł, nie przestrzega ścieżek wytyczonych, nie poddaje się nakazom, zakazom, granicom. Wolno stąpa po świecie i do wolności namawia. Jak się objawia? Na to pytanie jest miliard, może trylion miliardów odpowiedzi. Bo

szczęście nie daje się zamknąć w ciasnych ramach jednej formuły. Może być — i bywa — wszystkim.

Zdarza się jednak tak, że na szczęście obojętniejemy. Nie dbamy o nie, nie zależy nam. Zniechęcenie to wróg szczęścia największy. Gdy nie chce się, i już. Gdy ból, gdy smutek rozszadza nasze trzewia, głowę, wówczas nie ma dla szczęścia miejsca w naszym życiu. Co robi wtedy? Ulega? — Wolne, doprawdy, żarty! Wtedy szczęście hardziej, krzepnie w sobie, pręży muskuły, jest nieustępliwe, okrutne nawet; nigdy nie przegrywa bez walki, rzadko odnosi definitywną klęskę.

Czy po tym wszystkim, co przeszedł, co przyniosły długie miesiące, lata, wolno mu było łaknąć odmiany losu? Dziwne, nieracjonalne jakieś pytanie! Czy można wziąć urlop z nieustającej walki? Zwolnienie z powinności, wierności, na tydzień, może dwa, na resztę dni jakie pozostały? Czy to gonienie za szczęściem jemu akurat było do szczęścia potrzebne?

Człowiek, każdy, to zawodny w swojej naturze wynalazek. Nie można na nim polegać bezwzględnie. Nawet najdoskonalszy ludzki mechanizm psuje się od czasu do czasu. Z mozołem kształtowany charakter wiecznie ulega najrozmaitszym apetytom. Dlaczego tu przyjechał, tu, na to pustkowie?

Jeszcze nie zmierzało, ostatnie promienie słońca przebłykiwały przez korony drzew po drugiej stronie wody. Siedział nad brzegiem, w niemal idealnej ciszy. To nieprawda była, że uprawiał tu jakąś rejteradę od codziennych spraw. Potrzebował tego: ciszy, spokoju, samotności. Miał do wykonania zadanie, największe przed jakim kiedykolwiek stanął.

„Sytuacja przedstawia się następująco, o ile, oczywiście, mogę polegać na rzetelności swojej wiedzy...” Z ociąganiem, bez zapału, układał w głowie rodzaj memoriału. Wiedział już, wykształcił w sobie to przekonanie, że zaczynać trzeba praktycznie od zera. Jakkolwiek absurdalna była wytworzona sytu-

acja, nie można było po prostu jej zaprzeczyć. Fakty były porażające. Czy wolno zamykać na nie oczy? Czy nie tak dokładnie postępuje 99 % procent społeczeństwa, a ściślej, jego decydenci? Czy to, co można jeszcze nazwać, od biedy, zbrojnym podziemiem nie ucieka po prostu od rzeczywistości, licząc że nastąpi jakaś radykalna odmiana? To jest kwestia fundamentalna. Należy przerwać ten chocholi taniec. „Optymizm nie zastąpi nam Polski.” Przypomniał sobie tytuł broszury, którą czytał u Pułkownika. Klęska nie musi oznaczać końca wszystkiego.

„Nie istnieje w tej chwili jednolita siła wojskowa. Poszczególne oddziały bądź działają w pełni samodzielnie, bądź są związane politycznie z organizacjami o charakterze na ogół lokalnym. Nie mogą i nie będą mogli w najbliższej przyszłości prowadzić otwartej walki. W tej sytuacji jedynym praktycznym rozwiązaniem pozostaje walka partyzancka, obliczona na lata, dziesięciolecia. Alternatywy nie ma!” W tym dokładnie punkcie spodziewał się największego oporu. Znał ich argumenty: nie wolno dalej się narażać; nie wolno marnować potencjału tkwiącego w młodzieży, która powinna się przede wszystkim uczyć, nie strzelać; wróg jest za silny, ma zbyt dobrą informację, agentów w naszych szeregach. I jeszcze ta bzdura, jako argument najbardziej oczywisty: sytuacja polityczna nie wydaje się aż tak tragiczna, jak to starają się przedstawiać defetyści. Bolszewizm, komunizm bardzo nam nie zagraża. Naród zjednoczony tradycją, zjednoczony w wierze katolickiej, nie pozwoli odebrać sobie tożsamości, nawet jeśli czasowo, w sytuacji dyktowanej koniunkturą, zmuszony będzie do ograniczonej współpracy z przedstawicielami komunizmu. „Czy burzenie tego rodzaju naiwnych wyobrażeń nie powinno być pierwszym punktem każdego programu?”

Poczuł nagły przypływ zmęczenia, przemieszanego ze zniechęceniem. Nie, zdecydowanie nie może sobie pozwolić na chwilę choćby słabości. Wrócił do układanego w głowie tekstu...

„Dla kogo to układasz. Czy są w tym kraju ludzie gotowi podjąć kwestię walki? Walki w znaczeniu zaczepnym, nie obronnym?” Czuł, że stawianie teraz tych kwestii nie pomaga. „Ważne są motywy. Niewątpliwie. Po co, dla kogo? A jednak — myślał — zanim pokuszę się o próbę dania odpowiedzi, chciałbym skupić się na zadaniu ważniejszym, na próbie opisu tego co jest.” Zdawał sobie sprawę z chaotyczności tych swoich luźno biegających myśli. „Powinienem wszystko notować. Porządkować. Profesor nie byłby ze mnie dumny.” Myśli wirowały w głowie, każda w innym kierunku. Dlaczego z takim trudem przychodziło mu tym razem proste zestawianie faktów?

„Czy realnie jest myśleć o walce? — Obracał się w zaklętym kręgu tych samych wątpliwości. — Może słuszność mają ci, którzy tę właśnie walkę od lat już próbują stłamsić, wygasić? Na co ja się porywam, do czego chcę namawiać? Spójrz łaskawco na przegląd sytuacji.” Głęboki, wewnętrzny głos odzywał się nie po raz pierwszy tego dnia. „Zdecydowana większość oddziałów partyzanckich, ich dowódcy oraz żołnierze, podjęli decyzję o kontynuowaniu walki z jednego powodu: ze względu na masowe represje okupanta, wyjście z lasu okazało się niemożliwe. Tej kwestii nie wolno pomijać, ponieważ w swojej istocie stanowi poważne zagrożenie w perspektywie dalszego oporu. Każda inicjatywa komunistów, zmierzająca do spacyfikowania sytuacji w oparciu o rozwiązania polityczne, takie jak kolejna amnestia, czy zaproszenie do współpracy politycznej, otóż inicjatywa taka doprowadzi do masowego złożenia broni; do *de facto* ostatecznej kapitulacji.” Co go opętało, żeby układać ten tekst w głowie? Wiedział, że to błąd. Nie miał ochoty, nie chciało mu się już jednak zabierać tego wieczora do konkretnej pracy, sięgać po kartki, przybory, pisać.

Do tej pory jakoś się to sprawdzało, to układanie problemów w myślach tylko. Była w tym metoda. Nie pisać, aż wszystkie kwestie wątpliwe nie zostaną rozstrzygnięte, wszystkie niezbędne zagadnienia wypunktowane. Robił tak zawsze, i sku-

tecznie, tak mu się przynajmniej zdawało. Tym razem było inaczej. Przypomniwał sobie rozmowę, jeszcze sprzed wojny. Odległe w czasie spotkanie.

— Pisanie pomaga mi zebrać myśli, uporządkować fakty, formułować na ich podstawie argumenty. — Ile to już lat temu mówił do niego w ten sposób Profesor. — Bez pióra w dłoni jestem jak ślepiec błędzący po zlodowaciałej grani we mgle nieprzeniknionej. Wystarczy, widzi pan, jeden fałszywy krok, jeden i... lececi się głową w przepaść, mknie w otchłań nieuporządkowanych, piętrzących się faktów, myśli.

Spojrzał na Profesora zdziwiony. Może po raz pierwszy w ciągu wielu rozmów, dyskusji, jakie ze sobą prowadzili. Nigdy do tej pory nie miał wrażenia tak silnego, że nie zgadza się z tym co słyszy. Poczuł się zmieszany, jakby przyłapany przez siebie samego na gorącym uczynku arogancji.

— Myśli pan pewnie, że to dziwna metoda, jak na profesora? — Przyglądał się Jankowi z życzliwym, pogodnym uśmiechem. — Bo czy profesor nie powinien najpierw poukładać sobie wszystkiego w głowie, przemyśleć, dokonać selekcji faktów itd., itd., zanim siądzie do spisania tego wszystkiego, co już sobie w myślach przygotował? — Uśmiechnął się znowu. — Otóż, widzi pan, dla mnie to było zawsze nazbyt męczące.

Zmierzchało. Noc wabiła, jak może wabić sierpniowa, pogodna noc nad brzegiem jeziora. Komary uprzykrzały się, ale umiarkowanie. „Czym jest niewzruszoność przyrody jeśli nie omylnym pozorem tylko? — Myśli rozbiegały się we wszystkich możliwych kierunkach. Nie kontrolował ich. Nie chciał. — Czy pod spokojnym lustrem tego jeziora, nie toczy się właśnie, i nieprzerwanie, zażarta, na śmierć i życie, darwinowska walka o byt? O to kto dziś przetrwa, kto stanie się pokarmem dla innych żywych istot, kto królem roślinności? Czy ludzie, z całą ich duchową otoczką, nie przypominają do złudzenia organizmów żyjących pod powierzchnią tej tu, cichej wody? Czy nie jest

skrajną naiwnością myśleć o człowieku inaczej?" Przeszył go dreszcz, wzdrygnął się. Nagle zrobiło się chłodno.

Na nocleg wybrał erem najdalej położony od kościoła. Wszedł do niemal nienaruszonego wnętrza. Pod oknem, na metalowej konstrukcji łóżka leżał pozbawiony pościeli materac, przysypany opadłym z sufitu i ścian tynkiem, przemieszonym z grubą warstwą kurzu. Chwycił go, postawił pionowo, kilka razy uderzył nim o podłogę, starannie ułożył z powrotem. Zapalił świecę, zjadł kawałek twardego chleba, popił herbatą z manierki. Był zmęczony, ale czuł, że nie zaśnie łatwo.

„A jednak, brakuje w tym moim myśleniu pierwiastka zasadniczego.” Aż wzdrygnął się w zdumieniu. „Ciekawe jak zareagowałby Profesor? Żartem, kpiną? Przecież to niemal niemożliwe, nie on. Jak ja go jednak słabo znałem.” Myślał w przyływie nostalgii. Czuł, czuł nie całkiem wyraźnie, że jest z nim w tej chwili; tu, w samotności klasztornej celi.

— Ludziom zdaje się, że znają bolszewizm, że wiedzą o nim wszystko. Na ogół myślą się okropnie. Czy to nie zadziwiający paradoks, że w konfrontacji z bolszewizmem, w największym błędzie tkwią ludzie względnie dobrze wykształceni? Erudycja nakłada na nich przymus zestawiania kolejnego historycznego zjawiska z tym, co już było. Zatem, skłonni są traktować bolszewizm jako kolejny ruch społeczny, rewolucyjny, obliczony w swoich działaniach na fundamentalną społeczną przemianę, radykalny, i w swoim radykalizmie bardzo nawet krwawy, ale nie wypadający poza ustalone historyczne ramy. Błąd zasadniczy polega właśnie na nieodpartej potrzebie szukania podobieństw, dopatrywaniu się ich tam, gdzie ich być nie może, bo bolszewizm nie daje się porównać z niczym! Jako zjawisko historyczne wykracza poza wszystko, co znamy z dziejów. Nie ma

w swojej istocie nic wspólnego z takimi czy siakimi zagadnieniami społecznymi, ekonomicznymi. Powiadają, ci najbardziej dociekliwi powiadają, że istotą bolszewizmu jest niczym nieograniczona władza. Kropka. A ja coraz mniej jestem pewien, czy to istotnie końcowa jego stacja. Wszechobecna władza wdzierająca się w życie nie tylko społeczeństw, ale każdego człowieka, czysta siła! Tak, na pewno, ale jest coś jeszcze, coś co przenosi to zjawisko z obszaru polityki, historii, w całkiem nowe rejony: odwiecznej walki.

Ich spotkania odbywały się według ustalonego rytuału. Na widok wchodzącego do gabinetu Janka, Profesor wstawał zza swojego biurka i witali się uściśnięciem dłoni. Siadali w fotelach przedzielonych niewysokim stolikiem, na którym pojawiała się świeżo parzona, aromatyczna, mocna herbata i maślane, jeszcze ciepłe, ciasteczka. Rozmowa zaczynała się od konwencjonalnych pytań: o zdrowie rodziców, o postępy w nauce, przeczytane lektury. Profesor wysłuchiwał Jankowych odpowiedzi z uwagą. Niekiedy dopytywał o jakiś bardziej interesujący go szczegół. Potem, często, rozmowa przechodziła w monolog.

— Co jest celem? — Głos miał wciąż silny, odrobinę drżący.
— Co jest celem, ideą zasadniczą tej nowej potęgi? To walka z Bogiem, zniszczenie idei Boga, innymi słowy zniszczenie także idei człowieka jako istoty, która myślą i duszą sięga poza materię, a zatem wypłenienie z duszy jej pierwiastków idealnych. Powiem to dobitniej: mózg zastąpić brzuchem, zbestjalizować człowieka. Bestjalizacja jako cel dziejów!

Szarawe światło zmierzającego na spoczynek dnia ledwie oświetlało surowe wnętrze gabinetu. Nie mogło być lepszej scenografii. Słuchając Profesora, miał nieodparte poczucie błahości świata; nikłości spraw, toczących się na zewnątrz, po drugiej stronie.

— Zdawałoby się — Profesor mówił z tężejącą powagą — że idea bestjalizacji, najpodlejsza, jaką człowiek kiedykolwiek

się kierował, powinna by wywołać potężną, zdrową reakcję. Nic takiego nie nastąpiło. Jesteśmy w stanie hipnozy, a bolszewicka walka z Bogiem imponuje nam swoją zuchwałością. Pierwszy lepszy frazes z ulicy napełnia nas zabobonną bojaźnią, i wtedy składamy broń i bijemy czołem przed każdym fetyszem, byleby na nim było wyryte jakieś hasło modne, jak demokracja, jak postęp. Grzęźniemy w nędznym półbolszewizmie.

— Gdy przyjdą, a przyjdą na pewno — mówił dalej — przyjdą w takiej czy siakiej skórze, może wilczej, może owczej, jeszcze jakiejś innej, zawsze z dobrym słowem, jakkolwiek kłamstwo zawarte w tym słowie nie byłoby oczywiste. Nie ich terror, nie ich siła militarna są naprawdę groźne. Ale ich uśmiechy, ich chęć budowania zgody. Stwarzanie przekonania, że jeśli nawet nie mają na danym etapie racji, to przynajmniej kierunek, w jakim zmierzają, nie może budzić wątpliwości; jest zawsze słuszny. Przyjdą, a właściwie, już przychodzą, proszę i o tym pamiętać, przychodzą w chwili dla ludzkości najtrudniejszej; gdy człowiek, gdy jego dusza gubi się tak beznadziejnie w celach ziemskich. Nigdy dotąd świat zewnętrzny, świat materii nie miał takiej jak dziś władzy nad duszą człowieka.

Zdawało mu się, że siedzi teraz w gabinecie Profesora, na przeciw jego mądrej, strapionej, ascetycznej twarzy. Słyszy jego głos, słowa, niczym słowa zapisane na zwojach starożytnych, odległych w czasie mądrości. Wszystko co słyszał tamtego popołudnia było wyjątkowe.

— Straciłem ją, straciłem wewnętrzną swoją wiarę. — Profesor mówił cicho, z pochyloną lekko głową, wciąż, nieprzerwanie wpatrując się w twarz Janka. — To już czwarty rok, gdy szukam jej w sobie, na próżno.

Siedzieli w milczeniu, w zapadającym mroku. Długo, bardzo długo nie padało jedno nawet słowo. Na twarzy Profesora rysował się ból człowieka dotkniętego wielkim cierpieniem. Janek myślał o paradoksie tego obrazu. Czy ta wspaiała, przejęta

troską twarz nie jest twarzą świętego? Czy człowiek, taki jak ten, może utracić wiarę?

— Nie rozgłaszam tego, nie mówię wszystkim. Od czasu kiedy ta zaraza rozpełza się po świecie, Kościół był zawsze, w mojej ocenie, jedyną siłą zdolną przeciwstawić się immanentnemu złu bolszewizmu. — Zamilkł, znowu na dłuższą chwilę. — Wiem, cóż ja znaczę, a jednak. Taka moja deklaracja zostałaaby wyzyskana propagandowo w straszny sposób.

— Czy wolno mi spytać o motywę? — Ta rozmowa bardzo go onieśmiała, a jednak nie mógł nie zadać tego pytania.

— Może pan, oczywiście. I proszę wybaczyć starcowi, wybaczyć to moje wyznanie. Nie chcę mącić także pana uczuć, nie chcę żeby odczuwał pan ból z mojego powodu. Chcę jednego, żeby był pan, panie Janku, najlepiej jak to możliwe przygotowany. Ja odchodzę, a zaraz po mojej śmierci, może za kilka miesięcy tylko, za kilka lat, przyjdzie katastrofa. — Zamilkł. Jego wzrok błędził gdzieś wysoko, daleko. — We dnie i w nocy prześladuje mnie widmo bardzo bliskiej, bardzo groźnej przyszłości. I nie jest to żadna sugestia strachu, jak zdają się sądzić niektórzy moi przyjaciele. Nie jest to także wynik rozgorączkowanej wyobraźni. To widmo, o którym teraz mówię, wyrasta z rzeczywistości, z tego na co patrzymy własnymi oczami, albo słyszymy od bezpośrednich świadków. Przyjdzie taki dzień, gdy znajdziecie się wszyscy w kleszczach czerwonego terroru, ich strasznej mocy. Co wtedy? Proszę dobrze zapamiętać sobie to pytanie. Co wówczas wypadnie wam uczynić? Jak go przyjąć, w największej mierze będzie zależało od tego, jak go rozpoznacie. Rozumie mnie pan, prawda? Ważne, żeby pan poznał jak największą mrocznych stron tego fenomenu; i nie tylko pan, ale też inni, młodzi, odważni, poważni ludzie.

— To coś potrafi zrujnować wiarę — powracał do przerwanej na chwilę, wcześniejszej myśli — w każdym razie stworzyć stosowne warunki. Całe życie wierzyłem w Boga wszechdobrego, Boga bardzo mądrego i bardzo mocnego. Wierzyłem

niezachwianie. Aż dnia pewnego pojawiła się myśl wąpiąca: Czy taki Bóg, Bóg miłujący, miłosierny ponad ludzką wyobraźnię, czy taki Bóg może być wszechwiedzący, wszechmocny? W tym dokładnie czasie przyszło nam w beczynności naszej oglądać cierpienie Ukrainy, niewyobrażalne, nieporównywalne z niczym. Nie tylko śmierć, mękę życia w wiecznym głodzie, ale i ludzkie upodlenie. — Łzy płynęły po jego starej, szlachetnej twarzy. — Ludzi zjadających się wzajemnie, rodziców wydających na straszną śmierć własne dzieci...

— Musi pan być gotowy! Musi pan! — Słyszał przenikliwy głos, dochodzący z oddali, jakby z głębi studni. — Gotów na walkę, bez Bożego wsparcia.

Zasypiał w koszarze wspomnień, boleśnie. Na pogodnym niebie, tuż prawie nad starożytnym eremem, pojawił się srebrzysty, mocno wycięty półksiężyc. Takie same dwa półksiężyce leżały, upokorzone, pod wieńczącymi kościelne wieżycy stalowymi krzyżami.

W szmerach nierozpoznanych, szczególnie gdy przychodzą nocą, skryta jest zwykle jakaś intuicja. Nie panujemy, ledwie ze snu wyrwani, nad kontekstem dźwiękowego przekazu, a jednak zdaje nam się, na granicy nieomal pewności, że niepokój, jaki czujemy wewnątrz, ma swoją przyczynę. Strach ma wielkie oczy — tak mówi stare porzekadło, ale to mądrość bardzo odległa od istoty rzeczy; strach, autentyczny i prawdziwy, ten strach, który kieruje jakże często ludzkim zachowaniem, bynajmniej nie rozgrywa się na powierzchni zdetonowanej jakimś nagłym zdarzeniem twarzy; przeciwnie — czai się w głębi, nadgryza, rozrywa od środka; to strach właściwy, straszny. Gdy wyje, wzburzony, pokazuje gardziel, ostre swoje kły, przeraża może i bardzo, ale tylko na chwilę, jeden, dwa ułamkowe momenty życia. W gruncie rzeczy błahostką jest. Straszny staje się dopiero zagnieżdżony w perfidii natury cichutko, chyłkiem, gdy lokuje

w ciele swój nieznaczny kącik — azyl wobec potęgi naturalnego spokoju, przed którym drży skundlonym swoim bytowaniem. Zanim to nastąpi, zanim z przewrotnym uśmiechem stanie w otwartych drzwiach naszej zmaconej natury, skrobie, dobija się nieśmiało intuicją niepokoju. Nie można wówczas mówić o jakimś jednoznacznym dźwiękowym wyrazie, raczej o jego braku; o niedostrzegalnym zakłóceniu jednostajności ciszy; tej ciszy, która zawsze ma jakiś kształt, za każdym prawie razem inny; i treść, ulepioną z różnorodnej materii mikrodźwięków.

Ocknął się z czegoś w rodzaju snu, w który może dopiero zapadał, może już tkwił głęboko. Noc ani myślała ustępować. W regularny chaos nieznacznych dźwięków wkradł się błąd, ledwie dostrzegalny fraktal nieznanego. Zbliżał się ktoś, starannie stawiający kroki. Obcy? Wróg? Przyjaciel? A jednak wiedział już. Poznał. Każda natura ma w sobie coś charakterystycznego: sposób mówienia, gestu, jedyny na świecie styl stawiania stóp na ziemi.

— Czy wszystkie drogi prowadzą do Jana? — Pytanie doszło intruza poprzez ścianę celi. Przystanął, zaskoczony; a może tylko dlatego, że osiągnął właśnie cel swojej wędrówki?

— Jeśli tenże Jan ma się za nowego Cezara... — wyczuć było można w tym głosie, niby podchwytyjącym dowcip, napięcie.

— Wybacz! Wybacz, że nie powitam kordialnie towarzysza oficera — odpowiedział bez cienia emocji.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję za uprzejmość. Pewnie chciałbyś abym odszedł, raz i na dobre, ale wybacz mej podłej naturze. Nie zrazisz mnie. I ja także nie mam dla siebie słów potępienia dostatecznie mocnych, więc twoje obrzydzenie nie może mnie dotknąć. — Czekał na odpowiedź. Nie usłyszał jej. — Zostawmy to. Przyjechałem z ostrzeżeniem. Wiedzą, że tu

jesteś. Nie wiem skąd, nie wiem wszystkiego; właściwie, dowiedziałem się trochę przypadkiem, wieczorem... na raucie w Olsztynie.

— Na raucie?! — W tonie pytania nie sposób było doszukać się cienia ironii. — Przesiąkasz! Rozumiesz różnicę? — Janek wyszedł z celi na niewielki, zarośnięty po kolana trawnik.

Juliusz machnął niecierpliwie ręką. — Dajże spokój. Przecie żyję z tym smrodem, dzień po dniu, i sam śmierdzieć już, wiem.

— Rzecz w tym, czy ten smród nie oswaja aby twojego nosa. W ogóle, nosy w tym kraju stają się jakby mniej wybredne. Odnieść można wrażenie, że zapach bolszewizmu to najmodniejszy perfum współczesności.

— Dlaczego, powiedz łaskawco, dlaczego? — Julek uśmiechnął się kwaśno. — Dlaczego ludziom, ludziom zwykłym, przeciętnym, nie takim jak ty, Janku, wachającym kwiatki, a zjadaczom chleba, dlaczego im wszystkim zdaje się, że wszelkie problemy świata rozwiązać można jakoś ładnie, w zgodzie z własnym ja? Czy wszyscy ci piękni ludzie muszą być aż tak bardzo zakłamanii?

— Muszą?! Że niby ktoś nakłada na nich taki przymus? Nie, nie zdaje mi się. Konstatuję za to, że fetor okoliczny staje się trudny do ścierpienia. Urok nowej epoki.

— Masz rację, wszystko gnije. Pojęcia starych czasów odpływają w niebyt. Może bliżej jestem, widzę więcej; może nawet rzeczy, o których tobie się nie śniło. A dalej? Czy myślałeś, co będzie dalej? Za rok, za dziesięć lat, za siedemdziesiąt? Gdy po tym naszym niby świecie chodzić będą dwa, trzy całkiem nowe, na nową modłę ukształtowane pokolenia? I co będzie? Gdy, widzisz, całe to gówno wokół przykryte zostanie grubą warstwą czerwonej pomady; i głośnym entuzjazmem, tym rodzajem entuzjazmu, do którego nie trzeba skłaniać kijem? Rozumiesz? Bolszewizm wypłeni, wykorzeni wszystko to, co nie jest bolszewizmem. I on będzie wszystkim, jedyną na świecie ideą, uniwersalną.

— Więc postanowiłeś się przyłączyć? — Nie było w tym pytaniu intonacji, może drobina smutku. — Bądź łaskaw wytłumaczyć, spraw żebym zrozumiał. Jak dokonuje się takich wyborów? W jakim celu? Przecież nie pytam pierwszego byle przechodnia, którego może uwiera w bucie i jest tym przejęty, ale ciebie pytam. Pamiętasz, pamiętasz jeszcze kim jesteś, kim byłeś, pamiętasz katedry myśli, które pospołu zwiedzaliśmy, światła *Σοφίί*, w które wpatrywaliśmy się odurzeni mocą, pięknem, niemierzalnym dobrem?

— Janek, Janek! — Juliusz przykrył na moment oczy prawą dłonią. Uśmiechnął się i zachnął, gestykułując tą samą ręką. — Spójrz raz prawdzie w oczy! Tobie się zdaje, że wszystko jest jednakowo kanciaste, i z jednej strony czarne, a z drugiej białe. I może masz rację, i na pewno, ale... dla kogo są te twoje standardy? Świat zalany jest przeciętnością. Co każesz zrobić z ciemną masą!? No, słucham cię, słucham uważnie! Chcesz zmieniać świat? Dobrze, i nawet zgoda. Ale w imię czego, na jaki model dokładnie, jakiego i z czyjej strony wsparcia oczekujesz?

— Przyjechałeś pofilozofować? Zbić mnie pejcem argumentów praktycznych? Udowodnić, że się mylę, że kto wie, winiemem może nawet przystać do bolszewików?! Przyłączyć się, doszłusować do tej całej bandy? Stalina-słońce wielbić? Bić pokłony przed każdym większym zasrańcem? Pod wrażeniem jestem, Julek, pod wielkim wrażeniem. — Skandował słowa starannie, ale bez wewnętrznego napięcia.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Nie było w tym ich słownym pojedynku pasji dawnych dyskusji. Nie mieli ochoty na kontynuowanie tej rozmowy. Nie czuli do siebie wrogości, może żal, nostalgię do czegoś, co było dawno.

— Nie. — Odpowiedział po chwili Juliusz. — Nie aż w tak szczytnych celach tu jestem. Mam dwie sprawy, dwie informacje. Domyślasz się pewnie, żadna z nich nie jest miła. O pierwszej już ci mówiłem: wiedzą, że tu jesteś. I zrobią wszystko, żeby

cię dopaść. Bardzo im zależy. Będą tu pewnie lada moment. Niewiele ich wyprzedziłem. A druga...

— Mów.

— Dwa dni temu... — zająknął się — dwa dni temu zamordowali tę dziewczynę z waszego oddziału, Danusię. Zabili. — Twarz skurczył mu grymas gniewu, żalu.

— Danusię... — Czuł... wiedział, pojął w jednej chwili, że nie potrafi uporać się z tą myślą. Nie był przygotowany, nie mógł być. Zobaczył ją, na mgnienie, taką jaką zarejestrował w obrazie pamięci: wyprostowaną, z podwiniętymi rękawami munduru, z dwiema ciężkimi sanitarnymi torbami, w furazercie, na bakier nieco; i z pogodą w oczach, uśmiechniętą, radośną, jak zawsze niemal. Stali na skraju młodego lasu, żartowali o czymś, nieistotnym pewnie. Kiedy to mogło być? To musiała być wiosna, wczesna... Beznadziejna była ta próba ucieczki od najczarniejszej myśli.

— To robactwo ma jakąś tajemniczą siłę, rozumiesz? — Julek mówił przez zaciśniętą krtani. — Pasję niszczenia, dla samego niszczenia; misję unicestwiania dobra. Bo dlaczego zabili właśnie ją, w pośpiechu, w panice? Jakby nie bali się wszystkich partyzantów Łupaszki tak jak właśnie jej, bezbronnej, młodziutkiej sanitariuszki, która w swoim sercu miała dobre słowo, dobre uczynki dla wszystkich wokół, nawet dla wrogów? Musieli ją zniszczyć, usunąć z drogi z jednego powodu: była zbyt piękna, niepokalana. To jest ich tajemnica. Ich siła. Ich słabość. Nie! Nie dla władzy, nie tylko dla władzy istnieją.

— Obawiam się, nie masz wyboru. — Mówił stanowczo. — Powstrzymam tutaj tę bandę, jak długo będzie trzeba, jak długo będę umiał. Przyda mi się odkupienie. Tego jednego nie możesz mi odmówić, nie dziś. Skoro żyłem jak świnia, niech chociaż umrę jak Odyn. — Uścisnęli się serdecznie, jak przyjaciele, dawni.

A jednak nie był jeszcze pewien. Spojrzał dookoła, jakby szukając usprawiedliwienia. „Czy wolno, tak po prostu, opuścić pole walki? Przyjaciela? Czy to nie zwykła dezercja?”

— Kto się waha, ten urodził się do słów nie do czynów! — W oczach Juliusza nie było go, wahania. Uśmiechały się z mocą.

— I manowce szarego oceanu bitą drogą mu były...?

— W katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie! Droga długa, niełatwa przed tobą.

— Żegnaj.

— Wybaczasz?! — Julek przytrzymał ramię Janka.

— Kim jestem, żeby ci wybacząć? Demiurgiem sprawiedliwości? Nie, nie. Znasz reguły... musisz sam, sam sobie... — Jakie nieznośne jest życie, gdy na to co ważne, nie pozostawia chwili.

— Wybaczasz?! — Zapytał jeszcze raz, szarpiąc ramię Janka w swoją stronę.

— Wybaczam, wybaczam ci... choć to nie w mojej mocy.
— Poczuł, że musi; że robi jak trzeba.

XIV

WIGRY

— Pamiętaj, mają przyjść tylko z jednego kierunku. Jesteśmy na wyspie, połączonej z lądem groblą. Jeśli zdążysz się przygotować, to z tą armatą — dotknął lufy rkm-u, który przetaszczył ze sobą Juliusz — będziesz mógł ich szachować ile dusza. Wiesz przecież, że to dupy wszystko, nie żołnierze. Poza tym, jak powiedział pewien mój znajomy bolszewik, z niewolnika żaden wojak.

Nie było chwili, każdy poszedł w swoją stronę.

W starej ni to szopie, ni hangarze znalazł, raczej namacał w ciemności, starą, rozeschniętą łódź, kilka solidnych wioseł. Łódź była ciężka, niewyobrażalnie dla jego ramion, ale nie zwrócił na to uwagi. Od strony grobli wznęgał się hałas bezładnych głosów — musiało tam panować potworne zamieszanie, pewnie też strach przed nocną penetracją nieznanego terenu.

„Banda! I przed czymś takim...” Nie chciało mu się kończyć pośpiesznej myśli.

Banda nie banda, a jednak trzeba się było spieszyć. Wiosła z dulkami wrzucił do łodzi i przeciągnął nad brzeg zatoczki. „Okoliczności dodają energii — pomyślał — albo paraliżują.” Dlaczegoś jemu nigdy się to nie przytrafiło. Czy był jakiś szczególny, wyjątkowy? Mądry, odważny ponad miarę innych? Nie lubił takich myśli, ale czasem wdzierały się mimowolnie, natrętnie przykuwając do siebie uwagę. „Gdyby oni wszyscy wiedzieli jak bardzo się boję, z jakim trudem przychodzi mi to wszystko.” Uśmiechnął się. Naszła go nagle ochota, żeby rozprostować przygięte, nadwerżone ciężarem łodzi plecy. Stanął w rozkroku, tuż nad brzegiem, rozciągnął ramiona szeroko i przeciągnął się, aż po ostatnią nitkę stężonych ścięgien.

Słyszał było nawoływania bandy przebranej w mundury. W ciemnościach nikt nie panował nad sytuacją, pojedyncze sztuki szukały swoich oddziałów. Trzy kompanie wojska wyrzucone w beładzie na pobocze, bez światła. „Julek ma sporo czasu” myślał, spychając łódź na wodę. „Czy nie najgorsza w kłęsce jest świadomość, że przegrywa się z czymś takim? Daj spokój.”

Wiedział, że musi się skupić na najprostszych czynnościach: odepchnąć od brzegu łódź, wskoczyć do środka, włożyć przymocowane do wiosła dulki w otwory na burtach, wykonać kilka mocnych pociągnięć na dobry początek podróży i dalej, zapominając o monotonii wiecznego wiosłowania. Pamiętać o jednym: tym razem to nie wakacje, nie chodzi o przepłynięcie z punktu do punktu; tu idzie o życie, przetrwanie, o dalszą walkę.

Powietrza nie mącił powiew wiatru. Nieliczne na nieboskłonie milknące gwiazdy odbijały się w cichej, niewzruszonej niczym, poza Jankowymi wiosłami, toni. Gdyby nie nieprzenikniona ciemność, można by się w niej przeglądać jak w lustrze.

„Czy nie dziwne, że jestem nagle tak spokojny? Gdy tam, na grobli, za chwilę, Julek staczać będzie ostatnią walkę życia? Gdy ja, dla ratowania... czego właściwie? Życia, idei walki, a może

tylko kruchego cienia nadziei, porzucam przyjaciela?” Do głowy przychodziły, jedna po drugiej, niepotrzebne myśli. Im były bardziej bezsensowne, tym jakby bliższe, przyjaźniejsze.

Pamięć, pamięć miejsc, zapachów, dźwięków, smaków, pamięć nieuchwyconego nigdy słowami wrażenia pozwala sobie czasem na aż nadto wiele; wdziera się, nieproszona, lansując wątpliwe swoje walory; pokazuje nam, naszym myślom, kto tu — tak naprawdę — rządzi. Przychodzi, kiedy chce, przynosi, co jej się tylko podoba.

Ile mogło minąć lat dokładnie, nie chciało mu się liczyć. Musiało to być na chwilę przed wojną, latem 39. Pomysł mieli wyborny — opłynąć dookoła, zatoka po zatoce, całe jezioro. Liczyli przed wyprawą ile to będzie: pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów? Nie mógł pamiętać dokładnie.

Dlaczego akurat To jezioro?

Chłopot wody o burty, skrzypienie zmęczonych wiosła, zapach rozeschłego drewna. Cóż prostszego może być niż pływanie po jeziorze, choćby nawet tak rozległym, głębokim? Przed wejściem do łodzi, rzecz wydaje się banalna (tak myśli laik, człek nieprzywykły), ale już po kilku mocnych pociągnięciach wiosła, nic nie wydaje się błahe. Woda, łódź, wiosła, fala, fala nawet nieznaczna, wszystko wymaga jednego: wprawy. Kto regularnie nie pływa, choćby największy osiłek, rychło odczuje w dłoniach, w grzbiecie, trudy takiego podróżowania. Nie licząc sporadycznych przepraw przez rzeki ojczyzny, Janek nie pływał od lat.

Ledwie wyplłynął z przyklasztornej zatoki na otwartą połąć wody, zyskał silną motywację. Od strony przystani w Starym Folwarku, po drugiej stronie jeziora, słychać było nawoływania; niesione poprzez wodę komendy nie zostawiały pola domysłom — obława szła (płynęła) także z tamtej strony. Dwie lub trzy łodzie kierowały się wyraźnie na południe, z widocznym

zamiarem okrążenia półwyspu. Byli tuż, niemal na wyciągnięcie ręki. Zobaczył ich odrobinę za późno, za późno aby wykonać nawrót, ukryć się w gąszczu trzciny obrastających jezioro. Czy było dostatecznie ciemno, aby łódź przemknęła po wodzie nie dostrzeżona? Próżne nadzieje. Oczy, oczy pilne, przyzwyczajane stopniowo do niknącej z wolna ciemności, oczy wypatrujące musiały go dostrzec prędzej raczej niż później. Wzdrygnął się. Pochylił mocniej głowę.

Po ledwie paru chwilach na łodziach opływających półwysp podniósł się tłumiony gwar; dochodziły poszeptywania; wyczuć dał się bardziej niż zobaczyć ruch. Po kilkunastu sekundach dzioby łodzi skierowały się w jego kierunku. Znowu cisza — oznaka braku zdecydowania. Może to noc, i wszystkie jej tajemnice, może przebłyski świadomości, że gonią pewnie za kimś wyjątkowo ważnym, śmiertelnie groźnym; coś opóźniło decyzję, co robić dalej w przestrzeni umykającego czasu.

Pchał wodę wiosłami, pracował z narastającą paniką, nerwowo, gubiąc rytm. Jeden w łodzi miał może znikomą przewagę nad armadą pościgu, gdzie w każdej siedziało na pewno czterech, pięciu ludzi, ale warunek był jeden — zachować spokój i regularność ruchów. Nie wolno też myśleć o zmęczeniu, o drętwiejących już może po chwili ramionach, o dłoniach piekących, nie przyzwyczajonych do twardego drewna chwytów. Miał szansę, tyle że na krótki dystans. Tamci w każdej chwili zmieniać mogli zmęczone ręce, odpoczywać. Jeśli nawet uda mu się wytrzymać, dobić gdzieś do brzegu, jakie wówczas będzie miał szansę? „Odin w polie nie woin” przemknęło. Ubawiła go ta myśl. Wydała mu się uroczo niedopasowana do jego własnych koncepcji. „Uspokoić się! Uspokoić...” bywa, że jedna myśl uboczna, niepotrzebna pozornie, przywraca równowagę. I taka przyszła w porę, jak olśnienie.

Strzał pierwszy, potem drugi, kolejne. Nigdy nie miał z tym problemów. Wiedział, oczywiście, jak każdy żołnierz, czy goniący w lesie zwierz, wiedział, że z kulami żartów nie ma, nawet

gdy sypane w nieładzie, w wielkim od celu oddaleniu; że nawet i takie bywają groźne, trafiają; ale, w gruncie rzeczy, nagła ta beżładna kanonada była dobrą informacją; świadczyła, że wróg nie jest pewien swego, traci dystans.

Sceneria, to co działo się w tym akurat momencie na jeziorze, przypominała do złudzenia opisy z książek jego młodości, z Coopera, którymi zaczytywał się z chorobliwym oddaniem lekturze. „Jakie to dziwne po tylu latach przeżywać powieść na własnej skórze?” Dlaczegoś ubawiła go ta myśl, dodała otuchy. Nie pamiętał czym zakończyła się tamta przygoda na wodach wielkiego jeziora. Nie pamiętał już nawet kto za kim gonił.

Pomysł był dobry, śmiały, właściwie — zabójczo ryzykowny. Wprost niemal na południe, w odległości trzech kilometrów był, kto wie, czy nie ratunek — rzeka, edeński ruczaj, od tysięcy lat opływająca okoliczne ziemie; niezwykle zupełnie dar natury; i niebezpieczny. Znał ją, rzekę, i znał jej niezwykle tajemnicę.

O, tak! Pamiętał jaka to zdradliwa rzeka; i że nie każdy śmiałek może liczyć na jej łaskawość. Wszystko za sprawą mułu czarnego, który, wpływając na rozległe wody, rzeka ofiarowuje w darze wigierskiemu jezioru. Muł osiada, osiada pewnie od stuleci, tworząc tuż, kilka ledwie centymetrów pod lustrem wody, wielometrową bagnistą pułapkę.

Jeśli jesteś dość śmiały, jeśli jesteś dość głupi, żeby wskoczyć w tym miejscu do wody; bo, dajmy na to, ani rusz, ugrzęzła na płyciźnie łódka nie chce płynąć dalej, wówczas — ani chybi — pojawi się problem. Stopy, kolana, uda zatopią się z lekka, nie gwałtownie wcale, za to nieuchronnie, w lepkiej mazi; będą szukać oparcia; będą szukać, ale go nie znajdą; „cóż czynić?” Pomyślisz z niejaką nonszalancją jeszcze, a czarna masa, niby kosmiczna czarna dziura, pochłaniać będzie kolejne centymetry. Czy prócz modlitwy, jest z tej sytuacji wyjście? Absolutnie! Tak! To nie bolszewicy, co napadli na Polskę i podstępnie zagarnęli, to jedynie muł niesiony przez mizerną rzeczkę.

„To ich powinno powstrzymać.” Myślał, wykonując długie, ale nie za mocne, pociągnięcia. Choć stara i rozeschnięta, łódka wciąż płynęła śmiało. Jego prześladowcy — czuł wyraźnie — tracili dystans. Nie próbowali już nawet strzelać.

Plan, jeśli to można nazwać planem, był ryzykowny. Opierał się wyłącznie na optymistycznej kalkulacji, że łódka, obciążona tylko przez jednego pasażera, poradzi sobie z kaprysem rzeki, w miejscu, gdzie owa rzeka wpływała do jeziora. „A jeśli nie? Jeśli muł okaże się przeszkodą nie do pokonania także dla mnie?” Zdecydowanie za późno było na rozterki. Planu alternatywnego nie miał. Uciekać brzegiem? Jeden przeciwko całej pościgowej bandzie nie miał szans.

Odetchnął, pokonawszy największą płyciznę.

Pamiętał wiele. Co najbardziej, tego nie chciało mu się określać. Może nie jedną rzecz jedyną, ale konglomerat ułożony z sensualnych doznań: światła, barw, dźwięków i zapachów, wilgoci i świeżości, niezwykłych; i wrażenie mocne, że się odkrywa świat nieznany, istniejący dla jednej tylko chwili.

Nie wszystkim natura ofiarowuje te same powaby i pokusy. Czy dlatego, że w istocie swojej zmienna, różnorodna, w najgłębszej pogardzie ma ideologię równości? A może to kwestia indywidualnych cech obiektu, na który oddziałuje całą swoją bezwstydną zachłannością?

Wpływali trochę nawet zbyt po prostu wtedy; jak nie całkiem wypada zdobywcom nieznanego; nie jak Sumerowie, na swoich smukłych łodziach przybijający do wysnionej ziemi; raczej jak barbarzyńscy Wikingowie, którzy ujrawszy z dala, na horyzoncie wielkiego morza, rozświetloną wysokim na niebie słońcem zieloną wyspę, nie dziwili się zaledwie, że im właśnie przypadło w darze poznanie tak cudowne. Wpłynęli, mówiąc całkiem już zwyczajnie, bez ceregieli.

Czy mieli przebłysk świadomości, że właśnie ich wybierze tego dnia natura? Co to było? Raj? Przedsiónek? Droga do niego prowadząca? Czy na przestrzeni tych kilkuset metrów kryształowo czystej, pokręconej rzeczki z baldachimem fantastycznie powywijanych badyli nad głową to było lśnienie tylko czy ułuda?

Gdy się ma lat naście, życie całe zdaje się ginać w mglistym oddaleniu. Nie wydaje się takim jakim jest; ani nadto kruchym, ani z nadmiernym pośpiechem płynącym. Życie kpi sobie z młodości, to pewne. Czy robi tak z podłości, czy z wyrachowania, a może ze zdrowej kalkulacji? Może być w każdym razie tak, że przywołując mrzonkę miłych spraw w przyszłości, kieruje się nakazem wyższej jeszcze instancji. Wolno w tym miejscu stwierdzić ledwie jedno: bez nadziei nie może istnieć rozczarowanie, chleb powszedni starości, życia przebytego.

Siedzieli przed namiotem i zajadali co im do zjedzenia pozostało, popijali wodą. Złamane podczas wyprawy do „raju” wiosło postanowili zanieść do chłopa, który, o czym wiedzieli, przygodnie zajmował się ciesielką. Mieszkał w jedynej w promieniu kilku kilometrów zagrodzie na wzgórzu, do której od wielu dni, każdego rana, chodzili po świeżą wodę ze studni.

Przyjął ich spokojem uśmiechu, wysłuchał; nie uwierzył uszom, spochmurniał. Nie zrozumieli tej nagłej odmiany. Stali ledwie półtora metra od niego, z dwoma drewnianymi kikutami w rękach, a on wpatrywał się w nich z niegasnącym zaskoczeniem. Nie powiedział nic, odwrócił się, odszedł, po paru krokach zniknął w rozwartej do połowy bramie obszernej stodoły. Stali tak przez chwilę, zbici z tropu, całkiem.

— Dziś niedziela chłopcy. — Starsza już, szczupła kobieta, córka gospodarza, wybierała żurawiem wodę ze studni. — Przyjdźcie jutro.

Nazajutrz, spłoszeni wydarzeniami dnia wczorajszego, zaszli do obejścia wcześniej. Nie czekało ich nic nieprzyjemnego.

— Dzień dobry.

— Pochwalony — starzec uśmiechał się do nich wesołym spojrzeniem, bez żadnego ubocznego grymasu na pooranej głęboko, suchej, szczupłej twarzy.

Na stole stał dzban świeżego mleka, dwa kubki. Do zmroku zwozili z łąki skoszone siano.

To był piękny dzień, pełen harmonii.

Któż to powiedział, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki? No, ależ! Grube nieporozumienie. Musiał to być w każdym razie ktoś, kto bladego pojęcia nie miał o naturze rzeki, o jej przyciągających powabach, niewysłowionych urokach. Biedny jakiś człowiek ze światem i jego tajemnicami nie obyty.

Każdy kto ma taką rzekę w sercu wie, że czas i jego upływ są w istocie bez znaczenia. Nieważne też ile wody w nią wpływa, i ile oddaje. Nie o wodę chodzi; nie ona stanowi o rzece. Rzeka jest arterią, decyduje o tu i teraz ziemi dookoła; bywa że sprowadza na nią upadek; bywa że przesądza o jej potędze, rozkwicie. Nieprzypadkowo imię każdej rzeki stanowi najtrwalszy element nazwanego słowami krajobrazu. Bo rzeka to świadek życia na świecie od zarania, jego niespisanych nigdy dziejów, ich krynica. Wokół rzeki powstawały, upadały cywilizacje, rodziła się historia, przemijała. Nie bez powodu ludzie nieobrośli w arogancję rzekomego postępu, nie nastroszeni absurdalnymi pozorami wiedzy, ludzie ci gotowi byli czcić rzekę jako dar najwyższy i nieodgadniony.

Czy to, że przez palce przepływając, nigdy nie ginie, nie najdobitniej świadczy o jej wielkości, mocy; o tym, że z płynności rzeczy najlepiej wynika ich niezmiennosc?

I ta rzeka, wspaniała, płynęła na długo zanim na jej brzegach pojawił się pierwszy człowiek; i płynie tak od tysięcy lat;

i płynąć będzie. Cóż wobec niej stanowią śmieszne, małe twory nazywające siebie dumnie panami świata? Gdzie umieścić ich niebывałe całkiem wyobrażenia na temat doczesności, terażniejszości i teźże znaczenia? Bo czym jest w istocie swojej przemijającej terażniejszość? Czy nie jest tylko marnym pyłem bez wagi w stosunku do przeszłości? Czy wszystko co jest, także to co ulotne, nie przynależy do tego co było?

Zmęczony, zmęczony kołowrotem mknących myśli bardziej niż mozolnym trudem wiosłowania, postanowił odpocząć, chwilę; jedną małą chwilkę. Przywiązał łódkę do kikutów wierzby, spadającej odkrytymi korzeniami z wysokiego brzegu, i wygramolił się na skraj łączki.

Nie pamiętał o ledwie dochodzących z oddali krzykach przerażonych, taplających się w mule ludzi. Nie słyszał.

Bo jakie to mogło mieć znaczenie?

Żadnego przecież.

*Jan Sebastian Bach, Koncert Włoski, część 2, Andante,
w wykonaniu Marii Judinej.
(BWV 971 — 2. Andante, Maria Judina)*

